

MAREK NOWAKOWSKI

**"GRISZA,
JA TEBIE SKAŻU..."**

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1986



"GRISZA, JA TIEBIE SKAŻU..."

1914 120

Wydawnictwo Literackie

Warszawa, 1980

Wydawnictwo Literackie
ul. Krakowska 10, 01-001 Warszawa
tel. 022 625 11 11

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 419

ISBN 2-7168-0084-7

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

MAREK NOWAKOWSKI

**"GRISZA,
JA TEBIE SKAŻU..."**

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1986

MIKROFILMOWANIE

TEGOŻ AUTORA

W BIBLIOTECE « KULTURY »

Raport o stanie wojennym I, 1982 (wyczerpane)

Raport o stanie wojennym II, 1983 (wyczerpane)

Notatki z codzienności, 1983

Dwa dni z Aniołem, 1984

INSTITUT LITTÉRAIRE

AMAZONKA

Były to lata studenckie. Mało co z tego zostało w pamięci. Studia niezbyt ciekawe, wkuwanie na pamięć marksistowskich kanonów i kodeksowych paragrafów. Kilku przedwojennych profesorów stanowiło pieprz w tej mdłej, monotonnej stawie. Stary historyk ze Lwowa, malutki, w okularach, z wydatnym nosem. Barwny oryginał, nie pasował do powszechnej unifikacji. Jego powiedzenia, dziwactwa, przekazywane z roku na rok. Także profesor prawa rzymskiego o znanym z dziejów ojczystych nazwisku kniaziów z Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Mieszkał w willi „Żabie oczko” pod Warszawą. Tam niektórzy z nas jeździli zdawać poprawkowe egzaminy. Prezencji wyniosłej, uduchowionej, i dlatego niepowstrzymaną kaskadę śmiechu wywołał we mnie rąbek koszuli, który wystawał mu z niedopiętego rozporoka. Wykładał wtedy, przechadzając się między rzędami ław w auli. Jeszcze z rzadka na dalekim planie pojawiał się światowej sławy papirolog, sam zasuszony jak papirus, prowadzony przez dwóch asystentów; już nie wykładał. Wszyscy oni byli jak Mohikanie dawnej Polski.

Studenci, wodniści, jednakowa masa. Może uroda jednej czy dwóch koleżanek. Jedna nazywała się Płatek. Z kolegów niewielu zaznaczyło się wyraźniej. Na pewno Romek K. Wysoki, ponury chłopak bez matury, przybył na studia jako aktywista ZMP po kursach przygotowawczych dla ideowej młodzieży. Był typem fanatycznego, ciasnego doktrynera. Buchało od niego ślepą wiarą w nowy porządek. Ideologię traktował w sposób religijny. Nie miał cienia wątpliwości. Zapowiadał się na groźnego strażnika pieczęci. Wpadł jednak w pułapkę. Światopogląd już na pierwszym roku przesłonił mu poker. Poker jako pasja, moloch pożerający Romka! To działało na wyobraźnię i pozostało w pamięci.

W akademickim domu na Kickiego dostał się pod wpływ Zbyszka B., wielkiego karciarza. Wpływ okazał się magnetyzer-ski. Zbyszek był równocześnie aktywnym członkiem partii, ope-rował po mistrzowsku narzędziami właściwego objaśniania świata. Ceniono go w ideowych kręgach na uczelni. Los umieścił Romka w jednym z nim pokoju. Natychmiast Zbyszek stał się dla niego wzorem. Z całą namiętnością swego prymitywnego i żarliwego usposobienia począł go we wszystkim naśladować. Zbyszek B. zresztą działał swą osobowością na ludzi daleko bardziej odpor-nych i pozbawionych skłonności do hazardu. Z aparycji zatroska-ny, szlachetny bohater pozytywny. Mówił celnie i z rozważą. Słuchany pilnie na studenckich zgromadzeniach z okazji rozma-itych politycznych okoliczności. Równocześnie w palcach posiadał szatańską umiejętność. Mistrz nocnych maratonów karcianych, przegrywał i wygrywał z taką samą kamienną twarzą. Był dualis-tyczny. Harmonijnie potrafił łączyć dwa niespójne bieguny swego działania. Nigdy nie padł ofiarą żadnego donosu. Podobno grube ryby z aktywu siedziały w jego kieszeni, niewypłacalne ofiary demona hazardu. W tamtych latach prowadzić tak sprzeczne życie i nie zostać zdemaskowanym, było czymś niesłychanie rzadkim. Czujność obowiązywała jako nadrzędny obowiązek. Jedni patrzyli na drugich jak na tropioną zwierzynę. Zbyszek B. w tym niebez-piecznym żywiole niby ryba w wodzie. Już wtedy fascynowała mnie jego podwójność, kusząco ozdobiona urokami osobistymi. Koleżeństwem, bystrą inteligencją, odczytaniem, dowcipem. Zby-szek to swoisty fenomen w latach posuchy i niwelacji, szarzyzny i nudy. Wszyscy do niego lgnęli. Łatwo więc zaraził bakcylem hazardu nieszczęsnego Romka K. i tak już zostało. Niewątpliwie ofiara musiała mieć w sobie ukrytą i nierozpoznaną dotąd poten-cję do tej namiętności. Dni i noce spędzać zaczął Romek, pogrą-żony w karcianym znoju. Kłęby dymu, pomięta forsa, wódka dla kurażu, śmigają w palcach karty, zdławione głosy, płatna czujka pod drzwiami strzeże bezpieczeństwa jaskini gry. Romek sku-piony, przenika intuicją stan posiadania w kartach przeciwnika, spala się w wielkiej szansie zdobycia banku. Oto przypuszczalna sceneria tego sekretnego życia. Stoczył się Romek. Idea straciła swego niepokalanego orędownika. Jednocześnie stał się bardziej ludzki. Nieraz widywałem ich razem. Zbyszka i Romka. Połą-czeni tajnym współnictwem. Szepczą, kiwają głowami, uśmiechają się dyskretnie. Mistrz i uczeń.

Znacznie później zastanawiałem się nad motywami postępo-wania Zbyszka B. Czy był cynikiem? Czy po prostu miał słabość do hazardu i chronił ją w pancerzu ideologii? Czy wierzył w obowiązującą ideologię? Czy też wszedł w konszacht z powodów

przyziemnych, praktycznych? Był starszy od nas, już coś przedtem zaczął studiować w innym mieście.

Romka przypadek był raczej banalny. Życie spletało mu figła. Przyszedł na studia czysty jak łąka, z wybranego zaciągu. Toteż Romka K. zapamiętałem przede wszystkim ze względu na osobliwe przeistoczenie. Wzbogacenie dosyć postnej na początku osobowości. Koścista, blada twarz, rzadkie faliste włosy nieokreślonego koloru, niebieskie, nieco zblakłe oczy. Przygarbiony. Tak wyglądał. Jeszcze dłonie. Spracowane, pogrubiałe. Przed studiami był monterem, mechanikiem czy kierowcą, następnie etatowym działaczem powiatowego zarządu ZMP na ziemiach zachodnich.

Z kręgu czynnych rzeczników nowego ładu wyróżniał się Marek W., który pochodził z komunistycznej rodziny reemigrantów z Francji, górników. Ojciec piastował odpowiedzialne stanowisko w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Mówił biegle po francusku. Ta dwujęzyczność czyniła go oryginalnym. Nasz profesor historii państwa i prawa, ten oryginał ze Lwowa, lubił z nim parlować podczas wykładów. Nobilitował go ze względu na francuski. Marek budził pewien niepokój. Powód w zajęciu ojca. Omijaliśmy go raczej. Podejrzewano nadto, że już podążył drogą ojca.

Majaczy jeszcze w mojej pamięci kolega z grupy, zblazowany birbant, znał wiersze Verlaine'a, Jesienina, emigracyjną, niedostępną twórczość Wierzyńskiego. Był to wyrafinowany uwodziciel. Przechwalał się, że deklamacją wierszy zdobywa dziewczyny. Znacznie starszy ode mnie, kilka już razy zdawał egzaminy wstępne na różne kierunki, dopiero podejście na wydział prawa uwieńczone zostało pozytywnym rezultatem. W kwestiach politycznych wygłaszał efektowne stwierdzenia w rodzaju: „Czerń doszła do głosu”, ściszał swój błazeński głos i wywodził o motłochu i elicie, do której siebie zaliczał. — Należy się przystosować! Skorzystać z prawa mimikry. — Na razie źle mu to przystosowanie wychodziło. Wytykano go jako studenta zaniedbującego zajęcia i aspołecznego.

Pewna więź sympatii łączyła mnie także z Tomkiem L., który był Żydem. W tym przypadku działała odmiennosc. Tomek nie ukrywał swego pochodzenia. Wywodził się z prostej, rzemieślniczej rodziny, chyba ortodoksyjnej, z okolic Łukowa, Węgrowa. Dobry, poczciwy kolega. Często razem wracaliśmy z uczelnianych zajęć. Tomek przeważnie milczał. Czułem w tym ciężar jego przeszłości. W sprawach obowiązujących czyli ideologicznych był umiarkowany. Po pierwszym roku studiów zniknął z naszego

życia. Wyjechał do Izraela. No i wreszcie koleżanka Woroniewicz. Ona zajmuje z powodów osobistych ważną lokatę w tamtym czasie mego życia.

Też z zaciągu robotniczo-chłopskiego, ideowego. Wyglądała jak kołchoźnica z radzieckich filmów. My wszyscy ubieraliśmy się marnie (niektórzy jedynie mieli ciuchy z dostaw UNRRY lub wojskowe stroje alianckich armii od rodziców; ten szyk jednak zanikał, wrogo traktowano kapitalistyczną formę), koleżanka Woroniewicz zaś bylejakość ubioru połączyła ze swoistą oryginalnością. Męskie, workowate spodnie, skórzana kurta, jaszkrawy sweter domowej roboty i bucioro wojskowe z demobilu. Połamane karbowkami włosy łnianej koloru okrywała wiejską, frędzlistą chustką. Szeroka twarz, białe jak ser zęby, krótkie nogi, kopiaiste piersi; poruszała się zamasyście jak marynarz na kołyszającym się pokładzie.

Była rubaszna, gadatliwa, lubiła rozmówcę walić w plecy jak chłop chłopą w karczmie. Z natury dobroduszna.

Była wtedy na naszym pierwszym roku silna grupa rodowicie warszawska, która chłopskość z kursów przygotowawczych, w ogóle całą tę falę napływową, awans społeczny objawiający się w ułatwionych możliwościach studiów — wyszydzała dosyć wrednie po kątach.

Ośmieszaliśmy ich wygląd, zachowanie, sposób mówienia i zagubienie w wielkomięjskich komplikacjach. Koleżanka Woroniewicz stając się obiektem tych kpín czerwieniła, oczy zwężyły się w szparki i błyszczały niebezpieczną intensywnością; jakby gotowa do bójki. I chyba nieźle potrafiłaby się bić. Na taką wyglądała. Ale gniew mijał jej szybko.

— Ach wy! — mówiła. — Paniczyki, francuskie pieski!

Spluwała z pogardą. Dawała nam do zrozumienia, że uważa nas za mięczaków, cherlaków itp.

Zetempówka oczywiście, aktywistka, członek zarządu wydziałowego, już kandydat partii.

Ale był w niej ludzki, zwykły liberalizm. W jej zachowaniu brakło typowego dla tamtych lat zacietrzewienia i czujności wobec klasowego wroga.

Marka W., naszego Francuza, też nie lubiła jak my wszyscy.

— Niby z wyglądu czekistka, nagan i czerwona gwiazda. A całkiem przyzwoita — mówił o niej kolega z grupy, birbant i wałkoń, recytator dekadencjnych wierszy. Z pańska wspominał podobne dziewczyny z domu swoich dziadków.

— Kuchenne i podkuchenne — podkreślał z naciskiem. — Używało się z nimi po kątach. — Snobował się na arystokratę,

mówił o jakimś rodzinnym majątku utraconym na kresach, pokazywał herbowy sygnet. — Herbu Bończa — objaśniał z dumą.

Z nim najczęściej rozmawiałem. Był bardzo anty, ze stereotypowym dla tamtych lat zacietrzewieniem strony przeciwnej, żydo-komuna, parobasy. Nie szczędził tych epitetów, powtarzał przepowiednie o trzeciej wojnie światowej, która przywróci porządek w naszej części Europy, nafaszerowany nadziejami i wiarą w Zachód, przebąkiwał po wódce o brygadzie N.S.Z. osławionego Bohuna, jacyś krewniacy służyli w tej świętokrzyskiej brygadzie, pacyfikacje komunistycznych wiosek, prawda lub fantazja, nie wiadomo.

Ale przecież kolegankę Woroniewicz lubił tak samo jak ja.

— W istocie jest to pocziwa, wiejska dziewczucha — wyraził tę opinię po swojemu. — Tylko wynaturzyli ją komuniści.

Ona miała silne poczucie koleżeństwa. Nieraz ostrzegała naszego birbanta. Radziła, żeby się przyłożył i nie trzepał jęzorem.

— Krzywo na ciebie patrzą — konfidencjonalnie mrużyła oko.

Na odchodne waliła z rozmachem w plecy tego wiotkiego, cherlawego pozera. Uginał się pod życzliwym ciosem. — Uważaj, Bończa!!

Pochwalił się jej swym herbowym klejnotem i tak już go nazywała. Pewien przedsiębiorczy kolega, którego zmarły ojciec był księgarzem, sprzedawał nam przedwojenne broszurowe wydania książek z „Roju” i innych wydawnictw. Pamiętam „Pascnoty” Pitigrilliego, „Niewolnice z Long Island” Marczyńskiego i powieści z Dzikiego Zachodu Zane Greya. Raz pojawiła się wśród tego „towaru” książka w krzyczącej okładce, pełnej krwi, brutalnych małych twarzy w hełmach ze szpicami, zdobnych w czerwone gwiazdy. Była to rzecz o naszym rodaku, Feliksie Dzierżyńskim, twórcy Czecha. Przypadkiem naszała go w trakcie handlu koleżanka Woroniewicz.

— Zarazę roznosisz — powiedziała surowo.

Ale nie uczyniła z tego żadnego użytku.

W moim przypadku zaś odegrała ważną rolę w incydencie z kolegą C. Zdarzenie to zawierało według ówczesnej interpretacji znamiona działań wroga klasowego i mogło mieć bardzo przykre konsekwencje. Kolega C. miał w sobie coś z prymusa, podlizucha; tacy w szkole pierwsi wrywali się do odpowiedzi i pomagali profesorom dźwigać stopy klasówek do domu.

Takim był jako działacz organizacji młodzieżowej, zapatrzony z uwielbieniem w przewodniczącego zarządu wydziałowego, skrupulatnie spełniał jego polecenia, usiłując przewidzieć wszelkie zamiary i pragnienia zwierzchności. Twarz pryszczata, mała, mętna

oczy, włosy przylizane, ciągle w stroju organizacyjnym, zielona koszula, czerwony krawat z wpiętym emblematem ZMP. Często poszeptował z Markiem W., tym Francuzem.

Moja skromna osoba podlegała jego bacznej uwadze; mało się przykładałem do nauki, na zebrania uczęszczałem nieregularnie i ironicznym uśmieszkiem odpowiadałem na jego pełne nagany spojrzenie. Toteż kiedy przyszedłem wtedy na egzamin mocno pijany i chwiejąc się jak opój przed knajpą, czekałem na swą kolej przed profesorskim gabinetem, lojalni koledzy zaciągnęli mnie do toalety i tam poddali działaniu zimnej wody. Otrzeźwiałem nieco i choć ostrzegano mnie, żebym nie szedł w tym dniu na egzamin, jednak powodowany pijackim uporem nie dałem się przekonać i wpakowałem się do gabinetu w kolejnej trójce. Buchało ode mnie poranną wonią alkoholu, ruchy miałem nieskoordynowane i głos bełkotliwy, jednak profesor nie rozpoznał wcale mego stanu i egzamin zdałem celująco, posłużyłem jeszcze jako wzór do naśladowania dla pozostałych kolegów. Opuściłem gabinet w glorii zwycięzcy. Gratulowano mi niespodziewanego sukcesu.

Wtedy zobaczyłem kolegę C. Patrzył na mnie z oburzeniem.

— Jesteś pijany!

To był właściwy początek incydentu. Rozbestwiony sukcesem i przecież nadal zamroczony, chwyciłem go za czerwony krawat i włokąc tak podduszonego i trzepoczącego rękoma po dziedzińcu uniwersyteckim, lżyłem plugawymi słowami, wytykając lizusostwo, donosicielstwo. Kwestionowałem także ideowe racje jego postępowania. Działo się to w pobliżu budynku seminarijnego, w cieniu bujnych kasztanów. Publiczność miałem liczną i ona mnie dopingowała. Może szturchnąłem go parę razy. Zapamiętałem jego wystraszoną twarz, trzepot rąk, krąg gapiów i śmiech. Nie lubiano go przecież. Wreszcie odciągnęli mnie od nieszczęsnej ofiary.

Zdarzenie pod kasztanami od razu nabrało politycznego wymiaru. Nazajutrz otoczyła mnie specyficzna atmosfera zapowiadająca najgorsze. Ukradkowe spojrzenia, niejasne uśmieszki. Byłem na cenzurowanym.

Nikt nie kwapił się do kontaktów z zadzumionym.

Nawet herbowy birbant, Bończa, też mnie unikał. Już wykazywał umiejętność zalecanej przez siebie mimikry. Z czasem przystosował się i to nieźle. Po latach spotkałem go jako opasłego dyrektora pewnego zjednoczenia. Klasyczny konformista, przedstawiciel wielotysięcznej rzeszy, tworzącej opokę systemu.

Ale powracam do swoich perypetii. Jedna jedyna koleżanka Woroniewicz publicznie wyraziła mi uznanie z powodu celująco

zdanego egzaminu. Wyraźnie zafascynowało ją połączenie opilstwa z intelektualnie pozytywnym rezultatem. Później odbyło się zebranie zarządu wydziałowego z udziałem partyjnego opiekuna organizacji. Moja osoba była przedmiotem wyczerpujących rozważań tego gremium. Sekretną relację z zebrania zdał mi Zbyszek B. On był mistrzem dualistycznego życia. Świetnie to godził. Reputację nieposzlakowanego działacza z życzliwością dla przyjaciół. Uczył nas, swoich najbliższych kolegów, kamuflażu prawdziwych myśli, uczuć, przebiegłego poruszania się w ostępach wynaturzonego świata. Tak go zapamiętałem. Beznamiętnego, opanowanego podczas tej relacji zdawanej w ubikacji czy innym sekretnym miejscu.

Zebranie miało przebieg bardzo burzliwy i padły tam groźne słowa: — Prowokacja, wróg, chora tkanka itp. Tą chorą tkanką ja byłem oczywiście i inkwizytorzy zastanawiali się nad rodzajem kary.

Zbyszek B. bronił mnie umiejętnie i wytrawnie. Przedstawił jako młodzieńca ulegającego niekiedy złym skłonnościom, ale w gruncie rzeczy ideowo pozytywnego i wypróbowanego, w tej kwestii przywołał moją aktywność jako agitatora w hotelach robotniczych (miewałem różne mgliste ambicje i rola płomiennego mówcy dostarczała mi pewnych emocji), także ochotniczy udział w innych akcjach społecznych.

Opiekun naszego roku, profesor H., kostyczny dogmatyk (po wielu latach powypadały mu stalinowskie kły i opuścił kraj na zawsze) był za usunięciem mnie ze studiów. Wróg i basta! Jeszcze z obrzydzeniem podkreślał fakt opilstwa. Był to ideowy asceeta. Zapewne zagorzał abstynent. Po nim występowali działacze, koledzy, asystenci. Popierali stanowisko profesora. Moimi obrońcami byli tylko Zbyszek B., Romek K. już wtedy zarazony pokerem i wierny swemu mistrzowi, oraz koleżanka Woroniewicz. Jej zdanie przeważało. Była niepodważalnym autorytetem politycznym. W dodatku ulubienicą profesora H. Pasjonował ją przedmiot przez niego wykładany. Profesor więc zachwiał się w swoim stanowisku. Ostatecznie postanowiono nie usuwać mnie ze studiów, tylko zawiesić na czas jakiś. Sukces! Moi życzliwi rzecznicy obawiali się jeszcze, ażeby w sprawę nie wkroczyła bezpieka. Wtedy musieliby zrezygnować z wszelkiej pomocy. Bezpieka bowiem specjalizowała się w sztuce łączenia poszczególnych osób w grupy spiskowe. Siłą rzeczy każdy mógł być zagrożony. Na szczęście bezpieka tym incydentem pod kasztanami nie zainteresowała się wcale. Równocześnie na innym wydziale wybuchła afera kilku studentów, posądzonych o tworzenie skautingu dawnego typu. W trakcie zajęć studium wojskowego

podjechały cytryny i zabrano podejrzanych. Bezpieka i jej informatorzy w tym byli całkowicie zaangażowani. Więc jednak sukces. Byłem dzieckiem szczęścia. Zostałem wyratowany z opresji. Dzięki koleżance Woroniewicz przede wszystkim. Prawie plakatowa dziewczyna na traktorze. Traktor i ona symbolami nowej rzeczywistości. Sojusznik z niespodziewanej strony. Te dni przed decyzją w mojej sprawie. Ponura wizja przyszłości. Wyrzucony z wilczym biletem. Nie ma żadnych szans dostania się na inne studia. W niedalekiej przyszłości zostanę powołany do wojska i czeka mnie służba w specjalnej jednostce. Były takie jednostki, składające się z tzw. elementów obcych czy wrogich. Zatrudniano je w kopalniach.

Byłem więc w tej próżni oczekiwania na decyzję w mojej sprawie zupełnie samotny. Jedyne koleżanka Woroniewicz bagatelizowała cały incydent. Rozmawiała ze mną jak zawsze. Jeszcze Nina, starościna naszej grupy, chciała podjąć się mediacji i pogodzić mnie z kolegą C. Tu jednak wchodziła w grę osobista sympatia.

Patrzyłem na tę kołchozowo-traktorową koleżankę Woroniewicz innym zupełnie okiem i nurtowało mnie pytanie: — Skąd ta jej zyczliwość?

Jacy my wtedy właściwie byliśmy? Wychowani w niewoli. Okupacja hitlerowska to dzieciństwo, dalszy jego ciąg i młodość w latach powojennych. Te lata podobne jednak w pewien sposób do czasu poprzedniego, mimo entuzjazmu odbudowy, powrotu ojczystego języka i władzy mówiącej tym samym językiem przeciw. Niejeden z naszych najbliższych, ojciec, wujek, starszy brat stawał się ofiarą represji, w czymś zakazanym brał udział, jakaś zła przeszłość ciążyła na jego barkach. Jedni przytaili się; ukrywali się lub próbowali znaleźć sobie neutralne miejsce w nowym porządku. Zmieniali osobowość, wyrzekali się poprzedniego życia, pragnąc zdobyć łaskę i zaufanie władzy. Różne też panowały poglądy na temat następnego ładu. Jedni mówili o przeczekaniu, widzieli wojnę w najbliższej przyszłości. Inni popadali w pesymizm i obwieszczali nieuchronną zagładę świata. To wszystko działo się wokół nas. My, młodzi, w sposób naturalny przyzwyczajiliśmy się do nowego porządku, innego nie znaleźliśmy przeciw, przemoc towarzyszyła nam od czasu okupacji i jej trwałość nie budziła w nas zaskoczenia. Tę dawną, przedwojenną Polskę znaleźliśmy tylko z opowieści rodziców. Innego uczono nas rodowodu, innych mieliśmy bohaterów. Wszędzie z plakatów i portretów, w szkolnych klasach, świetlicach i uniwersyteckich aulach, z frontonów gmachów państwowych, transparentów w pochodach i na wiecach; zewsząd spoglądał na nas ojcowskim okiem Wielki

Nauczyciel, wąsaty ojciec narodów. Nasiakaliśmy nową mową książek, gazet i radia. Niektórzy z nas zaczęli brać w tym czynny udział, młoda energia domagała się ujścia, wyżywali się w organizacjach i akcjach, chłonęli marksistowską religię i doznawali odurzającego smaku władzy, wywyższenia, szansy dla ambicji. Inni natomiast woleli rewiry zakazane, jazz, amerykańskie ciuchy, harcerstwo. Inni jeszcze istnieli jak w próżni, ani tu ani tam. Byli też tacy jak glina, bezwolni, oni dawali się urabiać.

Niektórych życie publiczne w ogóle nie interesowało. Instynktownie traktowali cały ten dopust jako oczywistość ludzkiego bytowania na ziemi. Niejednego ratował wybujały, młodzieńczy indywidualizm, próby wydeptywania własnych, osobnych ścieżek.

Ja dla przykładu w pojedynkę zmagam się z Bogiem, rodziną, tradycją. Szukałem po omacku ujścia dla swoich nieokreślonych marzeń, męczyłem się z plugawą i tak rozkoszną hydrą erotyzmu. A byli jeszcze pośród nas tacy jak Romek K., koleżanka Woroniewicz. Oni przybyli z zapadłych wiosek, robotniczej biedy, nosili brzemień ciężkiego dzieciństwa, krzywd swoich rodziców z dawnego świata przed pożogą; cały ten rachunek złej pamięci. Marek W., zwany Francuzem, wywodził się z rodziny o tradycjach komunistycznej walki z wyzyskiem. Oni czuli się posiadaczami prawdy, recepty na przyszłość. Ta władza dała im przecież studia, stypendia, otworzyła jasną perspektywę. Byli jej głęboko oddani, osiągnęli bowiem rzeczywisty awans i mieli poczucie uzyskanej sprawiedliwości.

Tyle o nas bardzo młodych w tamtych, zamierzchłych czasach.

Wracam do koleżanki Woroniewicz. Nie jestem pewien, czy okazałem jej wdzięczność. Może coś wypiliśmy? Ona nie wylewała za kołnierz. Bywały takie studenckie popijawy z okazji zaliczenia ćwiczeń, seminariów, egzaminów. Coś podobnego musiało nastąpić. Wino patykami pisane gdzieś w krzakach. Chyba na skarpie porośniętej chaszczami za Pałacem Kazimierzowskim. Jesteśmy w ścisłym gronie. Romek, Zbyszek, może Nina, starościna naszej grupy. Koleżanka Woroniewicz gul, gul. Przechyla butelkę i trąbi fachowo. Powtarza się stały motyw jej niekobiecego zachowania. Rubaszny styl, głos z lekką chrypką. Zwracała się do nas po nazwisku.

Co więc ciągnęło do mnie koleżankę Woroniewicz?

Na pewno odmienność. Odmienność eksponowałem po efekciarsku w tamtym czasie. Z pychy i chęci podkreślenia swej niepowtarzalności. Nie byłem za ani przeciw. Żyłem w tym po prostu. Nie zastanawiałem się, czy to jest dobre lub złe. Było. Ale nie pociągała mnie ta nowa treść i forma. Mało w tym zosta-

wało miejsca na swobodę, indywidualizm i żywioł. Nic prawie. Wszystko w rygorach i kanonach. Nudą z tego wiało. Szarą i przygnębiającą. Mechanicznie powtarzanymi czynnościami, słowami, skandowaniem, wykonywaniem tych samych gestów, ruchów, min.

Aktywiści byli dla mnie prymusami. Więcej. Podlizuchami. Podlizywali się szefom. Nie znosiłem podlizuchów. Toteż wśród działaczy nie znalazłem ani jednego, który by mnie pociągał, imponował swą postawą, siłą, wiarą. Chyba tylko Zbyszek B. Ale on był zaprzeczeniem wiary przez swą dwuznaczność. Raczej uosobieniem szydlerczego żartu z wiary.

Odpychała mnie więc ta cała oficjalna, zwycięska rzeczywistość. Począłem się interesować życiem na obrzeżach, tym co jeszcze zostało poza głównym nurtem. Miasto miało swój niekontrolowany, podziemny świat. Tam nowe docierało wolniej. Panowały inne prawa, zwyczaje. Pozostała żywa tradycja. Kwitł kult indywidualności, kozaka, cwaniaka nad cwaniakami, artyści, jak się tam mówiło. To wszystko miało dla mnie smak wolności. W tamte strony począłem błędzić. Zaufanych z naszego roku niekiedy zapraszałem gościnnie do tych wędrówek. Musiałem się przecież popisać, komuś zaimponować. Nie potrafiłem napawać się tym bez odzewu.

Był ze mną na takiej wycieczce student Lis, persona organizacyjna, oficjalna. Nic więcej o tym Lisie nie potrafię powiedzieć. Jedyne nazwisko się zachowało. Musiałem mieć do niego zaufanie. Być może o tych wyprawach krążyły jakieś opowieści, domysły. Wyobraźnię jeszcze mieliśmy nie zdławioną ostatecznie. Może dotarły te zmitologizowane wieści do koleżanki Woroniewicz. Poczwała pociąg do żywiołu nieznanego, występnego. Sama wiele miała w sobie nieopanowanych odruchów, spontanicznych reakcji, ciekawości życia po prostu. Nie całkowicie została zduszona w zetempowsko-partyjnym gorsecie. Tak myślę po latach. Była na pewno entuzjastką. Z gorącego przekonania brała udział w działalności społecznej. Jaką żywiołową radość manifestowała podczas 1-majowego pochodu! Wystrojona w mundur organizacyjny, uśmiechając się promiennie, ciskała kwiaty i wymachiwała rękoma do stojących na trybunie przywódców partii i rządu. Wtedy przypominała przysłowiową dziewczynę na traktorze. Taki plakat jaskrawy, zdobywczy zdobył mury miast i miasteczek całej Polski. Ta jasnowłosa, uśmiechnięta traktorzystka była symbolem nowego ładu. Koleżanka Woroniewicz zaś jej żywym uosobieniem. Pamiętam jak zagrzewała nas do pracy w akcji żniwnej podczas studenckich wakacji. Sama dawała przykład, ładując niezamordowane na przyczepę snopy zboża. Fizycznie silna, wpra-

wiona, jak mówiliśmy z przekąsem i uznaniem zarazem. W PGR-ze tak fachowo rozmawiała z rolnikami. Pytała o paszę. Oglądała ponemiecką młockarnię. Szturchnęła butem prośną maciorę. Dostrzała rasową krowę. W oczach rolników zaskoczenie i uznanie. Ktoś z nas wtedy zachorował. Trzeba było chorego zawieźć do miasteczka. Szybko i zręcznie zaprzęgała konia do bryczki. Potrząsnęła lejcamy, zamokła. Koń ruszył kłusem. Pozostał obraz: znika bryczka w topolowej alei od podjazdu przed zrujnowanym, obłożonym z szarego tynku i czerwieniejącym ranami odślonytych cegieł budynkiem, który niegdyś był dworskim pałacem junkra pruskiego. Patrzyłem i nic nie myślałem wtedy. Jednak obraz pozostał. Istniała między nami niewyraźna w słowach więź. Byłem na wskroś miejski. Ona ze wsi. Miasto. Wieś. Interesowaliśmy się sobą także z powodu tej odmienności. Swoisty sojusz miasta ze wsią.

Niewiele z tamtych lat zostało. Miesza się jedno z drugim, urywa, wikła, gmatwanina niespójnych elementów, brak chronologii, porządku. W dodatku ten październikowy wstrząs tak poruszył wszystkim. Zamącił klarowność, przerwał ciągłość pasma zdarzeń. Nastąpił kres studiów, to była ulga, nie miałem serca do prawa, mimo usilnych prośb rodziców zrezygnowałem z prawniczego zawodu.

Rozpocząłem literackie próby i intensywnie kontynuowałem studia nad życiem. Nadal obszarem mojej penetracji był podziemny światek warszawskich mętów.

Chętnie przebywałem w kawiarni „Polonia”, ostoi prostytutek, sutenerów, złodziejaszek i handlarzy złotem. Siadywałem w doborowym towarzystwie Pięknej Izy, Hanki Mops, Kulawki oraz mężczyzn odpowiedniego autoramentu. Akurat popijaliśmy czystą monopolową spod stolika, kiedy od strony szatni dobiegł donośny, z lekka ochrypły głos kobiety. Wołano mnie po nazwisku. Odwróciłem głowę. To była koleżanka Woroniewicz. Przywoływała mnie gwałtownymi gestami. Nie zmieniła się wcale. A choć moda nastała już znośna, ona ubierała się z dawną oryginalnością komunizmu wojennego. Kurtka czy bluza męskiego typu, spodnie i buty narciarki. No i ta konopna ondulacja.

Przywitała mnie mocnym uściskiem dłoni. Od razu przystąpiła do rzeczy. Pracuje w milicji jako inspektor obyczajówki. Następnie z zawodowym impetem zaczęła się dopytywać o moje towarzystwo przy stoliku. Kogoś z tego grona nie znała.

— Chcesz ze mnie zrobić kapusia! — zgañiłem ją za ten brak taktu.

Nie upierała się przy swojej dociekliwości. Opowiadać zaczęła o losach koleżanek i kolegów z naszego rocznika. Wiele

osób tak jak ona rozpoczęło pracę w milicji ze względu na dobre warunki, które tam proponują. Równocześnie nie przestawała omiatać kawiarnianej sali czujnym wzrokiem. Oparci o kontuar w szatni rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas.

Później często zdarzały mi się spotkania z koleżanką Woroniewicz. Przebywaliśmy przecież w tym samym kręgu. Ona traktowała mnie jako wybitnego przedstawiciela półświatka. Ta pozycja odpowiadała moim ambicjom. Raczyłem ją obficie zmysłowymi historyjkami, czyniąc swoistą literaturę z dreszczykiem. Słuchała pilnie i odniosłem wrażenie, że nie tylko zawodowo intrzyguje ją ten świat, tak bardzo niezgodny z obowiązującymi normami. Wystrzegła się jakiegokolwiek oceny i nie posługiwała się wcale językiem dydaktycznych frazesów i sloganów. Używała tutejszego slangowego słownictwa. Władza nim biegle. Czuła więc smak słowa. Kiedyś w nocnej knajpie zwanej „Dołkiem”, będąc najwyraźniej służbowo, tańczyła z wielką ochotą. Taniec sprawiał jej przyjemność. Partner był typem przypadkowym i mocno podejrzanym.

W swojej chęrcze zasięgnąłem języka o koleżance Woroniewicz. Piękna Iza i inne damy stwierdziły zgodnie: — Psica, ale różna! Niezła jako człowiek. Tak wynikało z opinii.

Jest rok 1969. Siedzę samotny w jakimś kawiarnianym barku. Włóczyłem się wtedy godzinami po mieście, czyniąc postoje po drodze i wzmacniając się kawą. Nie byłem w najlepszym stanie ducha. Straciłem już młodzieńczy entuzjazm i pasję poznawania zakazanych rewirów. Także po raz pierwszy stwierdziłem z ponurą pewnością, że świat w którym żyjemy jest wynaturzony i w swej złej istocie niezmienny.

Zapewne o czymś takim medytowałem w kawiarnianym barku. Ktoś mnie z tyłu w plecy prask! Odwróciłem się wściekły. Koleżanka Woroniewicz! Te same oczy, bardzo intensywne w kolorze i żywe, dużo w nich pogody. Czas już odcisnął swoje piętno na twarzy, tu i ówdzie srebro w uzębieniu.

— Po pierwsze musisz wiedzieć... — oświadczyła na wstępie.
— Z komunizmu już jestem wyleczona.

Była z jakimś facetem.

— Mój dyrektor — przedstawiła go. — Radcuę u niego.

Była więc radcą prawnym w jakimś przedsiębiorstwie. Przed nimi kielichy z koniakiem i urzędowe papiery.

Nie byłem ożywiony jej widokiem. Tamte lata przygaśły już znacznie i nie budziły zbyt wielu skojarzeń.

Zapytała, co nowego piszę. Wiedziała o moim zajęciu. Wspominała z sentymentem pracę w obyczajówce. Dziewczyny z półświatka ją lubiły i ona je lubiła. Posiadała wśród nich sekretne

informatorki. Często szła im na rękę i w ten sposób wyrażały swą wdzięczność. A kiedy odchodziła z milicji i inna inspektor przejęła jej siatkę, to tej nowej nic nie chciały mówić.

Słuchałem ze zdumieniem. Zwykłe sprawy w takim środowisku. Zależności i szantaże. Zresztą ten rodzaj związków między ludźmi upowszechnił się także w normalnym życiu.

Dyrektor spoglądał na swoją prawniczkę z sympatią.

— Halina, to jest numer! — powtarzał. Był w typowo dyrektorsko-prezesowskim typie. Tęgawy, układny, o przebiegłych oczach w nalanej twarzy.

Na odchodne wymieniliśmy z koleżanką Woroniewicz numery swoich telefonów. Zafundowała ten sam mocny uścisk dłoni. Na palcu zauważyłem ślubną, grubą obrączkę. Wkrótce zapomniałem o tym spotkaniu. Dopiero w 1983 roku zimą zobaczyliśmy się znów.

Było to na Krakowskim Przedmieściu. Wychodziła z łaźni miejskiej. Czerwona, rozgrzana kąpielą. Wychwalać zaczęła zdrowotne właściwości tego zabiegu. Z dzieciństwa wyniosła to upodobanie. Jakiś starowiec i bania. Starowiec nazywał się Jefiszew. Bardzo wyraziście opisała drewnianą chatkę z grubych beli, rozgrzane, buchające parą kamienie i chłostę brzoźowymi różgami.

Była po wypadku samochodowym. Odgarnęła włosy, pokazując bliznę na skroni. O krok od śmierci. Zaznaczyła z naciskiem. Wyraźnie ucieszona ze spotkania. Ja też. Coś w niej było dawnego, niezmienionego. To cieszy po tak długiej przerwie. Zaprosiłem więc koleżankę Woroniewicz do domu na herbatę.

— Po łaźni w sam raz — powiedziałem. — Czaj.

Zgodziła się chętnie.

Jola także pamiętała ją ze studiów. Całą trójką byliśmy weteranami tamtego rocznika prawa UW. Odbył się wieczór wspomnień. Koleżanka Woroniewicz posiadała wyczerpującą wiedzę o losach naszych koleżanek i kolegów ze studiów. Wiedziała o ich sukcesach w zawodzie i niepowodzeniach. Małżeństwach i rozwodach. Chorobach i zgonach. Sypała nazwiskami. Większość była dla mnie zupełnie obca. Zapomniana. Ale zanurzyłem się w tamte lata. Dawna atmosfera, koledzy z którymi łączyły mnie niegdyś bliskie związki. Zapytałem o Zbyszka B. Wiedziała o nim wszystko. Po studiach pracował w radzie narodowej pewnego bogatego, ogrodniczo-sadowniczego powiatu. Awansował na kierownika wydziału. Wdał się w jakieś interesy z właścicielami sadów i inspektów. Coś im ułatwiał, załatwiał, oni odpłacali mu się hojnie. Żył na szerokiej stopie. Powinęła mu się noga. Dwa lata więzienia. Po odbyciu kary przeniósł się na północny koniec

Polski. Ożenił się z rozwódką. Dzięki jej stosunkom zakorzenił się w nowym miejscu. Ceniony radca prawny kilku spółdzielni i przedsiębiorstw. Pokery u lekarzy, adwokatów i plebanów. Hulaszczy tryb życia i jako rezultat operacja wrzodu żołądka. W szpitalu poznał młodą pielęgniarkę. Porzucił żonę. Z pielęgniarką wyjechał w zarobkową podróż do USA. Wrócili z dolarami, ona także z brzuchem. Obecnie Zbyszek B. rozgląda się za korzystną lokatą przywiezionego kapitału. Tyle o Zbyszku. Zaraz o innym, którego w ogóle nie pamiętałem. Temu rozpadła się rodzina, pije na umór. O Marku, zwanym wtedy Francuzem. Jest personą w MSW. Losów Romka K. nie znała. Zniknął zupełnie.

— A pamiętasz Anię Płatek? — dorzuciła jeszcze. — Ona jest majorem milicji.

To mnie nieco zaskoczyło. Przyznaję. Ania. Taka eteryczna, drobna. Budziła opiekuńcze odruchy.

Nawracałem uporczywie do Zbyszka. Dowiedziałem się jeszcze, że miał złe, wręcz fatalne pochodzenie społeczne. W stalinowskich czasach przywiązywano do tego szczególne znaczenie. Ten fakt zapamiętała z zebrania partyjnego.

— Ale odciął się od starego — powiedziała.

Znowu poczułem dla niego dawny podziw. Pokonał nawet barierę rodowodu. Wtedy był najmądrzejszym z nas. Ale chyba od początku nie miał żadnej wiary i nadziei. Tak już pozostało. Pomyślałem także o swojej zamierchłej mitologii półświata. Czym był dla mnie ten półświatek? Młodzieńczą chimerą wolności!

W ostatniej kolejności koleżanka Woroniewicz zdawać zaczęła relację z własnego życia. Ożywiła się znacznie. Przemierzała gwałtownym krokiem nasz nieduży pokój, to znów siadała na krzesło, szeroko rozstawiając nogi jak utrudzony wieśniak. Jej nieduża, krzepka postać niewiele się zmieniła od tamtych, uniwersyteckich czasów; przypominała bryłę.

Zaczęła od steku wyzwisk na męża. Były one piętrowe, efektowne ale pospolite. Wśród nich słowa „To kurwiszcze w mundurku!” były najzabawniejszym epitetem.

Żeby wyjaśnić przyczynę tego wybuchu, muszę uporządkować jej długą opowieść o życiu. To spotkanie bowiem było początkiem wielu przegadanych nad flaszką bimbrowieczy. Bimber sporządzała znakomity. Koniak. Tak nazywała ten swój wyrób. I słusznie. Popijaliśmy ten mocny, szlachetny trunk. Ona opowiadała. Potrzebę mówienia miała niepohamowaną. Jej opowiadanie nie biegło w kolejności zdarzeń, pełne meandrów,

dygresji, nawrotów. Alkohol wzmagał gniew koleżanki Woroniewicz i jej głos nabierał awanturniczego brzmienia. Oczy niebieskie jak głębokie jeziora miewały w chwilach gniewu kolor stali.

— To kurwiszcze w mundurku! — powtórzyła jeszcze raz podczas naszego pierwszego spotkania z głuchą zawziętością. — Na mnie to on sobie resztki swoich zębów połamie... Nie dam się! Taki rympa! — po łobuzersku uderzyła się dłonią w drugą rękę, zgiętą w łokciu. Tak to określiła dziarsko. Jednak wcale to tak dziarsko nie wyglądało. Jej stan ducha bliski był rozpaczy.

Męża poznała w kilka lat po ukończeniu studiów. Było to na zabawie. Młodzi elewi szkół oficerskich dla kurażu wypijali ćwiartkę wódki we dwóch i ruszali w uwodzicielskie tany. Doskonale tańczył. Umiejętność tańca jest dla koleżanki Woroniewicz niebagatelnym przymiotem. Wywodził się z chłopskiej rodziny z Lubelskiego. Jego ojciec miał niewielką gospodarzkę i pięcioro dzieci. Pochodzenie jest istotne dla dalszych wydarzeń. Od razu znaleźli wspólny język. Ona także była chłopskim dzieckiem. Urodziła się w krainie jezior. Jej rodzice pochodzili z małej wioski w pobliżu Suwałk. Bezradni, wynajmowali się do pracy u bogatych gospodarzy. W poszukiwaniu lepszego życia przenieśli się do miasta. Tam ojciec, wioskowy cieśla, porzucił matkę i związał się z inną kobietą. Zapamiętane dzieje nieudanego małżeństwa rodziców przybierają w jej słowach charakter przekleństwa losu. Zapamiętała z dzieciństwa wiecznie pijanego ojca, stosunek do matki, awantury. Wraz z przeprowadzką mundur żołnierski stał się stałym elementem jej życia. Matka dostała pracę jako pomywaczka w kuchni kasyna oficerskiego. Suwałki były miastem garnizonowym. Koszary, kawaleria, ćwiczenia i defilady. Lance, tupot kopyt po bruku, amaranty, spocone, błyszczące zady koni. Pięknie w słońcu wyglądali kawalerzyści. Niezatarte widowisko dla dziecięcych oczu. Na jakiejś uroczystości pod patronatem komendy garnizonu recytowała wiersze o marszałku Piłsudskim. Potem przyszła wojna. Na rogatkach miasta od strony wschodniej pokazał się konny zwiad w burych szynelach. Pokłusowali przez miasto i zawrócili. Mieli miękkie buty z cholewami, nie używali ostróg. Po południu przybyli Niemcy i już tam pozostali. Ojciec zajmował się przemysłem przez granicę. Czasem pojawiał się w domu i przynosił jej cukierki. Wkrótce słuch o nim zaginął. Wróciły z matką do rodzinnej wioski. Mieszkały kątem jako komornice u gospodarzy. Znosiły wiele upokorzeń i szturchańców.

— Dziadówka! — wołały za nią dzieci.

Wtedy po raz pierwszy w życiu pobiła się z chłopakiem. Walka pozostała nierozstrzygnięta, rozdzielili ich dorośli.

Matka rozchorowała się ciężko i ona musiała zarabiać na utrzymanie ich obu. Była silna, zdrowa, pracowała w polu, pasła krowy, pomagała rybakom rozplątywać siatki. Nauczyła się pływać w jeziorze, chłopcy próbowali ją topić dla żartów, ale nie dawała się i sama wpychała im łby pod wodę, piszczełi jak szczecięta.

W 1944 w Filipowie stanął front i przyszli Ruscy. Wysiedlili całą wieś i wtedy zamieszkały z matką nad najgłębszym jeziorem Hańcza. Front zatrzymał się na kilka miesięcy. Ruscy na północnym odcinku od Gołdapi przełamali niemiecką obronę i próbowali ich odepchnąć. Dopiero za czwartym razem to się im udało. Opowiada o tych frontowych zmaganiach z dużą dozą wiedzy o sztuce wojennej. Pozycja atakujących Ruskich była bardzo niedogodna. Wieś leżała jak w misie wśród pagórów. Niemcy zajmowali wzgórze, a Ruscy zalegli w dolinie. Z tej niedogodnej pozycji ponawiali ataki. Teatr działań wojennych był jej świetnie znany na odcinku co najmniej dziesięciokilometrowym. Wraz z gromadą wyrostków buszowała po okolicy, nie zważając na niebezpieczeństwa. Nawet przekraczali front. Znali takie luki w lasach i moczarach, gdzie można było przechodzić na drugą stronę. Raz wdrapali się na wierzchołek wieży triangulacyjnej i widzieli stamtąd, jak kolumna ruskich czołgów sforsowała linię niemieckich umocnień na wzgórzach i wdarła się w głąb nieprzyjacielskiego obszaru. Czołgi zostały otoczone i zniszczone. Tylko kilka powróciło cało z tego wypadu. Niemcy schwytali dowódcę kolumny czołgowej, kapitana czy porucznika. Rozprawili się z nim ze straszliwym bestialstwem. Wykroili mu na czole sowiecką gwiazdę. Zamordowanego porzucili na drodze. Zabrali go później Ruscy i wieźli wozem. Trup leżał na słomie i poruszał się bezwładnie wraz z kołysaniem się wozu po wybojach. Piękny mężczyzna o kędzierzawej, smolistej czuprynie. Kredowa twarz i krawata gwiazda na czole. Pod Filipowem jest cmentarz ruskich żołnierzy, leżą w zbiorowej mogile, piękny oficer wśród nich. Kilka razy zaniósł tam kwiaty i złożył pod betonowym obeliskiem z czerwoną gwiazdą na szczycie.

Zimą na łyżwach często się przeprawiała na drugi brzeg jeziora do Pałacu. Pełno tam było uciekinierów i odbywały się zabawy. Po raz pierwszy jako dziewięcioletnia dziewczynka brała udział w tańcach dorosłych. Tańczyła jak w transie przez kilka godzin. Wśród uciekinierów znajdowała się starsza pani z Wilna. Dawna tancerka z petersburskiego baletu. Pochwaliła ją za wycucie rytmu i piękno ruchów. Umiłowanie tańca pozostało jej na całe

życie. Z tej pamiętnej zabawy wracała księżycową nocą. Biała powierzchnia jeziora. Czarne brzegi. Bliskie odgłosy artyleryjskiej kanonady. Pięknie i strasznie. Sunęła na łyżwach jak strzała.

Podczas tej przyfrontowej zimy Rusczy głośzyli granatami ryby w przereblach. Białe od ryb wypływających brzuchami na powierzchnię. Wybierali tylko największe, resztę zostawiali. Te ryby stanowiły podstawowe pożywienie dla niej i matki. Rusczy lubili dzieci i jeden starszyzna szczególnie ją sobie upodobał. Szczypał w policzki, dawał cukier, a raz podarował blaszaną puszkę z tuszonką. Dobry człowiek. Misza. Pokazywał fotografię swoich córeczek. Młodsza Katia była podobna do niej.

Więc wybraniec jej serca, absolwent szkoły oficerskiej, także pochodził z chłopskiej rodziny. Zaznał tak samo jak ona wiele wojennego okrucieństwa. Dwa razy spalone zostały zabudowania gospodarki jego rodziców. Raz podczas frontowych zmagania, a drugi raz odbyła się pacyfikacja. Esesmani podpalili wioskę i strzelali do ludzi. Wtedy zginął jego ojciec, dziadek, najstarszy brat.

Oficer i chłop. Uznała to za dobry omen. Sentyment do oficerskiego munduru wiernie przechowała z lat przedwojennego dzieciństwa. Oboje przypadli sobie do gustu i po krótkim okresie narzeczeństwa zawarli związek małżeński.

Stosunek do życia mieli optymistyczny. Nowy ład społeczny dawał im szansę. Jej matka umarła wkrótce po wojnie i ona przebywała w internatach pod Oleckiem i w Gołdapi. Uczęszczała do technikum rolniczego, jako agitatorka brała udział w wyborach, pracować zaczęła w zarządzie ZMP, skąd skierowano ją na kursy przygotowawcze przed wyższymi studiami.

Przyszły mąż zaś odbywając zasadniczą służbę wojskową, otrzymał możliwość zostania oficerem zawodowym.

Gdzie miał wracać? Na lichą, piaszczystą ojcowiznę?

Wybrał zawodową służbę w wojsku.

Oboje nową władzę traktowali jako swoją władzę.

Jednocześnie ona zapamiętała ze stron rodzinnych, jak osadzano w obozach i wywożono do Rosji tych z AK. Po lasach wtedy jeszcze siedziała partyzantka. Wcale jednak linia podziału nie występowała według klasycznego schematu na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Ci wyzyskiwani często z bronią w ręku występowali przeciw nowej rzeczywistości. Motyw odjazdu aresztanckich eszelonów na wschód był stałym obrazem z tamtego czasu. Jedna kobieta tak wołała przeraźliwym głosem: — Józek, wróć! Pociąg oddalał się i oddalał. Znikł zupełnie. Jeszcze słyhać było tylko cichnące dudnienie szyn.

Przymyka oczy i już widzi ten obraz.

W latach późniejszych pogrążona w nawale zajęć społecznych i nauce, nieczęsto o tym myślała. Pragnęła cieszyć się życiem, otwierając się przed nią perspektywą. Chciała mieć jasny, uporządkowany obraz świata i chętnie przyjmowała obowiązujące wyjaśnienia. Szczególnie była spragniona szczęścia rodzinnego. Przecież w dzieciństwie tego szczęścia zaznała tak niewiele. Oboje z mężem pochłonięci byli urzędowaniem swego życia. Urodziła im się córka. Otrzymali mieszkanie i przekonała męża, żeby podjął studia na WAT. Opowiadając o tych dobrych latach często używa słów w rodzaju: — Powiedziałam, poleciłam, nawet — kazałam. Te słowa pozwalają przypuszczać, że siłą motoryczną w tym stadle była właśnie ona. Podejmowała decyzje, rozstrzygała i czuwała nad realizacją zamiarów. Dopięła swego. Ukończył studia i zdobył tytuł inżyniera magistra. Odwiodła go także od złudnego mirażu lepszych możliwości służby na prowincji. Obawiała się marazmu i jałowizny tak typowej dla życia garnizonowego. Jej mąż był przecież oficerem o wyższym, technicznym wykształceniu i miał przed sobą rozległe widoki. Czuwała nawet nad dobrem jego przyjaciół. O korpusie oficerskim była bowiem krytycznego zdania. Przedwojenni oficerowie reprezentowali znacznie wyższy poziom od ludowej kadry. Pamięta dawnych oficerów z kasyna, w którym pracowała matka. Szczególnie kawalerzystów.

— To były orły! — powiada z zachwytem.

Powojenne hasło zachęcające do służby w wojsku: — Nie matura lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera — spowodowało napływ miernoty i podupadł prestiż rangi.

W tych latach budowy wspólnego życia zgodni byli we wszystkim, panowała między nimi całkowita harmonia. Ona nawet więcej miała wiary i zapału. Mąż poglądy posiadał sceptyczne, powściągliwe, wiele krytycznego doświadczenia wyniósł ze swojej wioski, z której ludzie siedzieli po leśnych oddziałach do końca roku 50-go. Przykłady czerpał stamtąd jak z rogu obfitości i wcale nie miały one pozytywnego morału.

— Ty reakcjonisto! — mówiła do niego żartobliwie.

Chętnie opowiadał następującą historię: był u nich we wsi pewien nierób, miał pięcioro dzieci i zaniedbaną gospodarkę. Najgoręcej agitował do kołchozów. Dopadli go nocą gospodarze, łeb okręcili workiem i wrzucili do wyschniętej studni. Siedział tam dwie doby. Wył.

— Coś jakby wilki podchodzą — mówili starzy ludzie, a przecież niejednen z nich wiedział doskonale, w czym rzecz. Przypadkiem odnaleźli go geodeci. Milczał jak zaklęty i żadnej skargi nie złożył. Przestał ludzi do kołchozu namawiać.

— Wyleczył się drań! — zaśmiewał się do łez jej mąż, który był już kapitanem.

Albo ta opowieść o zbożu co miało być darem ZSRR, a okazało się polskim zbożem.

— Kułacką masz naturę — mówiła; jeszcze wtedy przekonana o słuszności wszystkich oficjalnych racji.

Niektóre jego opowieści brzmiały jak szkalująca plotka, która mogła być tylko wymysłem wroga.

Szczelina we wzajemnej harmonii poczęła występować w latach 70-tych. Ona już całkowicie wyleczyła się ze swojej ślepej wiary. Patrzyła im na ręce i widziała, jak oszukują i gnębią ludzi. Mąż myślał tak samo, ale zupełnie już zobojętniał. Skończyły się bezpowrotnie ich wieczorne rozmowy. Te rozmowy były dotąd stałym, końcowym akcentem dnia. Tyle mieli sobie do powiedzenia.

— Szkoda czasu i nerwów — tak powiedział świeżo upieczony major. — Co my możemy? Tak jest i tak będzie. Tak musi być.

To były jego ulubione słowa. Każdą wątpliwość, jej gniew, oburzenie, uciął tymi niewolniczymi słowami.

Im wyżej posuwał się w hierarchii rang i stanowisk, tym bardziej stawał się uległy i pozbawiony rozterek. Ślepa gorliwość wobec przełożonych dawała mu spokój sumienia. Ponadto była szansą awansu i innych widoków. Chętnie posługiwał się gazetowymi sloganami, wyjaśniającymi jak należy każdą wątpliwość. Obserwowała umacnianie się tej postawy. To była chłopska, pańszczyźniana właściwość. Swoisty atawizm uległości i pokory. Ona sama wywodzi swe pochodzenie ze szlachty zaściankowej, zubożałej co prawda, ale przechowującej w pamięci pokoleń swą dumę, odrębność. Mąż natomiast zwalniał się od jakiegokolwiek oceny i spokój jego sumienia stawał się dla niej coraz bardziej obcy, wręcz odpychający.

Tę zmianę jego postawy określa lapidarnym skrótem: — Historii WKP(b) wyuczył się na pamięć, a zapomniał historii Polski.

Raz w roku wyjeżdżał na szkolenia do ZSRR. Szkolili się tam wszyscy z Układu Warszawskiego. Wracał stamtąd oślepiiony ich ogromem i potęgą.

— To jest gigant! — powtarzał jak zaczadziały.

Po pierwszym powrocie myślał nawet o przejściu do cywila. — Mam przecież fach — powiedział.

Popełniła błąd, odwołując go od zamiaru opuszczenia służby wojskowej.

W 1970, kiedy ten drań Gomułka zrobił robotniczą masakrę, wystąpiła z partii.

— Co się wygłupiasz! — tak jej powiedział. — Czy coś naprawisz swoim wystąpieniem? Siedź cicho i tyle. Jeszcze mnie możesz zaszkodzić.

Liczył wtedy na wyższe stanowisko.

— Ty dziadu zakłamany! — ogarnęło ją obrzydzenie. — Jak ci nie wstyd.

Popatrzył na nią z politowaniem i stuknął się w czoło.

Życie zawodowego oficera, zwolnionego od wszelkich rozterek i samodzielności w podejmowaniu decyzji. Tym przecież zajmowali się przełożeni.

W sztabie oni chlali. Tyle tej gorzały potrafili wychlać!

— I tak jesteśmy słabsi od Ruskich — takie mieli swoje powiedzenie.

Kasyno w pobliżu, tania wódka z niewielką marżą. Towarzystwo sztabowe ochocze do pijatyki. Zmawiali się co parę dni. Te sekretarki, maszynistki, archiwistki, wszystkie te źdzyry biurowe chlały z nimi ochoczo. Sprzątaczkom też nie popuszczali. Co na drodze, to nieprzyjacieli! Popili się i jeden rąbał kelnerkę z jednej strony bufetu, a drugi inną kelnerkę z drugiej strony bufetu. Kiedyś podsłuchała z korytarza jak sobie opowiadali wrażenia. Sztabowcy zafajdani, oficerowie od siedmiu boleści.

Przeważnie więc wracał późnym wieczorem i łął o różnych naradach, odprawach, zapadają wielkie postanowienia, pracują nad planami nowoczesnej strategii i taktyki. Oczy miał czytelne. Czytała z nich jak z książki. Same kłamstwa. Latem 1971 wrócił do domu o świcie. Złajdaczony i głupawo uśmiechnięty. Syty knur. Wtedy po raz pierwszy ogarnęło ją poczucie gorzkiego zawodu. Zapowiedź klęski. Chciała czystości, szczerości. Chciała uczuć. Chciała prawdy. Tak być przecież powinno. Marząc o życiu rodzinnym w tych swoich sierocych latach, nie tak sobie swą przyszłość wyobrażała. Ojczyzna i rodzina. Skopana, zniewolona ojczyzna i małżeństwo w rozkładzie. Tak zobaczyła swoje życie w dużym i małym wymiarze. Była wtedy w internacie pod Oleckiem i zawędrował tam grajek bez nogi, powstaniec z Warszawy. Rok po wojnie. Letnia pora. Wieczór. Pod gospodą grał na harmonii i śpiewał. Zasłuchany krąg wokół niego. Ucichli pijacy. W ciemności błyszcząca inkrustacja harmonii jak srebrna, rybia łuska. Pięknie grał i śpiewał. Nauczyła się tej pieśni natychmiast. Słowa same w głowę wchodziły i już na zawsze pozostały.

Oto jak śpiewał beznogi grajek.

*W słoneczny dzień sierpniowy Warszawa się modliła
Huczała od pocisków, padała i wstawała.*

*W ponury dzień sierpniowy Warszawa umierała
Nie mogłem Cię zobaczyć, dzieliła nas ulica
Śmierć, kule, jęki rannych, paląca się stolica
Powstanie nas porwało, jak wiatr rozwiało wszystko
Straciłem Cię najdroższa, choć byłaś bardzo blisko
Szukam Ciebie od wielu miesięcy
Ty gdzieś jesteś, ja to czuję i wiem
I wciąż pragnę Cię najgoręcej
Całą duszą, sercem i snem.
Nawiedzam Twój pokój
W nim słońce wciąż się śmiało
Dziś z Twego pokoiku i śladu nie zostało
W gruzach kamienicy umarło szczęście moje
Nigdy nie zapomniane gdyśmy byli we dwoje
Chcę przeżyć jedną chwilę z tej naszej bajki cudnej
Choć wiem, że szczęście kruche i takie złudne
Szukam Ciebie od wielu miesięcy
Dziś idąc przez Warszawę o Tobie wciąż marzę
Przechodniów potrącając, zaglądam wszystkim w twarz.*

Nocą patrzyła na śpiącego obok męża. Niewiele pozostało z dziarskiego, uczciwego chłopaka z tej zabawy, kiedy to zobaczyli się pierwszy raz.

Szukała na gwałt oparcia. Wstawiała o świcie i szła na działkę. W pobliżu oficerskiego osiedla znajdowały się ogródki działkowe. Mieli 400 m² i tam tyrała jak chłop, kopiąc, grzebiąc, siejąc i sadząc. Opowiada o letnich wieczorach na działce. Spędzała te wieczory w gronie mężczyzn z pobliskich ogródków. Zapraszała ich do swojej altany i wnioskuje z opisu altana przypominała chińską pagodę, dach miała kilkuspadowy i ściany ozdobione kolorowymi szkiełkami.

— W słońcu tak pięknie się skrzyły!

Działkowicze z sąsiedztwa, oficerowie lub wojskowi renciści, szanowali ją z powodu ogrodniczej wiedzy, radzili się i wymieniali poglądy, częstowała ich winem swojej roboty, gwarzyli do późna w noc.

Najbardziej jasnym obrazem z mroków gnijącego małżeństwa (tak dosadnie powiedziała: — „Gniło to całe nasze życie”) były wczasy w siodle. Na Pomorzu wśród jezior i rozległych lasów znajdował się wojskowy ośrodek wypoczynkowy i tam znalazła największą przyjemność. Mąż bywał z nią, ale siedział tylko w cieniu na werandzie domku kempingowego i popijał z podobnymi do siebie gierojami, jak powiedziała ze wzgardą. Ona zagustowała w konnej jeździe. Arkana tej umiejętności opanowała niczym

zawodowy kawalerzysta. Nauczyła się konie osadzać lub pobudzać do biegu ostrogami, ściągać i popuszczać lejce, zaciągać popręgi i umiejętnie szturchnąć rumaka kolanem w brzuch, żeby się nie wzdymał. Ochoczo demonstruje na krześle rytmiczny i wcale niełatwy sposób unoszenia się w siodle podczas jazdy. Podgarnia spódnicę, mocne, krótkie uda, jedną dłonią pociąga za lejce, drugą ze szpicrutą zacina konia w zad. W dzieciństwie, kiedy jako siedmioletnia dziewczynka pasła krowy, to najbardziej pociągały ją konie, które pasły się w pobliżu pod opieką chłopaków. Oni dali się wreszcie ubłagać i wsadzili ją na grzbiet starej, spokojnej chabety. W konia wstąpił diabeł, popędził rączy galopem, uniósł tylne nogi, spadła na ziemię, w oczach jej pociemniało. To zdarzenie nie zraziło jej do konnej jazdy.

— Ja jestem dziki Jadźwing! — powiada, śmiejąc się promiennie.

Później już sama dosiadała na pastwisku każdego konia. Zakładała się z chłopakami, kto dłużej się utrzyma na grzbiecie najbardziej narowistego.

W czasach ofensywy ruskiej w okolicy stacjonowała kozacka dywizja. To był raj. Na łąkach pasły się tabuny małych, kosmatych koników pod pieczę koniuchów w futrzanych papachach, pobrzękujących szablami i wiecznie pijanych. Ona z chłopakami podchodziła do tych koników. Były bardzo dzikie. Wierzgały i gryzły. Ale jakim sukcesem było ujarznienie takiego mustanga!

Wracamy do wczasów w siodle. Jest to poemat o Fatimie.

Była w stadninie kara klacz z białą gwiazdką na czole. Młoda, rącza, ostra. Z jakichś tam fachowych powodów nie została zakwalifikowana do reprodukcji. Przeznaczona została dla szkółki jeździeckiej. Jednakże tam też nie spełniała wymaganych warunków. Była zbyt narowista, lubiła nieoczekiwane wybryki, zrzucała adeptów konnej jazdy ze swego grzbietu. Uparta, niechętnie dawała sobą powodować. Mogła ugryźć i kopnąć nieoczekiwanie.

Ona potrafiła porozumieć się z Fatimą. Nie siłą ani biciem, tylko łagodną cierpliwością, perswazją, pieśczołą. Polubiła tę ognistą, krnąbrną klacz. Czyściła ją zgrzeblem, zmieniała podściółkę, okrywała derką po przejażdżce, zawsze miała dla niej kostkę cukru. Fatima na jej widok wzdymała swe aksamitne chrapy i rżała. Oczy miała piękne, wyraziste i rozumne. Połączyła je pełna wzajemność. Dyrektor stadniny nie ukrywał zdumienia.

— Pomyśleć! Dwie damy! — śmiał się ten dystyngowany starszy pan, przedwojenny rotmistrz. — Rzadko to się zdarza między kobietami.

Podczas czwartego jej przyjazdu do Ośrodka Fatima została

także wykluczona ze stada ociężałych, pokornych koni, służących do jazdy w szkółce. Nikomu już właściwie nie pozwalała się dosiadać. Stawała dęba, kopała i gryzła. Były wypadki ciężkich potłuczeń. Postanowiono więc sprzedać ją do pobliskiego PGR-u jako zwierzę pociągowe. Fatima poznała ją od razu; wysunęła szyję z boksu w stajni i oparła łeb o jej ramię. Czułe powitanie. Dyrektor zaproponował jej kupno klaczy po znacznie niższej cenie. Walczyła z pokusą. Będzie trzymać ją na działce, postawi szopkę. To był oczywisty bezsens. Taki szlachetny koń wymaga wielkiej dbałości, nakładu wysiłków, kosztów. Jak pogodzić pracę zawodową, zajęcia domowe z koniem na działce. Zrezygnowała z kupna. Pożegnanie z Fatimą było rozdzierające. Aksamit chrap. Muskąta jej dłoń delikatnie. Nawet jej mąż przez chwilę wahał się: kupić czy nie kupić konia.

Niebieskie oczy koleżanki Woroniewicz zachodzą mgłą, łamie się jej głos. To nie był zły chłop. Pamięta jego uśmiech z dawnych lat. Szczery, ujmujący. Jeszcze teraz resztki pozostały. Tylko już bardziej grymas, wyuczony skurcz mięśni. Lubił zwierzęta. Pokłócili się kiedyś o tę królicę na działce. Działka jest blisko lasu, tam są dzikie króliki. Królicą norę sobie u nich wykopała i okociła się. Pięć małych królicząt. Ale to szkodniki. Trzy razy norę wodą zalewała, nim wreszcie królicą z dziećmi wyniosła się ostatecznie.

— Zostaw je w spokoju — prosił.

Nie mogła ich zostawić. Wszystko by zeżarły.

Miał serce. Czasem też odzywało się w nim sumienie. Raz stanął w pokoju córki i zapatrzył się na mapę Polski, wisiała nad stołem. Patrzył i patrzył.

— Europa, kurwa! — powiedział.

Był taki czas: najchętniej po służbie przebierał się w cywilne ubranie. Zrzucał te sorty mundurowe, nakładał garnitur, wiązał krawat i mówił: — No, lepiej! Nie będę ludzi w oczy kłuł.

— Co masz kłuć? — dziwiła się. — Oficerem polskiego wojska jesteś!

— Nie jest to takie proste — odpowiedział.

Zapamiętała to zdanie. Był rozdarty. Gryzło go sumienie. Faszzerowali go propagandą na szkoleniach, jego zdrowy rozsądek odrzucał te kłamstwa. Do czasu jednak. Potem zaprzestał. Uległość wzięła górę. Przebiegłość w oczach i nieokreślony uśmiešek. Tym się opancerzył. Wycwanił się życiowo. Zastanawia się nad charakterem męża. Znowu powraca do jego pochodzenia. Pańszczyzna, najgorsza swołocz. Oto jego rodowód. Rozpite, czapkujące każdej władzy chłopstwo. Czapkowali dziedzicom, zaborcom, okupantowi. To mają w swojej psiej krwi.

— Tylko żeby pełne koryto — stwierdza kategorycznie. — Najgorsza rasa.

Ona nie poczuwa się do pańszczyźnianego pochodzenia. Jej przodkowie byli wolni przecież. Biedna, szaraczkowa szlachta, ale wolni, mieli poczucie swojej wolności, nie raz za nią walczyli. Z jej szlachectwem sprawa jest raczej niejasna. Opowiadając przedtem o czasach małżeńskiej idylli podkreślała wspólnotę ich rodowodu:

— Ugnietli go jak ciasto! Wydarli mu duszę! — przechodzi naraz w lament wsiowej baby nad zmarnowanym chłopem. — Został wypalony. Własnego ognia w nim ani śladu. Tylko popiół i wiatry hulają z obcych stron.

Sama nigdy nie zeszmaciła się ostatecznie. Pod koniec panowania Gomułki straciła wiarę w socjalizm. Pierwszy raz obuchem między oczy dostała po śmierci Stalina. To był wstrząs. Wierzyła w tę bestię z całego serca.

— Wiesz, jaka byłam wtedy — zwraca się do mnie jako do koronnego świadka.

On był taki sam. Uczciwy, porządny chłopak. Nie ma jednoznacznego poglądu o przyczynie rozkładu ich wspólnego życia. Czy powodem stało się pijaństwo i łajdactwa? Czy pogłębiający konformizm i ślepe podporządkowanie? Z tym podporządkowaniem sprawa nie jest prosta. To wojsko przecież, dyscyplina, rozkaz. Jak można przeciwstawiać się rozkazom zwierzchników? Tej gilotynie rozkazu? Po cichu on myślał podobnie jak ona.

To była ostra zima. Nazywali ją zimą stulecia. Wrócił ze sztabu bardzo zdenerwowany. Jego kolega, major, nakrył młodego żołnierza ze służby zasadniczej w toalecie. Wypisywał obraźliwy, polityczny napis: — „Tu się robi ser dla ZSRR”.

— I wyobraź sobie! — bardzo był wzburzony — podał go do raportu... — Chodził nerwowo po pokoju: — Szkoda chłopaka. Głupi gnojek. Jak nic prokurator tu wkroczy!

Może tak chlał i łajdaczył się, bo bardzo mu już wszystko dopiekło? Chciał się zagłuszyć. Może to ich małżeństwo dałoby się jeszcze uratować? W niejednej rodzinie oficerskiej różnie bywa przecież i żyją jakoś. Mąż na szkolenie ideologiczne czy zebranie komórki partyjnej, żona na rekolekcje do kościoła, a dzieciaki czytają nielegalne pisemka, roznoszą ulotki i wypisują na murach rozmaite hasła i znaki. Takich rodzin w Polsce wiele. Córka przez pewien czas związała się z chłopakiem z oficerskiej rodziny. Ojciec na ważnym stanowisku, czy nie politruk nawet, matka zupełnie odmiennych poglądów. Ten chłopak ciągle gdzieś biegał, coś nosił, same zakazane rzeczy. Dobry chłopak. On to

namalował dla niej portret Fatimy. Opowiedziała mu jak klacz wyglądała i namalował z pamięci. Utalentowany chłopak. Niestety, rozstali się już z córką. Więc takich rodzin bardzo wiele. Jednak trzymają się jakoś. Jedno drugiemu ustępuje, oczy przymyka, łączą ich dzieci, dom, wspólne zamiłowania. Też mieli wspólne zamiłowania. Choćby kajakowanie. Wiele lat temu wybrali się z mężem na kajakowy spływ Bugiem dla uczczenia rocznicy rewolucji październikowej. Piękna wyprawa, kilkadziesiąt kajaków, TPPR było organizatorem. Płynęli od Włodawy do Brześcia. Rozległe łąki nadrzeczne, miasteczka, wioski. Tam jest święte miejsce prawosławnych. Malutkie cerkiewki na wzgórzach, dalej klasztor. Akurat było święto i nocą procesja z klasztoru do cerkiewek podążała. Ludzie z zapalonymi świecami, brodaci mnisi na czele. Śpiewał chór diaków. Oni pięknie śpiewają. Tyle wrażeń podczas tego spływu. Z tamtej strony rzeki granica niezwykle czujnie strzeżona. Trzy linie drutów, palisady, rowy, zaorane pole; zając tam nie przejdzie, od razu zauważą. Często w nocy reflektorami ich oświetlali, liczyli ilość kajaków i ludzi, czy się wszystko zgadza. Jeżeli coś im się nie zgadzało to natychmiast telefonowali na polską stronę i zjawiał się oficer WOP-u wyznaczony do opieki nad spływem. Popili z tym oficerem i on tylko za głowę się łapał: — Ci Ruscy tacy podejrzliwi! Jakby w ogóle żadnego sojuszu między nami nie było.

Świtem mgły leżały na łąkach, całun mgieł, kaczkę się zrywały z moczarów. Postoje, ogniska, piekły ryby na patykach, zgotowała kocioł rybnej zupy, wszystkim smakowała.

Jej chłop jeszcze był w kondycji, niezłe wiosłami machał, płynęli na czele spływu. W brzeskiej twierdzy Ruscy obiadem ich podejmowali. Po obiedzie alarm! Wszystkich zgonili do kantyny i liczą. Dwoje starszych państwa, farmaceuta z żoną, zgubili się podczas obiadu. Poszli sobie zwiedzać kazamaty sanacyjnego więzienia. Śmiechu było co niemiara. Czternaście dni. Ona i mąż. Opaleni oboje, roześmiani. Lato leśnych ludzi. Czytała kiedyś taką książkę. Przechowuje dotąd zdjęcia z tego spływu.

Później już odzwyczaił się od wszelkiego wysiłku. Nie chciało mu się. Ociężały i brzuchaty od tej kasynowej gorzały, tłustego żarcia i braku ruchu. Służbowym wozem przeważnie przenościł się z miejsca na miejsce. Typowy sztabowiec, pracownik koncepcyjny, śmiechu to warte! Co taka zamulona głowa może wykombinować? Raz pompę na działce rozkręcił i nie umiał złożyć. Dopiero ona... Ci sztabowcy bywali dwa razy w roku wysyłani na obozy kondycyjne, ćwiczenia sprawności, bieg, strzelanie. Ale wymigiwali się od tego, instruktorzy patrzyli przez palce i treścią tych obozów były dziwki i wódka. Jakie wrażenia stamtąd przy-

wził? W Orłowie jest dobra knajpa „Marabut”. Tylko droga. A gdzieś znów pijak amoku dostał i na bęben muzykantowi kopytami skoczył. Ha, ha!!

Ona dotąd dba o fizyczną formę. Co roku bierze udział w zawodach pływackich na zalewie zegrzyńskim. Trzy razy wygrała na dystansie 5 000 m stylem dowolnym w kategorii od 30 lat. Posiada puchary, dyplomy, nagrody. Na przykład album malarstwa Wojciecha Kossaka. Wspaniałe konie. Kudy jemu kondycyjnie do niej. Daleko pozostał w tyle. Beczka nieczystości! Świństwa duszy i ciała przelewają się w tej beczce. Wściekł się, kiedy pewnego razu tak mu powiedziała. Zawarczał jak dziki pies i z pięściami do niej. Stanęła na środku pokoju, ring wolny, starcie. Zamaszyste ciosy.

— I po chłopie! — śmieje się ochryple, trochę szalona w tym śmiechu. Nazajutrz idąc do pracy musiał nałożyć ciemne okulary. Jedno oko miał podbite. Tak. Może dałoby się radę połatać jakoś i uzdrowić to ich rozpadające się małżeństwo. Może. Bo kiedy chłop jest jaki jest, ale trzyma się swojej baby, to wiele mu można wybaczyć. Przy dobrej woli dwóch stron. Ale tak nie było. Zaczęło się pięć lat temu. Od razu wyczuła. Kobieta wyczuje drugą kobietę. Śmierdział obcą babą. Już nie tak jak dawniej pijatyki, przypadkowe okazje. Już było inaczej. Miał kochanicę. Akurat pomyslnym zbiegiem okoliczności otrzymała zwolnienie lekarskie. Nerki. Był wolny czas. Poszła intuicyjnym tropem. Niewidoczna podążała krok w krok za mężem.

Skrywanie się w bramach, wyczekiwanie pod gmachem sztabu. Długie, cierpliwe godziny.

Pojawiła się kobieta. Smągła, czarnooka i czarnowłosa.

— Sucha błędź! — powiada koleżanka Woroniewicz.

Greczynka, mężatka, nazwiskiem Lupulos. Artemida Lupulos. Czytała mitologię grecką. Artemida. Bogini łowów w starożytnej Helladzie. Zastawiła sidła na jej chłopca i go złowiła. Błędź pastajemna! Z domu najzwyczajniej Jankowska. Jednak Greczynka. Wyjaśnia tę osobliwość. Dawno temu, u schyłku XIX wieku pewien domokrażca o nazwisku Jankowski zawędrował z Galicji do Grecji. Tam już pozostał. Pojął tamtejszą kobietę za żonę. Rodziły się dzieci, synowie, wnuki. Nazwisko Jankowski towarzyszyło następnym pokoleniom po mieczu. Jankowscy po drugiej wojnie światowej zaplątani w komunistyczną rewoltę, opuścili ojczyznę i osiedlili się w gościnnej Polsce. Tutaj mała Artemida uczęszczała do szkoły, podjęła pracę w handlu detalicznym i wyszła za mąż za rodaka o nazwisku Lupulos.

Wyśledziła męża i tę Greczynkę w czułych uściskach. Zachowywał się jak młody kochanek. Nadskakiwał, tokował, obej-

mował. Czują spacer tych obojga. Niósł jej torbę z zakupami. A jaki chciał być młody! Brzuch wciągał, krok lekki i sprężysty. Samcza parada! W domu nic nie nie dała po sobie poznać. Tylko patrzyła ukradkiem. Jeździł na tej greckiej kobyle. Adonis na Artemidzie. Uderzały jej fale krwi do głowy. Huczące przypiływy fal jak na morzu podczas sztormu. Rozsadzały czaszkę.

Ale trzymała się w korbach. Podsuwała mu przysmaki.

Jedz, pij, zmęczony jesteś, kochany mężusiu! Wcale nie zwracał na nią uwagi. Pewnie rozpamiętywał swoje rozkosze. Nażarł się i uwalił na tapczan. Od razu zasnął. Zdrowy, spokojny oddech. Leżała obok niego i myślała. Aż do rannej szarówki. W pewnej chwili tak się zapatrzyła w niego, śpiącego i bezbronno. Chwyliła ją gwałtowna chęć. Palcami wbić się w to gardło, zacisnąć! Tak cisnąć i cisnąć! Będzie wierzcąc, charcząc. Coraz słabiej, ciszej. Pokopie i przestanie. Znieruchomieje ostatecznie. Z trudnością odwróciła spojrzenie od tej szyi z lekko poruszającą się grdyką, doskonale widocznej w świetle brzasku. Zażyła tabletki uspokajające.

Pracę miała nienormowaną w godzinach, dwa radcostwa, jedno w zjednoczeniu, drugie w spółdzielni, mogła nadal prowadzić dokładną obserwację.

Jeździła Syreną. Parkowała wóz na uboczu i wyczekiwała. W różnych miejscach. Potem oni mieli stałe miejsce spotkań. Zdobył do swojej dyspozycji mieszkanie kolegi, który wyjechał do ZSRR na półroczny kurs. Mogli się zabawiać. Mieli burdel. Małżeństwo Artemidy też znajdowało się w stanie rozkładu. Jej mąż był magazynierem w zakładach mięsnych. Tłusty, ze świecą gębą, łysy cap. Miał kochankę, kasjerkę na poczie przy placu wolności. Chodzili często do „Centralnej”. Lubili popić, zjeść, potańczyć. Opici i nażarci udawali się stamtąd do mieszkania tej kasjerki, starej lafiryndy ufarbowanej na rudo. Mieszkała ona w blokach przy ulicy Manifestu Lipcowego, była wdową.

Parzyli się systematycznie. Grek z kasjerką. Jej mąż z Artemidą. Dopadała ją rozpacz. Na ulicy, w biurze, wszędzie. Myślała o całym swoim życiu. Sieroce dzieciństwo, bieda, harówka, marzenie o szczęściu. Wysiadywała nad jeziorem i patrzyła w wodę, niebo. Potem te internaty, szkoła, ZMP, studia. Miała wiarę, entuzjazm. Małżeństwo, dziecko. Oto miłość. Tak myślała. Co z tego zostało? Chciała coś posiadać trwałego z tamtych lat. Coś ze sfery ducha, uczuć, przeżyć. Wszystko takie byle jakie, brudne. Nie ma w tym żadnego oparcia. Córka zerwała ze swoim chłopakiem. Dobry był, uczciwy. Znalazła następnego narzeczonego, rzemieślnika, przywaciarza. Zamożny, segment własnościowy,

Volkswagen Golf. Wyjeżdżają na wycieczki zagraniczne. Zimny, wyrachowany świat. Brak miejsca na prawdziwe porwy serca.

Całe jej minione życie jawiło się więc jak spalony dom, zgliszcz, popiół, rumowisko. Żeby tak zdobyć się jeszcze na ostatni, wielki wysiłek. Dźwignąć się i zacząć jeszcze raz. Pokonać zmęczenie, słabość, niewiarę, cały ten ciężar przeżytych lat. Z rozmachem rzucić się w nieznanne! Jak z tej wysokiej skarpy do Hańczy. Tak skakała w dzieciństwie do jeziora. Wcale się nie bała. Choć było tam bardzo niebezpiecznie. Płynizna, dno najeżone dębowymi kołami. Podobno są to szczątki taboru napoleońskiego. Wracali spod Moskwy. Łód się załamał i wpadli. Trzeba było umieć wymierzyć odległość. Nie wszyscy chłopcy odwazili się skakać z tej wysokiej, urwistej skarpy.

Podjechała Syreną pod gmach sztabu. Wysłuzona to bryka, 150 tysięcy kilometrów przebiegu, Syrena 101, pierwsza seria, silnik jak traktor, ręcznie klepana blacha; mocny wóz. Czują ten samochód doskonale, każdy jego dźwięk, opór hamulców, biegi. Tak jak jeździec czuje swego wierzchowca. Czekala na męża. Długo to trwało. Ale była w niej wielka cierpliwość. Mogłaby tak dzień i noc, dłużej.

Wyszedł wreszcie. Stoi sobie na schodach. Spogląda na zegarek. Rusza ulicą. Pewno umówił się ze swoją grecką nałożnicą. Podjechała pod krawężnik chodnika. Zatrzymała się gwałtownie. Otworzyła drzwi.

— Wsiadaj! — powiedziała. — Musimy się rozmówić. Wsiadł po chwili wahania. Ruszyła przez Ochotę, Okęcie do katowickiej szosy.

— Wiem wszystko — tak zaczęła.

Już pędzili katowicką autostradą. Jej ból, gniew, wściekłość, wszystko to znajdowało ujście w szybkości. Wyciskała z tej starej, rozklekotanej landary całą jej moc. Powyżej setki. Charczała, zgrzytała i jęczała zupełnie jak człowiek, ale szybkość wzrastała nieustannie.

— Uważaj! — krzyknął.

Czy była świadoma? Do tej pory nie umie sobie odpowiedzieć na to pytanie. Widziała w lusterku jego twarz. Wystraszony. Zaczął mówić. Bardzo głośno.

— No wiesz... — powiedział — zwykła, męska słabość... Próbował po dawnemu kręcić, bagatelizować.

Zdławionym, charczącym głosem (jak charkot tej Syreny, zmuszanej do szybkości ponad stan) wyzywała go od ostatnich drani i łajdaków. Wtedy oświadczył napuszonym, obłudnym stylem, że przeżywa poważną sprawę uczuciową. Zdecydował się powiedzieć jej o tym. Ich związek małżeński nie ma dalszego sensu.

— Nie tworzymy już jednego zaprzęgu — zakończył. — Każde ciągnie w swoją stronę.

Tylko zgrzytnęła zębami. Słowa odpowiedzi utknęły jej w gardle. Uderzenia krwi do mózgu. Fale sztormowego przypływu jedna za drugą bombardują jej biedną głowę. Skończyć z tym ostatecznie! Rozgnieść, zmiażdżyć, zdruzgotać. Niech piekło pochłonie! Co piekło ma pochłonać? Tego nie wiedziała. Tylko kierownica, gaz, gaz. Śmigają drzewa, zabudowania. Mało co widziała. Zamglona wstęga szosy. Jego głos. Podnosi wielki krzyk. Już tylko ruch ust. Nic nie słyszała. Ocknęła się w szpitalu. Ścięła dwa drzewa i betonowy słupek. Cudem uniknęła śmierci. Doznała wstrząsu mózgu, miała szarpaną ranę skroni, złamaną nogę, dwa zębra. On wyszedł bez szwanku. Powierzchnowe okaleczenie jedynie. Założyli mu w pogotowiu opatrunek i to wszystko. Leżała w szpitalu dwa miesiące. Odwiedzał ją regularnie. Zawsze z kwiatami, przynosił pomarańcze, czekoladki. Obserwowała go spod przymkniętych powiek. Nie wierzyła w szczerość jego uczuć. Musi być zadowolony. Jest przecież górą. Ona unieruchomiona. On swobodny jak ptak.

— Boli? — pytał troskliwie.

Utkwił wzrok w jej zagipsowanej nodze, umieszczonej na wyciągu. Przeniósł spojrzenie na obandażowaną głowę. Westchnął. Unieruchomiona i oszpecona. Rejestrował jej bezsilność.

Na własną prośbę wypisała się ze szpitala kilka dni wcześniej.

Zjawiła się w domu nieoczekiwanie. Zastała ich we dwoje. Siedzieli przed telewizorem, oglądali program rozrywkowy, śpiewały gwiazdy piosenki. Tapczan rozścielony. Ona w szlafroku. On w podkoszulku. Zapowiadał się im przyjemny wieczór.

Nie mieli jednak przyjemnego wieczoru. Choć była osłabiona i jeszcze mało sprawna, to jednak wstąpiła w nią siła. Chwyliła za kudły tę ladacnicę, pomogła sobie kolanem, i powtarzając — Won! — wykopała ją za drzwi. Wtedy po raz pierwszy przyjrzała się jej z bliska. Twarz jakby cygańska, wcale nie gładka, nadmierne wydłużony nos. Co on w niej widział? Wyniósł się chyłkiem za swoją Artemidą. Jeszcze jej łachy zebrał w tobołek i dopinając pośpiesznie mundur, wybiegł z mieszkania.

Wrócił po kilku dniach. Nic o tym co było nie mówili. Od razu zajął się remontem łazienki. Wystarał się o kafelki i wyłożył całą ścianę. W kuchni przetkał zlew. Był łagodny jak baranek. Może pragnął powrotu do dawnego życia? Z chłopakiem córki zabrał się do malowania jej pokoju. Ten chłopak to artysta. Pędzlem plask, plask. Malował co chciała. I tak jedna ściana stała się lasem: sosny, budki, dęby, bujne podszycie; gąszcz jak

w krainie jezior. Od Hańczy w prawo na Smolniki był taki starodrzew, często wybierała się tam na prawdziwki. Na drugiej ścianie kilka melancholijnych brzózek, łączka i czarne oko leśnego jeziora. Jeszcze zapragnęła mieć sufit niebieski z gwiazdami. Letnie niebo. Najbardziej podoba jej się letnie, wysokie niebo w księżycową noc. Noc pełni. W takie noce wybierali się na raki. Farby zabrakło. Potem między tym chłopakiem i córką popsuło się ostatecznie. Sufit pozostał niebieskim niebem bez gwiazd i księżyca.

Dlaczego tak cichutko i grzecznie wrócił do niej?

— Coś ty taki? — dziwiła się. — Generał armii będzie nas wizytował?

Pewno dotarły do sztabu wiadomości o ich pieskim życiu. Musiały dojść. Sąsiedzi widzą, słyszą. Mógł reprimendę dostać od szefa. Postraszyli go. Przyczał się. Im dłużej się służy w wojsku, tym bardziej uległość wzrasta. Na rozkaz zwierzchnika na czarne mówi się białe, a na białe czarne.

— Taki stary oficer to nogi by mył swoim szefom, jakby mu kazali — powiada koleżanka Woroniewicz.

Nie wierzy więc w uczciwość intencji jego powrotu. Tak mu kazali. To był czas „Solidarności”. Ta „Solidarność” często wywlekała na jaw brudy z życia warstw uprzywilejowanych. Kadra była niewątpliwie warstwą uprzywilejowaną. Kazali mu być na powrót czułym, dbającym mężusiem.

Podobała się jej „Solidarność”. Czegoś takiego tutaj jeszcze nie było.

Przynosiła do domu broszury, gazety, odezwy, apele.

— Poczytaj! — mówiła. — Niech ci się mózg trochę przewietrzy. Nie chciał tego czytać. Patrzył na bibułę i milczał. Czytała mu czasem na głos.

— O! Słyszysz! Już powstaje „Solidarność” gliniarzy. Niedługo was zagarnie ta rzeka.

Głową pokręcił.

— To się nie utrzyma — powiedział ściszonego głosem. — To się nie może utrzymać.

Sama także miała wątpliwości. Czy oni tak pozwolą? Czy oni czegoś nie szukają?

Już po stanie wojennym w kasynie rozmawiali wojacy. Jeden był w terenowej grupie operacyjnej. Opowiadał, jak to rolnicy odwozili mleko do mleczarni i dopadli ich tacy z opaskami „Solidarność”. Kazali mleko do rowu wylewać. Przypadek zrzucił i wojskowy patrol znalazł się w pobliżu. Zatrzymali napastników. Mieli oni legitymacje z wiadomego resortu.

— No i co? — dopytywał się młody, naiwny oficer.

Stare wygi popatrzyły na niego z pobłażliwością.

— Tak być musiało — odparł pewien major.

Szybko zmienili temat. Błahie rozmowy są daleko bardziej bezpieczne i uwalniają od niepotrzebnych rozważań.

Patrzyła wtedy na dzielnych wojaków. Każdy z nich coś sobie myślał prywatnie. Na pewno. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Manekiny! Świat manekinów.

W latach 70-tych przez pewien czas pracowała jako radca w komendzie garnizonu. Wraz z nią w pokoju urzędował nieduży człowieczek. Ugrzeczniiony, milczek raczej. Był to pułkownik w stanie spoczynku. Prokurator z procesów stalinowskich. Złowrogo utrwalił się w ludzkiej pamięci. Lotnicy to pluli na jego widok. Tylko niżej głowę opuszczali i szeleścił jak mysz swoimi papierami. Oskarżał między innymi w procesie oficerów lotnictwa, którym zarzucono szpiegostwo i dywersję na rzecz imperializmu. Padły wyroki śmierci. Miał swoją kwaterę na Powązkach. Leżeli tam przecież ludzie przez niego oskarżeni. Po październiku lotników pośmiertnie rehabilitowano. Pamięć o tym pozostała i nie miał lekkiego życia. Niezwykły służbista. Na widok generała prężył się w postawie zasadniczej, choć był już cywilem. Pracowity, z wielką pedanterią prowadził swoje sprawy. Zakładał szereg teczek, pisywał różnego koloru długopisami. Podkreślał i liniował. Sporządzał tabele i wykresy. Wcale tego nie musiał. Dla własnej przyjemności. Niezmiennym żartem w biurze było naciąganie go na kawę. Zajmowały się tym kobiety. Nie wypadało mu odmówić i potem przez kilka dni nie jadał drugiego śniadania w bufecie. Żona panowała nad jego życiem despotycznie i wydzielała mu marne grosze na posiłek. Bał się jej panicznie. Była to wysoka, chuda kobieta o ospowatej twarzy. Też prężył się przed nią w postawie zasadniczej. Oto parszywy, zredukowany świat tego stalinowskiego geroja. Zapamiętała to monstrum. Stawia obok niego męża. Porównuje. Gdyby jemu kazano ścinać łyby, sypać wyrokami... Kto wie?

Przed wprowadzeniem stanu wojennego był bardzo zajęty. Ciągłe w rozjazdach. Wizytacje, inspekcje. Nigdy dotąd tak się nie trudził. Wojnę przygotowywali ci sztabowcy, obrońcy ojczyzny, żałośni i zakłamaní janczarzy! Mało co ze sobą rozmawiali. Dopiero znacznie później, kiedy już czołgi paradowały ulicami i uzbrojone patrole straszły ludzi, przyszedł wieczorem do jej pokoju i tak powiedział:

— Musimy wreszcie uregulować nasze sprawy. Z naszego pożycia nic już nie pozostało. Rozwód jest konieczny.

— Rozwód! — powtórzyła. — Zmarnowałeś moje życie i chcesz nowe gniazdo sobie uwić! Ty, ty, kurwiszcie w mun-

durku! — Wściekłość odebrała jej mowę. Już tylko rzęziła. Rzuciła się na niego z dziką siłą. Ledwo zdążył uciec. Gdyby go dopadła... Fizycznie jest nadal w znacznie lepszej formie od niego. Po wypadku już doszła do siebie. Dalej pływa, chodzi na aerobik, sama uprawia działkę, kopie bez wysiłku. Czyni to z prawdziwej przyjemności, lubi ruch, konkretną pracę. Demonstruje na poczekaniu swoją siłę. Chwyta mnie od tyłu za łokcie, wypręża się, rozstawia nogi jak ciężarowiec zmagający się ze sztangą, podnosi ciężar na wysokość wyprostowanych w górę rąk.

Nigdy nie dawała się za nos wodzić! Broni swej godności. Nigdy nie chciała być babą tylko do kuchni i łóżka, zapędzoną, pokorną nałożnicą.

Kiedy po raz pierwszy zdobyła niezbite dowody jego zdrady małżeńskiej, ruszyła do ataku z pięściami.

— Uważaj! — powiedział.

Jeszcze był z niego kawał chłopca, żyłasty, umięśniony, nie obrósł jeszcze tłuszczem. Walczyli wtedy jak równy z równym. Poczuli się jej uderzeń i też zaczął młócić. Trafił ją nieźle kilka razy. Ale odstąpił się w ferworze walki i ułokowała mu dwa ciosy w żołądek. Osłabł, stracił refleks i jeszcze na swoje nie-szczęście odstąpił górę. Poprawiła ciosem w szczękę. Złamał się jak suchy badył. Oburącz schwycił się za żołądek.

— Przestańmy — wystękał.

Czyli był remis. Właściwie zwycięstwo. Poddawał się przecież. Śmieje się donośnie, dziko. Wojownik wyśpiewujący swą pieśń triumfu. Dziki Jadźwing. Tak sama o sobie powiada. Ale to było tak dawno. Wtedy jeszcze można było mówić o triumfie. Wtedy się pogodzili.

— Tak jakoś wypadło — powiedział i widać było, że ma szczerą skruchę.

Minęło. Może on już w ogóle nie ma serca, sumienia? Skamieniał. Chce mieć spokój. Ona przecież ciągle waliła w to jego sumienie. Nie dawała mu spokoju. A z tą grecką wywłoką? Spokój zapewniony. Prawda, kłamstwo. Dla takiej wszystko jedno. Zdobyla chłopca, pułkownika. Będą razem do kasyna chodzić. Wystroi się, ona taki cygański styl ubioru lubi, jaskrawe kolory, bransolety, kolczyki. Pochwali się kolegom, jaką to ma dziwkę. To życie kasynowe! Te zabawy oficerów. Zmawiają się na przykład, żeby jedną wybraną z żon w tańcu podrywać, poić winem, wódką. Test na wierność. Tak to się u nich nazywa. Mąż ofiary winien tylko obserwować i czekać na rozwój wypadków. Ona nie dała się tym bęcwałom. Kiedy jeden taki zaczął się do niej w tańcu przytulać, odepchnęła świniucha i mówi: — Ja tylko z kochankiem w łóżku tak się przytulam! A drugiego,

szepeczącego jej do ucha czułe słówka, osadziła ostro: — Co ty tak bredzisz?

Ci oficerowie. Oto ich rozrywki, zabawy. Dawno już zapomnieli kim są, ślepi wykonawcy rozkazów. Im wszystko jedno, czy będą nosić papachy i buty w harmonijkę, czy rogatywki i oficerki. Orzeł może być z dwiema głowami. Nafaszerowani bredniami szkoleń politycznych, straszakiem Rosji Sowieckiej potrzęsają, samodzielności w myśleniu unikają jak ognia. A o co oni walczą? O dobre koryto i awans. Wybrani z wybranych! Armia wyzwolicielka, kontynuatorka najlepszych tradycji, chwały, patriotyzmu, czego tam jeszcze. Przechwalają się i szczycą. Polskę od upadku uratowali! Chaos i anarchia. Ta „Solidarność” do wojny domowej dążyła, pustki w sklepach, drożyzna, strajki...

Wtedy oni ruszyli do szlachetnego czynu i uratowali Polskę. A gdzie oni byli, jak kraj w przepaść kryzysu się staczał? Albo jak Gomułka kazał strzelać do robotniczy?... Na kłamstwie i zaprzaństwie to wszystko stoi.

Zmęczyła się tym zapalczywym monologiem. Oddycha ciężko... Wodzi nieobecny wzrokiem po pokoju.

Mieszka teraz sama. Dokucza jej samotność. Wiosną pojawił się w jej życiu „Dziadek”. Tak go nazywa. Dziwaczny człowiek. Znikąd. Kopała akurat działkę. Przechodził ścieżką. Przystanął i patrzy.

— Za płytko pani kopie — powiedział.

— Skamieniała gleba — odpowiedziała.

— Niech pani pokaże.

Dała mu szpadel. Zaczął kopać. Fachowo, głęboko. Mężczyzna po sześćdziesiątce. Suchy, zmarniały, ubranie podarte. Ale pogodny, przyjemny. Poczęstowała go posiłkiem. Samogon postawiła. Został na działce. Sypiał w altance.

— Ptaki śpiewają. Zielono — powiedział. — Tak lubię.

Pracowity. Płot poprawił. Dół na kompost wyszykował. Wszystko umiał zrobić. Nastąpiły deszcze. Zaprosiła go do domu. Drugi pokój przecież wolny. Niech pośpi sobie po ludzku. Ale „Dziadek” to rajzer. Dusza włóczęgi. Nie może usiedzieć na jednym miejscu. Pobył tydzień i zniknął. Zwędził tysiąc złotych i dwie flaszki bimbru. Miesiąc minął i wczesnym rankiem posłyszano pukanie. Ciche, delikatne. Sen ma płytki i byle szmer ją obudzi. Otworzyła drzwi. „Dziadek”. Pobity, ledwo trzymał się na nogach. Dała mu jeść, wykapał się, położył do czystego łóżka. Dobę spał kamieniem. Obudził się i powiedział: — To co zabrałem odpracuję, zgadza się pani?

Podłogę w dwóch pokojach wycyklinował. Szyby w oknach kitem oblepił. Dobrze się jej z „Dziadkiem” gwarzyło. Gdzie on nie był? W wojnę na Syberii. Jej rodzinne strony też znał. Całą Polskę i kawałek Europy przedeptał. Dzieci dorosłe, wnuki. Rodziną wcale się nie interesuje. Zazdrościła mu chwilami. Dusza ptaka. Zimą po dworcach sypia, latem w budach na działkach. Pewnego dnia znów poszedł sobie i nie wrócił.

Był także pewien wdowiec z Ciechanowa. Pięknie tańczył. Na dancingu w „Niezabudce” wszyscy z parkietu miejsca im ustąpili i patrzyli z podziwem. Ukończył kursy tańca towarzyskiego. Walc był jego popisowym numerem. Na kolacje do niej chętnie się wpraszał. Poza tańcem żadnego z niego pożytku. Rozstali się ostatecznie.

Taniec to jej żywioł. W dzieciństwie godzinami wystawała pod strażacką remizą w czasie zabawy i słuchała muzyki. Jak urzeczona podążała za orkiestrą wojskową. Za każdą szła. Polską, ruską, niemiecką. Byłe grali. Mogła iść do upadłego.

W Suwałkach żył sobie niejaki „Ferajchum”. Niemowa. Jak on grał na bębnie. Składali się na piwo dla niego i zaczynał walić pałeczkami w swój instrument. Same nogi podskakiwały. „Ferajchum”. Nie wiadomo skąd wzięło się to przezwisko. Chodzi teraz na tańce do klubu oficerskiego. Ale tam nie ma nastroju prawdziwie tanecznego. Tylko chłają te chłopcy i nie o taniec im się rozchodzi. Złapać jakąś babę i do łóżka z nią! Zresztą marnie tańczą. Ciężko, bez wyczucia melodii i rytmu. Żadnego w tym wdzięku, tej porywającej harmonii ruchów, gestów, pięknego zespolenia partnera z partnerką. Chwyta taki podpity knur babę i wodzi się z nią niezgrabnie po parkiecie, miętosząc i obmacując. Czeką na tę chwilę upragnioną, kiedy zerwie z niej kiecękę i parzyć się będą jak bydłeta.

Jej koleżanka, rozwódka, ma synka, chłopca ze zniekształconą stopą i w przychodni rehabilitacyjnej poznała portiera. Całe godziny tam spędza. Przychodzi pod koniec urzędowania i siedzą w kantorku albo przewalają się na kanapkach w lekarskich gabinetach. Tffu! Całe życie jak burdel. Sodoma i Gomora.

— Wykastrować tych chutnych knurów! — wybucha stekiem obelg.

Jednak nie może się ustabilizować ostatecznie w tym poglądzie. Jest przecież namiętną, gorącą kobietą. Nienawidzi chłopów. Pragnie chłopów. Tylko nie ma do nich zaufania. Zapewne ciągle marzy o jakimś wspaniałym, co niby archanioł miłości spadnie z nieba. Oto o jakimś przygodnym facecie, partnerze do tańca z klubu oficerskiego, mówi miękkiem, łagodnym głosem: — Pięk-

ny mężczyzna! Poznanie tego „pięknego mężczyzny” nastąpiło w okolicznościach nader osobliwych. Bawiła się w klubie z koleżanką. Siedziały we dwie. Prosił je do tańca przypadkowi partnerzy. Klub odwiedziały także esbecy. Blisko mają ze swojego ministerstwa. Pewien esbek już drugi raz tańczył z jej koleżanką. Odprowadził ją do stolika. Przysiadł się i potoczyła się zdawkowa rozmowa. Nie podobał się jej od pierwszego spojrzenia. Ordynarny i niezbyt urodziwy. Naraz zaczął o księdzu Popiełuszcze.

— Zrobiono z nim porządek — oświadczył — ktoś musiał to zrobić.

Nie wytrzymała.

— Polak ty czy Rusek?

— Co?! — oczy wytrzeszczył.

Już rozwścieczyła się na dobre:

— Trzech zbirów morduje bezbronnego człowieka! A przedtem jeszcze katują go jak hitlerowscy oprawcy! W sądzie nawet odwagi nie mieli przyznać się do tego! Kręcili, bredzili, płakali. Mieli pełne portki strachu! Jaki z ciebie Polak, jak takich bandytów wychwalasz! Twój kolesie, co? Pewno tam u siebie zażyliście koło wielbicielei morderców księdza Popiełuszki!! Medale za odwagę im przyznacie. Gnojki, wy zatracone! Poniosło ją. Zawsze miała niewyparzony ożór i mówiła coraz głośniej.

Już spoglądają na nich. Cała sala. Wojskowi może i z życzliwością. Oni nie lubią tych z MSW. Ale nie wtrącają się. Nie pomogą jej. Wolą się nie wtrącać. Te oficerskie, zastraszone duszyczki. Natomiast esbek spurpurowiał. Zatkanęło go. Odszedł, mamrocząc przekleństwa. Wrócił do swoich. Czterech ich było. Szepczą i paluchami ją wytykają. Już głośno ciskają obelgi.

— Zamknąć taką dzdirę! — jeden zawołał.

Akurat orkiestra zaczęła grać po przerwie.

Wtedy poprosił ją do tańca ten piękny, postawny mężczyzna. Miły, kulturalny. Nieźle tańczył. Zaproponował, że odprowadzi ją do domu. Już miała pietra. Ci esbecy zrywali się na nią wyraźnie. Poszła z nim do szatni. Esbecy już czekali w szatni. Ale jak zobaczyli jej partnera, od razu stracili animusz. Łby pospoczywali i milczą. To był esbek wyższy rangą. Na pewno. Odprowadził ją do postoju taksówek.

— Rozumiem pani wzburzenie w tej sytuacji — tak powiedział. — Lecz ich też trzeba zrozumieć. Młode, zapalne głowy.

Opisuje jego urodę. Zapamiętała nawet kolor oczu. Piwne. Pocałował ją w rękę i tak się rozstali.

Musiał to być niezły człowiek. Tylko zmarnowany.

Pustka w samotnym życiu dokucza jej najbardziej. Dzień jak czarna jama. Zieje odpychającym mrokiem. Najlepiej się nie budzić. Przesypiać te noce i dni. Co robić?

Przetwory z owoców i jarzyn, działkowe produkty. Zapełniała nimi piwnicę. Roznosiła znajomym w podarunku.

Sport i ćwiczenia fizyczne... Ile można tym się zajmować! Mrok następujących po sobie dni wcale się nie przejaśniał.

— Dojadło mi to wszystko jak diabli! — macha ręką.

Pożyczałem jej książki. Lubiła przecież opowieści o silnych namiętnościach, pełne bohaterstwa i wyrzeczeń, patriotyzmu i szlachetności. Dostała pamiętnik z powstania warszawskiego. Opowiadania z kajakowego włóczegostwa po rzekach, kanałach i jeziorach pióra wybitnego pisarza. Książkę więziennych, szpitalnych i łagrowych doświadczeń Władimira Bukowskiego. Ale czytała martwo, nieuważnie. Raz tylko, oddając mi jedną z książek, dramatyczny dziennik zmagających szlachetnego, mądrego człowieka, zapytała podejrzliwie: — A on rozwiódł się z żoną, tak? Bo na początku u niego była Joanna, a potem jest Katarzyna. Patrzyła na mnie ciemnym, złym wzrokiem. W tym spojrzeniu było powiedziane: — Wy wszyscy tacy sami, łajdacy! Radziłem jej z całą życzliwością: — Weź się w karby! Musisz tak uczynić. O, choćby masz szansę wyrównać rachunki za dawne swoje stalinowskie zaślepienie. Ruch oporu i protestu czeka na ciebie. Kolportaż, drukarnia... Lubisz ryzyko, możesz się wykazać. Nie chcesz? No to wiara, gorąca wiara w Boga? Przecież siedzi to w tobie. Wybierz się w pielgrzymkę do Jasnej Góry. Ten tłum ludzi jak rzeka, nie będziesz samotna. Skupienie, medytacje, modlitwa. Może ci to pomóc, musi, uzdrowisz się wreszcie!

Te propozycje nie ożywiają jej wcale. Kiwa apatycznie głową. Myślni błędzi gdzieś daleko. Czasem tylko zapłoną jej oczy stalowym blaskiem i wtedy odezwie się z głuchym na wszystko chłopskim uporem: — A rozvodu mu nie dam, za Boga!

Nie może spać. Męczy ją bezsenność. Leży i przewraca się na posłaniu. Lampka skąpo oświetla pokój. Widać gęsty las po jednej stronie. Czarne oko wody wśród brzóz po drugiej stronie. Patrzy w sufit. Niebieskie niebo bez gwiazd. Rozmyśla o lasach i jeziorach dzieciństwa. Raz poczuła się tak dziwnie i błogo. Pędziła wierzchem na Fatimie bezkresną równiną. Wolność, swoboda. Bez żadnych ograniczeń. Ta równina była zarazem cofaniem się wstecz. Do tych lasów i jezior dzieciństwa. Napięcie niezwykle. Jeżeli tam dotrze... Jeżeli dobrze do źródeł swego czasu, to życie zacznie się od nowa. Piękne, wspaniałe. Już majaczył znajomy pejzaż. Sylwetki ludzi. Głosy. Wśród nich głos matki.

Spiąć konia, wycisnąć z niego ostatek mocy... Marzenie bajeczne urwało się nagle.

Siedzimy we trójkę. Butelka bimbru wysuszona. A mimo to ciężko, duszno, kamień uciska dusze.

Nas troje. Koleżanka Woroniewicz, Jola, ja.

Letni wieczór. Cmy krążą przy lampie. Samobójczy płas w przestrzeni wokół lampy. Opalają sobie skrzydła. Spadają kalekie na stół. Następne pędzą do światła.

WIZERUNEK

Poznałem go przy okazji przekazywania papierów po zmarłym nagle pisarzu, moim przyjacielu W.

Pokój pełen był niedawnej obecności W. Niedopałki papierosów w popielniczce. Pod łóżkiem pantofle. Marynarka wisiała na oparciu krzesła. W tej marynarce W. chodził ostatnio najczęściej.

Przybył tu jako dyrektor muzeum literatury w sprawie przejęcia i zabezpieczenia pamiątek zmarłego pisarza. Odkładając niedbale na stos te latami spisywane przez W. codzienne notatki w firmowych kalendarzach, prowadził z nami lekką, towarzyską rozmowę. Zafascynował mnie jego wygląd. Bardzo długi, chudy, z pobrużdżoną twarzą zdobną w potężny nos. Jego koścista postać obleczona była w czarny garnitur, z którego wyłaniała się długa szyja z ruchliwą grdyką, okolona białym, pogniecionym kołnierzykiem koszuli z niedbale zawiązanym czarnym również krawatem. Chwilami wyglądał jak mistrz pogrzebowej ceremonii. Choć przecież ta śmierć nie sprawiła na nim żadnego wrażenia, ostentacyjnie nie poddawał się żałobie panującej w pokoju. A więc wypowiadał kwestie żartobliwie-aforystyczne, inkrustując je obficie homeryckim śmiechem. Nie dawał się zdominować smętnej powadze innych obecnych w mieszkaniu zmarłego. Oczy skrzyły mu się niewyczerpaną swadą, jego bas zagłuszał pozostałe głosy.

Obserwowałem ruchliwość jego długich nóg, podwijał je i zakręcał wymyślnie. Ta gimnastyka nóg kojarzyła się nieodparcie z jakąś beztroską elastycznością jego ciała. Pachniał lekko alkoholem.

Później widywałem go w rozmaitych klubach, kawiarniach i restauracjach naszego miasta. Chudy, ubrany niezmiennie w

czarny garnitur, poruszał się szybko i energicznie, wyrzucając ze swoistą gracją te nawet przy jego wzroście wyróżniające się długością nogi. Przebywał zawsze w licznym gronie kobiet i mężczyzn ze świata artystycznego. Zdecydowanie ceniono go jako kompana i słuchano z uwagą tego co mówił. Pił tego i jego śmiech wzbijał się ponad wrzawę każdego miejsca. Nie zmieniał się w trakcie biesiady, tylko jeszcze bardziej dominował jego gromki, basowy głos, spoglądano na niego ciekawie, interesował nawet najbardziej obojętnych sąsiadów; z wysokiego stołka zsuwał się ze zgrabną zwinnością i wychodził paradnie, właśnie paradnie, podpierając się jedynie dla fasonu laską-parasolem w przedwojennym stylu. Wyglądał jak gwiazdor opuszczający podium. Zapamiętałem dokładnie te pierwsze, przypadkowe spotkania. Nadal z człowiekiem nieznanym. Na pewno przecież nie zapamiętał mnie podczas tamtej wizyty przekazywania papierów po zmarłym pisarzu.

W kręgach artystycznych był osobą bardzo popularną. Opowiadano o jego przedwojennej zażyłości z Witoldem Gombrowiczem. Nawet słynne osobliwości stylu odkrywanego wtedy pisarza, choćby — to dopiróz! czy inne, przypisywano jego dziwacznej inwencji językowej.

Krażyły rozmaite powiedzenia i anegdoty, których był twórcą. Powoływano się na jego opinie w rozległej skali spraw i zdarzeń. Z wykształcenia był historykiem, uczniem znakomitego profesora, Marcelego Handelsmana; podczas okupacji jego mieszkanie na Senatorskiej stanowiło miejsce spotkań i wieczorów literackich młodych poetów — pokolenia debiutującego w tamtych latach.

Początku ściślejszej znajomości z nim już dzisiaj nie potrafię wiernie odtworzyć. Być może w jakimś towarzystwie siedzieliśmy w pobliżu przy stole, może we dwóch opuściliśmy przypadkiem jakąś biesiadę. Tak zaczęła się nasza znajomość, objawiająca się dosyć częstymi spotkaniami. Choć wtedy jeszcze przy jego swadzie i surrealistyczno-absurdalnej treści i formie monologów, jako mocno trzymający się ziemi realista, słuchając tych wywodów nie czułem się zbyt pewnie, za często bowiem i wbrew swojej woli bywałem odrywany od ziemi i wirowałem w obcych sobie wysokich regionach. Od początku dla nas, Joli i mnie, M. wydawał się bardzo stary. Jednak stary w specyficzny sposób, raczej ilością przeżytych lat, bogactwem wiedzy i doświadczenia, a nie sposobem bycia. W swym zachowaniu był przecież niezwykle młody. W gotowości do przypadkowych pijatyk, włóczęgi od knajpy do knajpy, w niewyczerpanej inwencji do żartów i żelaznej kondycji do wielogodzinnego wysiadzania na towarzyskich konwentyklach — potrafił być często górami, z łatwością pokony-

wał nas młodych. Ponadto nie było w nim śladu żadnego dostojństwa, wyższości, kpił z innych i dawał kpić z siebie.

Polubiłem go. Ciągłe jednak był dla mnie przede wszystkim jedną z osobliwości tego ludzkiego panoptikum, w którym gustowałem jak nałogowy kolekcjoner. Oceniałem go więc jedynie w sferze powierzchownej, żeby nie powiedzieć banalnej. W miarę upływu lat ta fascynacja przerodziła się w głębszą zażyłość, która nabrała znamion autentycznej przyjaźni. Sam M. postarzał się znacznie, starość już nie dawała się osłaniać powłoką dziarskiej gotowości na wszystko; narzekać zaczynał na serce, kłopoty z błędnikiem, inne dolegliwości. Jego przysłowiowe końskie zdrowie uległo znacznemu pogorszeniu. Mimo to jeszcze się nie dawał, zrywał się niby niepokonany wojownik do ataku.

Pamiętam uroczystość wydaną przez nas z powodu pierwszego w życiu mieszkania czyli „parapetówkę”, tłum przyjaciół, obficie płynął alkohol, M. oczywiście przetrzymał wszystkich i wyszedł ostatni. Po kilku godzinach, ocknąwszy się z pierwszego snu, postanowiłem uprzątnąć chociaż trochę mieszkanie, które przypominało pobożewisko.

Załadowałem kubek butelkami, odpadkami i skorupami potłuczonych talerzy, ruszyłem do śmietnika. Na ostatnim półpiętrze uległem gwałtownemu zaskoczeniu, co początkowo uznałem za alkoholowy omam. Z piwnicy wynurzył się majestatyczny, długi M. w tym swoim czarnym garniturze, wybielonym niesamowicie; tak dostojnie, chwytając się jedynie minimalnie, wytoczył się na podwórze. Ochłonawszy z pierwszego zaskoczenia, wyjaśniłem sobie z łatwością to zjawisko. Najwyraźniej M. opuszczając po libacji nasze mieszkanie, zaszedł nieco niżej do piwnicy właśnie i tam już oddał się rozkoszy snu na betonowej posadzce; teraz zaś wynurzał się na światło dzienne w tym groteskowo wybielonym garniturze. Oto M. w ostatnich swoich młodzińczych porywach, weteran przygotowany na każdą okoliczność. To tyle tytułem wprowadzenia. Najbardziej istotną w tej opowieści jest ta najściślejsza już faza naszej przyjaźni. Wyraża się ona rytmem regularnych wizyt. O tym pragnę napisać więcej. O naszych rozmowach, jego długich, kunsztownie budowanych oracjach wytrawnego retora, polemikach, pamfletach, panegirykach, stosunku do życia, przyjaciół, wrogów, świata w ogóle. O tej jego szerokiej i tak bogatej skali wiedzy, która pozwala mu przechodzić swobodnie z historii w domenę malarstwa, muzyki, literatury, dziejów dawnej Warszawy, starych patrycjuszowskich rodów, masonerii i tej rozbawionej kawiarnianej Warszawki spod znaku Adrii, Wróbla, Morskiego Oka, I.P.S.-u i Ziemiańskiej. O tej jego fascynującej twórczości, wielkiego maga słowa mówionego,

ulotnej i tak trudnej do utrwalenia choćby w okrucinach. A także o tej sekretnej, rzadko odkrywanej twórczości pisanej, w którą przecież wielu sceptyków wątpi zdecydowanie dotychczas. Nasza zażyłość najwyższego szczebla, używając terminologii masonów, rozpoczęła się w 1968 roku, kiedy to zwolniono go ze stanowiska dyrektora muzeum literatury. Przyszedł wtedy czas szarańczy i on tym nowym, żadnym władzy kondotierom, jakże przy tym wulgarnym i prostackim — nie mógł się podobać. Przede wszystkim ze względu na swoją odmienność w zachowaniu, wyglądzie, i jeszcze z tym swoim nazwiskiem o brzmieniu niemieckim; dla nich zapewne po prostu był Żydem. Nasza zażyłość zaczęła się od przeprowadzki. Przy tej przeprowadzce dowiedziałem się, że mój przyjaciel, stary nobliwy M., był nielada tułaczem. Dom na Senatorskiej, te pięciopokojowe salony zamożnej, dynastycznej inteligencji warszawskiej, uległ zupełnemu zniszczeniu podczas powstania. Po wyzwoleniu więc M. przemieszkiwał kątem u krewnych i przyjaciół, wynajmował sublokatorskie klitki, dopóki dzięki życzliwości pewnej ustosunkowanej aktorki nie otrzymał własnego mieszkania. Ale będąc dyrektorem muzeum z właściwą sobie życzliwością wypożyczył mieszkanie komuś bardziej potrzebującemu i sam zamieszkał w pokoju służbowym tej instytucji. Toteż zwolniony z pracy, tym samym pozbawiony został mieszkania. Przeprowadził się do mnie na kilka dni. Osobliwa to była przeprowadzka. Wysoki, ekscentryczny pan z ogromnym nochem dźwigał tobołek z kołdrą, poduszką, pidżamą, owinięty w prześcieradło. Przedefilował w ten słoneczny dzień do mojego mieszkania na Długiej. Domownik z niego był delikatny, niedokuczliwy. Najbardziej intrygowały mnie jego wieczorne czynności w łóżku. Co wieczór już leżąc zamaszystym, dużym piśmem ze śladami nauki kaligrafii w dzieciństwie wypełniał stronicę grubego brulionu, przestawał, drapał się długopisem po uchu, ponownie zabierał się do pisania. I tak do późna w noc. Podpatrywałem, przyznaję. Z jego pisaniem bywało rozmaicie. Został poproszony o napisanie szkicu do *L'Herne*, ekskluzywnego periodyku literackiego, wychodzącego w Paryżu. Cały numer tego pisma miał zostać poświęcony Witoldowi Gombrowiczowi. Nosił się z tym zamiarem bardzo długo. Sprawa przecież dotyczyła człowieka, z którym łączyły go niegdyś bliskie stosunki. Zażyłość ta sięgała czasów najdawniejszych. Obaj wtedy startowali i mieli wspólne upodobania do pewnej konwencji zgrywy, żartu, drwiny. Witold Gombrowicz również w swój osobliwy sposób zalecał się do jego pięknej siostry. Postanowił rzecz swoją napisać po francusku, specjalną francuszczyzną, jak nadmienił, pragnąc jak najściślej oddać ducha ich przyjaźni oraz istotę pisarstwa Witolda.

Przeczytał swój szkic po polsku. Było to bardzo wyszukane i niewiele z tego zapamiętałem. W ostatecznym rezultacie jego tekst w *L'Herne* się nie ukazał. Nie zdążył na czas, nie przyjęli? Sam przestał zupełnie mówić o tej pracy, która go jeszcze niedawno tak pochłaniała bez reszty. Językiem francuskim władał biegle, tylko posługiwał się formą wyszukaną, nieco staroświecką, tak oceniali znawcy. Wspominał nasz b. ambasador w Paryżu, jak w tym mieście odbywała się uroczystość odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza. M. przybył tam jako dyrektor muzeum literatury i od rana już pił w gargantuicznych ilościach wino, przetykając calvadosem i armaniakiem, zachodząc od bistra do bistra, spacerując po bulwarach, placykach i zaułkach, oceniając kobiety, rozkoszując się konfrontacją współczesnego Paryża z tamtym miastem jego młodzieńczej podróży z ojcem i późniejszych studenckich wypadków. Tak przy tych trunkach i wspominkach czas upłynął do uroczystości. Zgromadzili się notable, mer, elita intelektualna. Nasz ambasador pełen był najgorszych przeczuć, M. bowiem sprawiał wrażenie porządnie opitego, ponadto nie miał żadnej karteczki, najmniejszego choćby konspektu przemówienia. Tylko nochal błyszczał mu w słońcu imponująco. Wreszcie gość z Polski stanął na podwyższeniu przed pomnikiem wieszacza. Powiodł spojrzeniem po dostojnym zgromadzeniu. Wyglądał jak chudy ptak z gatunku brodzących, najbardziej przypominał siwą czaplę w swoim czarnym, znoszonym garniturze, opylonym na rękawach i klapach. Przemówienie wygłosił z niezwykłą swadą i animuszem, często przerywano mu oklaskami i śmiechem. Przyjęte zostało z prawdziwym aplauzem i nie bez pewnego zaskoczenia. W treści i formie było bardzo francuskie, zawierało umiejętnie skomponowane elementy patosu, żartu i anegdoty, wypowiedziane nienagannym, może tylko zbyt literackim językiem. Zabojady ścisnęły prawicę M., on zionął im bukietem wielu wypitych trunków i śmiał się tubalnie. Starzy jego znajomi z czasów okupacji, wykładowcy i słuchacze konspiracyjnych seminariów i dyskusji powtarzają zgodnie, że M. przedstawiający swoją kwestię bez kartki bywał zawsze wspaniały, natomiast wywód napisany, ujęty w rygory liter i słów, utrwalonych na papierze, paraliżował i dusił jego indywidualność; wtedy to czytane stawało się blade, anemiczne, wyprane z werwy i polotu, bogactwa skojarzeń i śmiałości rozwiązań.

Jednakże motyw pisania przewija się w życiu M. nieustannie. Dawno temu przeczytał mi swój kilkunastostronicowy list-esej, wysłany do Jana Józefa Szczepańskiego z powodu tomu jego szkiców „Przed nieznanym trybunałem”, z których jeden dotyczył dramatycznej decyzji ojca Maksymiliana Kolbe w Oświęcimiu.

W liście tym M. wyłożył swoją własną analizę motywacji czynu ojca Kolbego na porannym apelu, kiedy to dobrowolnie wybrał śmierć za obcego mu człowieka. Wywód miał charakter bardzo skomplikowany, istotne znaczenie odgrywały przypuszczalne wymiary placu apelowego, ilość zebranych więźniów, odległość między nimi i oprawcami, inne jeszcze obliczenia. Nie mam zdania o tym liście. W słuchaniu oszołomił mnie wielopiętrową warstwą znaczeń, swoistym palimpsestem, gdzie pod jednym odkrytym napisem znajduje się zaraz drugi. Owego listu do bezpośredniego przeczytania nie otrzymałem. Nawet nie pragnąłem tej lektury. Obawiałem się rozczarowania, negatywnego wrażenia, czegoś w tym sensie. Jakbym czekał na to dzieło, którego M. jeszcze nie napisał, czyniąc dopiero wstępne wprawki, szykując się do wielkiego skoku. Innym razem przeczytał swój przekład fragmentu którejś pieśni z „Boskiej Komedii”. M. był poliglotą, szczególnie dla mnie, językowego barbarzyńcy, jego biegłość w tym zakresie była imponująca. Znał włoski, francuski, łacinę, grekę, często uprawiał sztukę translatorską w tych językach. Lekturę przekładu z Dantego opatrzył obszernym komentarzem o poszukiwaniu odpowiednich słów, niezbędnych dla oddania najgłębszych znaczeń tej poezji, o bogactwie zawartych tam odniesień do starożytności i historii współczesnej poecie, o galernicznym trudzie utrzymania odpowiedniej rytmiki i oddania w języku polskim poetyckiego piękna. Polemizował ostro z dawnym przekładem „Boskiej Komedii” dokonany przez Edwarda Porębowicza, zbyt jego zdaniem obciążonym młodopolską manierą pustego, wzdętego wielosłowania. Czytywał także słynne, lapidarne stwierdzenia Karola Marksa w rodzaju: — Byt określa świadomość, czy — Nędza mas wśród obfitości dóbr — w swoim przekładzie na łacinę. Ten zabieg nadawał sentencjom Marksa odmienny sens, zamieniając materializm w idealizm, formuły ekonomiczne w metafizyczne. Czyli przewracał do góry nogami myśl Marksa. Bawił się tymi przekładami znakomicie, zarazem wyciągał daleko idące wnioski semantyczne co do wartości łaciny jako sprawdzianu rozmaitego mętniactwa i nieścisłości. Jego zdaniem była ona niezawodnym probierzem.

Z coraz większym trudem wspinał się na nasze IV piętro, odpoczywał po drodze, laska-parasol już przestała być tylko ozdobą, wchodził zadyszany; jednak jego duch wcale nie odczuwał znużenia. Po powitalnych pocałunkach, którymi nas zawsze obdarzał, kładł się na tapczanie, opierał głowę o ścianę, zawijał i spletał wymyślnie te swoje długie nogi ptaka brodzącego, natychmiast zaczynał perorować dziarsko. Często miewał monologi czysto abstrakcyjne, pełne skomplikowanych skojarzeń i paradoksów,

oparte na tak ulotnej i jemu tylko znanej podstawie (o której w dodatku wcale nie wspominał, traktując ją jako oczywistość nie wartą nawet zaznaczenia), i wtedy myśl jego pędziła niepowstrzymanie do wysokiego lotu. W tym wysokim locie odczuwałem nadmiar akrobacji, piruetów, korkociągów, beczek — używając słownictwa pilotów, upojenia się słowem dla samej jego urody, metaforą dla samej jej błyskotliwości, pointą jedynie dla zaskakującego efektu. Odbiór w takich chwilach bywał trudny (nie moje to fale), choć z nagłą jedno jego słowo, zdanie, obraz, trafiły niby pocisk w moją wyobraźnię, wywołując samodzielny, osobny łańcuch obrazów i skojarzeń. Czułem więc twórcze działanie jego magii nawet w strefach najzwyklej dla mnie dalekich.

Ale zdarzało się i tak, że zmęczeni nawałem codziennych czynności, Jola i ja, bywaliśmy apatyczni, ociężali, mało wrażliwi i niezdolni do podtrzymania jakiegokolwiek dialogu w wyższej tonacji. Jałową tedy byliśmy dla niego glebą. Nawet niezdolni do zdawkowej, konwencjonalnej formy uznania dla krasomówczych wyczynów naszego gościa. W monologach miewał pauzy i potrzebował aplauzu, tego gorącego zrozumienia w oczach słuchacza lub jednego choćby słowa świadczącego o pełni odbioru. Milczeliśmy jednak tępo i wręcz po prostaku. Wtedy śmiał się z byle błahostki i śmiechem swym tubalnym wypełniał ciszę, poprawiał niecierpliwie swe długie nogi i już mówił o czym bądź, wprawiając się z każdym słowem w coraz większe ożywienie, zupełnie jak ta nakręcana, dziecinna zabawka zwana „bąkiem”. Patrzyłem na niego z zimną nieufnością, tak czasami też bywało, nie dawałem się zwieść czarowi jego sztuki. Wydawała mi się ona jedynie formalną maestrią na kształt baniek mydlanych, kolorowe i piękne, zaraz rozwiewają się w powietrzu, stając się zupełną nicością. Monologi starego, wytrawnego szermierza, mistrza słownego fechtunku w towarzyskich, kawiarnianych bojach. Jeszcze ten jego bas tak bogaty w odcienie, raz cichy, aksamitny, ale przenikający, to potężny niby spizowy dzwon, żeby nagle w apogeeum oracji wezbrać dźwiękami ochryplymi niby dysonans. Świecie nie umiał się posługiwać swoim głosem. Tak nieżyczliwie konstatowałem. Patrzyłem na jego pobrużdżoną, ruchliwą twarz i zadawałem sobie pytanie: szarlatan to czy mędrzec? Jego niebieskie oczy kipiały młodzieńczym blaskiem (choć chwilami zasnuwały się mgłą jak bielmem i obojętniały zupełnie) i jego wąskie, piękne dłonie też brały ruchliwy udział w pracy ust i gardła. Te dłonie M., długie i silne, o gładkiej skórze, bez żadnych zniekształceń i znamion starości. Więc jak to jest właściwie? Ale rzadko nieżyczliwie o nim myślałem. Jeżeli już tak było, to po chwili uznawałem tę właściwość za jedną z wielu możliwości jego bogatej

wyobraźni. Traktowałem te puste monologi jako rodzaj swoistego treningu dla utrzymania należytej formy.

Był entuzjastą sztuki. Prawdziwym odbiorcą piękna, po młodzieńczemu ożywiającym się z powodu jakiegoś wydarzenia artystycznego, bezinteresownym i niezwykle chłonnym, nietypowym w tych czasach komercjalizacji i utylitarnych nacisków na sztukę; był więc jednym z ostatnich Mohikanów, poszukującym czystych, niczym nie skażonych przeżyć estetycznych. Tak reagował na malarstwo swego przyjaciela, patriarchy abstrakcjonizmu, wiekowego Henryka S., pracującego niezmiernie nad kwadratami w wielu odcieniach. Opowiadając kiedyś o serii jego nowych obrazów bogatych w szeroką gamę odmian błękitu, nazwał ten cykl malarstwem religijnym i użył dalekiego porównania z surową architekturą kościołów wczesnego gotyku.

— Gotyckie malarstwo — powtarzał z tym tylko jemu właściwym przejęciem w głosie.

Również żywo zachwycał się grą aktorską Maji Komorowskiej, uzasadniając dlaczego ta kobieta, w życiu naturalnym nie odznaczająca się szczególną urodą, na scenie przeistacza się w promieniującą, jak powiedział, wewnętrznym światłem piękność.

W tych pochwałach wiele znaczyła wedle jego systemu wartości prywatna zażyłość z daną osobą. Mozolnie nieraz szukał pozytywnych cech twórczości ludzi sobie bardzo bliskich. Tak było z Tadeuszem Brezą, którego cenił jako niezrównanego partnera do rozmów, upajał się niegdyś jego dowcipem, inteligencją i wysokim kunsztem żonglerki słownej przy kawiarnianym stoliku. Z literaturą Brezy rzecz przedstawiała się gorzej, przyznawał M. raczej z wewnętrznym oporem. Próbował ratować twórczość przyjaciela i zabierał się do karkołomnej próby poprawiania jego powieści.

— Gdyby to napisał... — zaczął. Jednak przyciśnięty już bezpardonowo do muru, zgodził się w zupełności z surową oceną, posmutniał przy tym wyraźnie i nagle całkiem naiwnie (a może wcale nie tak naiwnie) przyczynę tego upatrzył w destrukcyjnej roli żony pisarza, mieszczi i konformistki o ciasnych horyzontach. Po prostu przyjaciela pragnął widzieć w jak najlepszym świetle. Obdarzał go szczerze wszelkimi przymiotami i talentami. Pamiętam ten wieczór, kiedy wpadł do nas nagle pod wrażeniem debiutu poetyckiego Niny Andrycz. Wygłosił najwyższą pochwałę tego tomu wierszy, odkrywając tam szereg wartości bliskich arcydziełom. Lubił operować słowami najwyższego stopnia w pochwałach. Mógł tylko porównać nowonarodzoną poetkę z Wisławą Szymborską i Urszulą Koziół. Długo o tym odkryciu

rozprawiał. Subtelność wyobraźni i zdolność wyrażania najbardziej ulotnych uczuć, zwykle nie dających się zakłąć w słowa.

— Fenomenalne, wspaniałe! — eufemizmy zdarzały mu się często w chwilach entuzjazmu.

Później rozmawiając przypadkiem z kimś z dawnych lat, dowiedziałem się o romansie czy zalotach M. do tej aktorki o śpiewnym, kresowym głosie. Tyle że mój rozmówca był znanym złośliwcem. A M. przecież był zawsze wierny w przyjaźni, nade wszystko zaś lojalny, nieraz przecież wychwalał tę majestatyczną aktorkę, nie ukrywając wcale tego, że niegdyś jako osoba wpływowa, żona jednego z najwyższych dostojników w nowej Polsce, świadczyła mu wiele życzliwości. Nasz M. czuły był na uroki płci pięknej. Jest to fakt. Miał znaczne powodzenie u kobiet i umiał z tego korzystać. Opinie kobiet na jego temat były kontrastowo podzielone. Jedne twierdziły: potwornie brzydki i odpychający! Inne zaś pełne zachwyty nad jego fascynującą brzydota i urokiem osobistym. M. jest poza zwykłymi kryteriami oceny mężczyzny, powiedziała pewna jego wielbicelka.

W każdym razie miał bogate doświadczenia uwodziciela. Czynił te zabiegi jak wszystko, ze znaczną dozą żartobliwości, dystansu, operował zmienną ekwilibrystką liryzmu i cynizmu, żartu i powagi, cnoty i amoralności, jakby mimochodem, niezauważalnie zdobywając obiekt swych oryginalnych amorów. Wpływ na niektóre kobiety wywierał silny, czasem piorunujący. Jeszcze jako wódzdarz muzeum literatury zaprzyjaźnił się z żoną znanego krytyka sztuki. Znajomość rozpoczęła się niewinnie od porannych posiedzeń w staromiejskiej winiarni. M. w tamtych czasach do południa gustował w winie, po południu przechodził na wódkę. Bywali tam oboje regularnie; w pustawej o tej porze winiarni aż dudnił tubalny śmiech M., opróżniali co najmniej jedną, dwie butelki wina. Zaczęto widywać M. z tą kobietą także po południu w rozmaitych barach i klubach, ona zasłuchana, zaśmiewała się, to znów poważniała z nagle, wpatrując się w swego sugestywnego kompaniona. Rzecz cała nabrała posmaku sensacji w warszawskim światku artystycznym. Mówiono o romansie. Mąż, jak to z reguły bywa, dowiedział się najpóźniej i zareagował z całą gwałtownością rogakza — albo ja albo on!

Wyprowadził się z domu, zakłębiło się w tym dotąd przykładowym stadle. Widywano M. z tą kobietą już coraz rzadziej, w miejscach ustronnych, konspiracyjnych. Wkrótce rozwiąło się to zupełnie, lecz jej w spuściznie po tym zamroczeniu serca pozostała silna skłonność do alkoholu. Mąż powtórnie oświadczył dramatycznie — albo ja albo nałóg!

M. nie posiadał niewolniczych upodobań do alkoholu. Mógł pić, równie dobrze nie pić.

O sukcesach jego w sferze podbojów sercowych wieści docierały z różnych stron. Ta egzaltowana rzeźbiarka, mieszkająca od lat w Irlandii, dziewczyna znana z urody, przybывая na krótkie wizyty do kraju, zawsze odwiedzała M., pamiętała również o nim z daleka, zaopatrując go w kawę, herbatę, kosmetyki. Gwoli prawdy należy zaznaczyć, że M. nie przechwalał się nigdy swymi podbojami, dyskretny jak na dżentelmena przystało, czci niewieściej nie uchybił ani razu jakimś lepkiem, marnym słowem. Wracając zaś do rzeźbiarki przysyłającej M. z daleka dowody swej pamięci; z powodu tych zagranicznych paczek właśnie czasem osobliwy akcent pojawiał się w jego stroju. To kolorowa apaszka, czy koszula z modnie zaokrąglonymi rogami kołnierzyka, kurtka z kolorową podszewką czy buty na podwyższonym obcasie. Strój M. stanowi osobny rozdział. Niezwykle niedbały, zarazem w sposób trudny do określenia wykwintny. Właściwie był abnegatem, o wygląd nie dbał zupełnie, przetarte łokcie marynarki ścierał kolorową włóczką, łątę na kolanie zaszywał własnoręcznie, naddarta kieszeń nie przeszkadzała mu wcale, buty nosił tak długo, dopóki nie rozpadły się ostatecznie. Nie miał żadnej potrzeby posiadania, ani koniecznej zaradności w sprawach materialnych. Na pewno też nie wysiłał swego umysłu w tych codziennych, uciążliwych praktykach. Tę przyziemną zapobiegliwość pomijał z naturalną obojętnością, zadowolając się tylko niezbędnym dla bytowania minimalizmem.

W latach 70-tych postanowiono osłodzić mu przejście na wczesną emeryturę i otrzymał nowe mieszkanie w domu zajmowanym przez rządowych dygnitarzy. Kawalerka to była niewielka, może pierwotnie przeznaczona na jakąś dyżurkę dla cerbera pilnującego spokoju i bezpieczeństwa dostojnych mieszkańców domu. Wnętrze to od razu wypełniło się malowniczym, przyjemnym nieładem przypominającym nieco biwak, książki stosami zajęły podłogę, kartony spełniały rolę szafek na naczynia i talerze, szczególnie ozdobną rolę odgrywały lampy własnego wynalazku M. Kilka metalowych tarek kuchennych, większych i mniejszych, umocowanych na ścianach i ukrywających żarówki, cienkimi i szerokimi pasmami przepuszczało światło, powodując grę zmiennych, oświetlających mrok refleksów. W mieszkaniu tym znajdowały się pozostałości dawnego przedwojennego życia M. Na eksponowanym miejscu ściany widniał okrągły portret w staroświeckich ramach, przedstawiający matronę o surowej, niedostępnej twarzy, po jego bokach dwa dagerotypy panów w sztywnych kołnierzykach uciskających szyję, obaj z obfitymi bokobrodami.

Znaczną część powierzchni pokoju zajmował ogromny stół z czarnego drzewa, na nim zawsze rozłożone papiery, książki. Obecność papierów zapisanych dużym, zdecydowanym pismem, pokreślonych i poznaczonych uwagami na marginesach; stanowiło to dla mnie tę tajemniczą zagadkę twórczości pisarskiej M., tak przecież sceptycznie ocenianej przez większość jego znajomych.

Tryb życia prowadził anarchiczny, do posiłków też nie przywiązywał szczególnej wagi, często nie jadał obiadów, zadowolając się oryginalnymi posiłkami własnego pomysłu, jednakowo przyjmował potrawy najbardziej wyszukane jak i zupełnie proste. W lokalach, kawiarniach, klubach od lat już nie bywał wcale i imponująca była ta łatwość, z jaką zrezygnował ze swego dawnego upodobania. Niemalą w tym rolę odgrywała zapewne jego skromna renta, niekiedy pożyczal przed końcem miesiąca niewielkie sumy, oddawał terminowo ze starannością niedzisiejszego dłużnika. Przede wszystkim jednak odpychała go brzydota współczesnej gastronomii. Te knajpy-stodoły, bary bez indywidualnego charakteru, chamska obsługa, puste gabloty i wódka wypijana pośpiesznie, bez żadnej przyjemności, rytuału, zabawy — ten styl nie mógł mu przecież odpowiadać. Będąc arystokratą ducha i człowiekiem wiecznie ciekawym życia, czuł się doskonale z ludźmi wszystkich sfer, poczynając od włóczęgi dworcowego, przypadkowo spotkanego w nocy opryszka, a kończąc na parweniuszach o snobistycznym zacięciu. Zapamiętałem jego relacje o rozmowach z pewnym penetratorem śmietników, którego spotykał w swoich przechadzkach. Przypadli sobie do gustu i gwarzyli z przyjemnością.

Był również pieczeniarem i z niektórych gościnnych domów korzystał wyłącznie utylitarnie dla przyjemnego spędzenia czasu. Szczególnie chętnie czynił to w dawniejszych latach, kiedy trunki i dobre jadło kusiły go znacznie silniej; chwalił wtedy bezwstydnie przymioty gospodarzy, doszukiwał się w nich intelektu i uroków niezwykłych, choćby byli patentowanymi durniami. Nie skrywał wcale w tych komplementach łatwo czytelny cynizm. Miał w swojej postawie cechy Diogenesa, mędrca ze spokojem przyjmującego rozmaite zrzędzenia losu, przede wszystkim dumnego ze swojej suwerenności. Tą drogą podążał konsekwentnie już od dawna. Znany był jego przedwojenny styl życia bez szczególnych ograniczeń, wynikających z zamożności domu rodzinnego. Upozował się w tamtych czasach na birbanta i intelektualistę zarazem, studiował historię, był ulubionym uczniem profesora Handelsmana. Pisał książkę o życiu hrabiego Walewskiego, syna Napoleona; ogłosił jeden rozdział w *Ateneum* Stefana Napierskiego.

Maszynopis książki uległ zniszczeniu wraz z miastem w latach wojny.

Podczas międzynarodowego kongresu historyków pełnił funkcję sekretarza, zajmując się sprawami recepcyjno-organizacyjnymi. Musiał być w tej roli znakomitym, uroczym opiekunem aeropagu uczonych, przybyłych z całej Europy. Harmonijnie łączył lekkość i wdzięk bywalca kabaretów, nocnych lokali, znawcy kobiet i wina, z głęboką wiedzą świetnie zapowiadającego się uczonego. Pozwalał sobie na luksus nauki dla nauki, wcale nie pragnąc czerpać z niej korzyści materialnych. Klasyczny typ Privat-Dozenta, można powiedzieć, niegdyś z takich rodzili się wielcy filozofowie. Właściwie M. został filozofem. Docieka, dąży, zadaje te najistotniejsze pytania i szuka odpowiedzi.

Wojnę przeżył podobnie, wcale nie poddając się grozie okupacji, straceńcze hulanki, konspiracyjne wykłady i spotkania młodych twórców, których często bywał inspiratorem, szczerze wypełniały mu czas. Miał nawet pojedynkę według kodeksu Bożewicza. Jednak wobec upustu krwi polskiej, dokonywanego przez okupanta, pojedynkę ten jedynie markowano, żeby uczynić zadość sprawie honoru. Czyli okupację przeżył po swojemu i nie ma w nim wcale typowej skłonności ludzi starych do swoich lat dawnych, nie opowiada o sobie, raczej fascynuje go tamta atmosfera, stan ducha, sposób życia. Nie jest więc typowym, wiekowym gawędziarzem, nie sypie przygodami ze swego rogu obfitości, przeciwnie; jest powściągliwy i nad wyraz dyskretny na temat swojej osoby. Nową Polskę, twór niewątpliwie obcy dla niego i niezrozumiały (przed wojną M. i jego środowisko niewiele się interesowało rewolucją, komuną, krajem rad, było to tak obce i odległe, a złe przeczucie zagłuszały żartem, zabawą, czym bądź), jakby powstały po trzęsieniu ziemi; więc tę powstającą Polskę również lekko i bez zgrozy potraktował, bawiąc się po dawnemu, z radością odnajdując dawnych przyjaciół, pojawiających się po wojennych peregrynacjach. W tym pierwszym okresie po wyzwoleniu, jeszcze względnie swobodnym, pełnym fermentu intelektualnego i rozmaitych nadziei, został redaktorem powstającego właśnie wydawnictwa, utrzymał się tam jednak krótko, rzeczywistość twardniała brutalnie, fala gwałtownych przemian wyrzucała za burtę ludzi takich jak on.

Bez zaskoczenia powrócił do życia okupacyjnego, do tej formuły wolnego birbanta i mędrca perypatetyka, człowieka o tymczasowym statusie. Zmiana położenia nie połamala mu skrzydeł. I nadal żył z dnia na dzień jak ptak, stając się jednym z filarów podnoszącego się z nim świata artystycznego Warszawy, który już był jedynie namiastką tamtego przedwojennego królestwa salo-

nów. Trzymał się konsekwentnie dawnego dekalogu, znów zastępował jako ozdoba towarzyskich sympozjonów, twórca wielu bonmotów i anegdot, nieposkromiony kpiarz z rzeczy świętych i surowo zakazanych, niezbędny przy każdym znacześniejszym spotkaniu artystów, równie ochoczy jak dawniej do eskapad po nocnych wykwinnych lokalach i spelunkach najpodlejszego autoramentu. Był nieujarzmionym optymistą. Powtarzał chętnie i nie bez dumy, że okupację traktował jako długą, złą noc, także stalinizm przyjął jako podobny dopust boży. Nie był tchórzem i w czasach kiedy wszyscy porozumiewali się szeptem, on nadal huczał swym basem. Ze swych doświadczeń wyciąga wnioski o szansach pojedynczej, jednostkowej wolności nawet w najgorszych czasach. Tego przeświadczenia trzyma się nadal.

— Za dużym jesteś optymistą — wątpię niedawno, kiedy roztaczał tęczową wizję przyszłości dla tego regionu Europy.

— A czy warto być małym? — odparł bez wahania. To prawda. Małym być nie warto. Jak grać z losem, to tylko o dużą stawkę.

Optymizm i nadzieję na przyszłość przede wszystkim znajduje w ludziach. Podaje przykłady. Przechodząc obok sklepu rzeźniczego, uchylił kapelusza do dwóch rzeźniczek za szybą. One z uśmiechem zasalutowały mu po wojskowemu.

Lub ta zupa z zacierkami, którą go poczęstował w mroźny dzień kanalarz pracujący w wykopie na ulicy.

— Jedz pan, panie starszy, trzeba się rozgrzać!

— Czy to nie jest powód do optymizmu? — powiada M.

M. dotąd te nasze złe czasy przeżywał w zwyczajnej formie ducha.

Przypominany w okresie „październikowych wstrząsów i przemian” został dyrektorem muzeum literatury i niewątpliwie była to odpowiednia dla niego placówka. Wykazał wiele inwencji, sypnął oryginalnymi pomysłami, przedstawił szereg wystaw, które zdynamizowały tę kostyczną o akademickim dotąd charakterze instytucję. Wydarzeniem stała się pomyślana przez niego wystawa, biesiada, widowisko (wszystkie te elementy występowały łącznie) w rocznicę powstania styczniowego. Wydostał gdzieś z archiwów i piwnic mnóstwo dokumentów, pamiątek i rekwizytów. Odbył się malowniczy piknik na dziedzińcu wśród murów, płonęło ognisko, pieczono kiełbasę na rożnach, serwowano spirytus w blaszanych puszkach, ściany zdobiły podobizny powstańców z leśnych partii Chmieleńskiego, Czachorowskiego czy Zameczka, odzianych w burki, barankowe czapki, z flintami, króci-cami i szablami, rozbrzmiewały pieśni patriotyczne, w dalszym

planie majaczyli Kozacy z pikami, umiejętna iluminacja sugestywnie potęgowała nastrój nocy z 1863 roku.

Działalność w muzeum odpowiadała temperamentowi M., doskonale łączył artystyczną intuicję z rzetelną wiedzą historyka. Daleki był także od wszelkiego biurokratyzmu i sztampy. Zwykłą koleją rzeczy nastął etap potocznie nazywany „przykręcaniem śruby” i M. przestał odpowiadać nowym wymaganiom polityki kulturalnej, przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Nie wydawał się tym zbyt mocno przejęty. Najwyraźniej życie traktował jako nieustającą karuzelę, nawałnicę absurdów, niedorzeczności, zła i głupoty, bawiąc się wyśmienicie tym groźnym światem, obficie przy tym czerpiąc z wynaturzonej rzeczywistości tworzywo do swoich żartów i opowieści. Będąc emerytem pozostał nadal wiecznym młodzieńcem, wyrzucającym majestatycznie swe długie nogi czapli, podpierającym się dla fasonu laską i sprawiającym na warszawskiej ulicy wrażenie spacerowicza z innej epoki, z przedwojennego corso w Alejach Ujazdowskich. Tu muszę jeszcze powrócić do stalinizmu. Ta jego osobna, naprawdę osobna postawa, żart i ironia, które nie omijały żadnych fetyszów i tabuistycznych zakazów, musiały niektórych ludzi mocno dziwić i zastanawiać, ludzi skądinąd zacnych i uczciwych, pozbawionych jednak poczucia humoru, przejętych wyłącznie grozą i tragizmem tamtych czasów.

Mówili o nim — błazen! Podejrzewali go także o pewne koneksje jednoznaczne w swej wymowie. Nie ma nic bardziej ohydneho i kłamliwego niż to pomówienie. Po prostu był taki jaki był i los mu sprzyjał, strażnicy nowego ładu przez przypadek lub uważając go za nieszkodliwego błazna właśnie (cóż mogli pojąć z rozwijających się niby niekończące się spirale surrealistycznych monologów) pozostawili w spokoju tego dziwnego, chudego człowieka z ogromnym, wyzywającym nosem i rzadkimi kępkami siwych włosów na głowie. Jego prywatne ścieżki w szczęśliwy sposób nie skrzyżowały się nigdy z tymi głównymi szlakami, którymi sunął wszystko miażdżący walec powszechnej unifikacji. Ponadto M. przebywał wyłącznie w zamkniętych enklawach artystyczno-intelektualnych, gdzie nowa rzeczywistość nie wdierała się tak nachalnie, na ogół bywała przepuszczana przez filtr umiaru, ironii i pobłażliwości.

Dlatego też spaceru M. trwały nadal. Agorą dla naszego perypatetyka stały się ogromne place defilad, szerokie ulice wśród koszarowych budowli zdobnych w płaskorzeźby robotnic i robotników oraz odbudowane niby teatralna makieta Stare Miasto.

Przymiował to nowe i obce ze spokojem stoika i nigdy nie tragizował zwyczajem samotnych pogrobowców na pogorzeliisku.

A propos nowej architektury miasta poczynił interesujące porównanie z okupacyjną Warszawą. Nie odczuwał wtedy zupełnie dokuczliwości godziny policyjnej w przeciwieństwie do ostatnich rygorów naszego stanu wojennego. Dawne ulice zabudowane zwartymi ciągami kamienic o przechodnich podwórzach i kilku wyjściach stwarzały możliwość znacznej swobody poruszania się dla ludzi. Również dawne mieszkania w przeciwieństwie do współczesnych ciasnych klatek w blokach były przestronne i z łatwością dawały nocne schronienie spóźnionym gościom. Szliśmy przez jakieś nowe osiedle na peryferiach i M. przypominał sobie podziemne życie w okupowanym mieście. W tej nowej architekturze, tak powiedział, problem walk ulicznych jest jednym wielkim znakiem zapytania.

W latach już emerytalnych spacerował znacznie mniej. Powodem tych ograniczeń stały się dolegliwości zdrowotne. O swoich chorobach potrafił opowiadać wspaniale, czyniąc z niedomogi serca czy zakłóceń równowagi niepowtarzalny teatr jednego aktora; gestykułował, ruchliwa mimika i wyraziste oczy wzmacniały wymowę inscenizacji. Nawiedzały go nieraz sensacje zdrowotne, którym nadawał charakter niezwykle tajemniczy. Jedną z nich posiadała znamiona choroby trudnej do medycznej kwalifikacji, czyniła świat straszny i niemożliwym do zniesienia, nazywał ją „przezroczystością”, gdyż ludzie, których spotykał, domy, chodniki ulic które przemierzał, całe otoczenie stawało się przezroczyste, przezroczystość owa sięgała do samej istoty żywych stworzeń, przedmiotów, wszelkiej materii, odkrywały się bezdenne głębokie pustki za powłoką ludzkiej skóry, betonem, stalą, czym bądź. Ataki tej choroby traktował jako bardzo groźne dla swego samopoczucia i uciekał wtedy porażony strachem do domu.

Na pewno miał kłopoty z sercem. Znajdował się pod kontrolą lekarza, zażywał nitroglicerynę, ale i ta najbardziej realistyczna dolegliwość serca w jego relacji też nabierała znamion osobliwych, wręcz niezwykłych. Spotkaliśmy się pewnego popołudnia u jednego z przyjaciół, piliśmy kawę zakrapianą umiarkowanie koniakiem. W tym spotkaniu brał udział wybitny pisarz, człowiek mądry, może nieco naiwny; pierwszy raz miał styczność z M. A nasz przyjaciel znajdował się akurat w szczytowej formie swych możliwości. Monologował nieprzerwanie, tematem jego wywodów była tym razem wojna, wojsko, strategia, taktyka, wszystko to w wielostronnym, bogatym w fachową wiedzę oświetleniu. Sięgał do Hannibala, Scypiona Afrykańskiego, bitwa pod Kannami, Jezioro Trazymeńskie, analizował słynną drogę przez Alpy Hannibala, równie biele i barwnie przedstawiał plany operacyjne generałów Prądyńskiego i Chrzanowskiego, Hauke-Bosak w pow-

staniu styczniowym, żeby nieoczekiwanie zająć się bitwą nad Bzurą i talentami generała Kutrzeby. Dygresyjnie rozprawił się z Francją, demaskując metodą porównawczą w stosunku do polskiego oporu w wrześniu 1939 roku rejteradę francuskiego wojska mimo osławionej linii Maginota i hańbę kapitulacji. Wywodził mniej więcej tak. Dlaczego tak u nich było? Bardzo proste. Przyczyną rozwinięty sanitariat. W 1919 roku mój ojciec odwiedzając Paryż widział roje potwornych kalek z wojny. W 1922 roku ja byłem w Paryżu i ci inwalidzi wszędzie rzucali się w oczy. Czy Francuzi widząc latami te ofiary wojny, te kikuty, zmasakrowane twarze, mogli mieć chęć do wojny? Za wszelką cenę, nawet za cenę własnej godności unikać! Oto ich dewiza. Stąd Pétain dla wielu był zbawcą ojczyzny. Co innego Rosja. Tu nie istniał sanitariat w ogóle. Zresztą gdyby nawet byli inwalidzi. Tam ludzie przywykli nie do takich okropności...

Zatrzymał się chwilę przy rewolucji październikowej i wyłożył swoją teorię tej materii. W Rosji rewolucję wywołali maruderzy, hordy maruderów z frontu, żywił nie do opanowania, barbarzyńska pożoga, bolszewicy tylko umiejętnie podsycali ich żądzą grabieży, niszczenia, zemsty. Aż zajął się wojną przyszłości, futurologią wojenną w ogóle. Wizje wyczarował niesamowite, niby z bajek braci Grimm, broń świetlną, chemiczną, usypiające gazy, wyrosły przed nami armie wojska, już leżą pokotem jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, usnęli, wodził palcem po serwecie rysując przyszły teatr wydarzeń, ta apokalipsa kończyła się optymistycznie, porażeni wrogowie wracali do życia. Wojnę porzucił i zajął się jasnowidzeniem. Wpierw o słynnym inżynierze Ossowieckim: znał go osobiście i obserwował jego seanse. Następnie o Starży-Dzierzbickim, znanym warszawskim astrologu, który postawił Niemcom fatalny horoskop, zwiastujący z układu gwiazd ich klęskę. Uczynił pauzę i tak powiódł po nas intensywnymi oczyma o nieco wypłowiałym, niebieskim kolorze. Milczeliśmy zahipnotyzowani przez jasnowidza.

— Starża-Dzierzbicki — powiedział powolnie M. — był zdziwaczałym samotnikiem. Wywodził się z bardzo starego rodu. Ostatni z rodu. Jego krew była w dekadencji — zakończył. Miałem w tym momencie wrażenie, że M. w ten pokrętny sposób mówi o sobie.

Całe to popołudnie skrzyło się od jego inwencji i wizji.

Notuję nieporadnie. Wymyka mi się ta gęsta, tłoczna od faktów i konkluzji masa słów M., ujęta w formę wspaniałego przewodu dowodowego, a czasem podobna do równania algebraicznego, z którego w sposób logiczny i konsekwentny odkryta zostaje niewiadoma; wypowiedane z taką swadą, blaskiem oczu!

Pozostały tylko ubogie strzępy; żaden wysiłek nie ożywi tego znów.

O co w tym szło? Do czego mistrz zmierzał? Nie wiem. Byłem oczarowany.

Wybitny pisarz już wychodząc, zdążył szepnąć z ekscytacją: — To jednak geniusz! Mielicie rację. Pod wieczór zadzwonił do nas nieoczekiwanie. Był rozdrażniony i zde gustowany.

— To po prostu szarlatan! Szarlatan i kabotyn! — wyrzucał z siebie zapalczywie. — Bzdury wygadywał! — Zaczadzenie mu minęło. Wyzwolił się z kręgu sugestywnej siły. Zły za swą niedawną uległość. M. także zdał nam relację z dalszego przebiegu dnia. Niezwykłym popołudniem nazwał nasze spotkanie. Inspirowanym czasem wrzenia jego umysłu. Wraczał do domu w euforii, ciągle kipiał ożywieniem. Umysł i wyobraźnia pracowały na wysokich obrotach. Od razu sięgnął po tom wierszy Rimbauda i nadał w tym transie przetłumaczył z łatwością jeden z ulubionych swoich wierszy.

— Tak jakbym płynął w melodii tego wiersza — oświadczył. Przeczytał nam przekład. Miał w sobie tę szaloną, gniewną gorączkę młodego Artura. Ale to jeszcze nie koniec. Późnym wieczorem uniesienie opuściło go i poczuł się bardzo źle. Przybył lekarz. Stwierdził groźny stan serca. Obawiał się zawału. M. kilka dni leżał w łóżku pod czujną jego opieką.

— Niezapomniane popołudnie — mawiał jeszcze nieraz M. i dziękował nam za te godziny.

Jednak ten wieczór po niezapomnianym popołudniu i nagły przesywający ból w mostku nie mógł należeć do przyjemnych. Chwile śmiertelnego zagrożenia i bezradności. Bezwzględny dotyk siły wyższej. Chociaż sprawiał wrażenie człowieka od dawna przygotowanego na ostateczność. Od lat przecież wracał do pustego mieszkania, czekała go samotna noc. Nigdy jednym słowem nie wypowiedział pragnienia odmiany swego losu. Miewał w obfitości kobiety oddane, pełne powabów, ciągle pozostające w mocy jego uroków. Pielęgnowały go w chorobach, czyniły zakupy, gotowały posiłki. Dawne kochanki, przyjaciółki? Nawet w tym późnym, brzemieniu lat naznaczonym okresie jego życia zdarzały mu się dziarskie, męskie przygody. Poznał mnie z młodziutką poetką, patronował z zapałem jej literackim początkom. Musiała być z nim w intymnej zażyłości. Nazywał ją — Druga. Pierwszą była jej matka. Z powodu jego braku wszelkiego uprzedzenia i szerokiej skali sukcesów, krążył niegdyś po Warszawie żart: M. był pierwszym przed wojną Polakiem, który wykorzystał seksualnie Murzyna.

Przeczył temu, ale bez oburzenia co prawda. Na marginesie

promówienia o zdrożności z Murzynem nastąpiła opowieść o pedałach dawnej Warszawy. Niejaki hrabia Bis był bohaterem tej opowieści, przystojny łowca kobiet i chłopców zarazem, podczas okupacji dolary i złoto, po wojnie zaś antyki i podejrzane konszachty z bezpieką, aż w dniach festiwalu światowego młodzieży i studentów zatłukli go jacyś na ulicy, jak to M. powiedział: „Stał się pedałem jako przechodzień”. W dalszym ciągu wyłonił się nieoczekiwane efeb hrabiego, dawniej goniec w wydawnictwie, teraz stary, siwy subiekt księgarski, który na widok M. rozjaśnia się promiennie i zda się mówić oczyma: — Cóż za czasy dla nas nastąpiły!

Opowieść to była krótka, ale wieloznaczna, między innymi o degrengoladzie potomka starego rodu oraz o rzeczniku pamięci dawnych czasów, którym stał się uwiedziony przez hrabiego goniec.

M. jest samotnikiem zatwardziałym. To powszechne dla rodzaju ludzkiego dążenie do życia we dwoje zbywa zupełną obojętnością, często wręcz pogardą i niesmakiem. Opowiadając o jakimś nieudanym małżeństwie, użył bardzo dosadnego określenia — Co to za żona! On wraca i czuje się jakby siedział na żyłkach!

Głos mu zabrzmiał twardo, metalicznie. Czy doświadczenie osobiste? Dawno temu przeżyty dramat?

Potrafił być równocześnie wytwornym, czarującym bawidamkiem. Pozostawiał niezatarte wrażenie. Znał te struny na których należy grać, ciągnął po nich smykami wirtuoza. Po kolacji, gdzie pani domu, kobieta pozbawiona urody i wdzięku, topniała w ogniu słów M. jak wosk, oświadczył on spontanicznie: — Bardzo oryginalna uroda. Jaką jedwabistą miała cerę. Jej twarz aż promieniała! Widziałeś? — Wierzył w to święcie ukontentowany biesiadą, jakością potraw, gościnnością, estymą dla swojej osoby.

Parsknąłem śmiechem z tego hymnu pochwalnego na cześć nieistniejącej urody. Zrozumiał i też odpowiedział śmiechem.

Z upływem lat M. stawał się osobistością coraz mniej znaną; wymierała tamta dawna generacja, zmieniły się obyczaje, styl życia zdominowała ciężka, podejrzliwa powaga pozbawiona wdzięku, dowcip M. nie powodował już dawnego odbioru, młodzi niewiele o nim wiedzieli, wydawać się im mógł tylko odmieniec lub anachronicznym starcem. Nie pisał przecież, nie utrwalił w czymś trwałych śladów swej osobowości. Te salony i kawiarnie, konieczne jak powietrze dla zaistnienia jego swady i erudycji, przestały odgrywać rolę ośrodków życia artystycznego i intelek-

tualnego miasta. Pozostał jedynie kawiarniany stolik Antoniego Słonimskiego, tam zbierało się jeszcze szczupłe grono weteranów, profesor Lorentz, prastary mecenas Nagórski, kilku innych, zaglądał niekiedy Karol Estreicher z Krakowa, przyjeżdżali dawni bywalcy zza oceanów, żeby podziwiać świetne powiedzenia i dowcipy Słonimskiego czy rozkoszować się iście kawalerskimi szarżami wymowy M. I tę wysepkę zalała powódź czasu. Pozostały pogrzeby. M. starannie przestrzegał tego obyczaju ostatniego pożegnania bliskich. Lecz nigdy nie oblekał przy tej okazji bolesnej, uroczystej miny, był taki sam jak podczas szperania w papierach mego przyjaciela, pisarza W. Ceremonie pogrzebowe przypominały mu przeróżne epizody z życia zmarłych, ich uroki, przywary, talent, brak talentu, mądrość, głupotę. Nie popadał nigdy w patetyczną apoteozę cnót zmarłego. Mówił o tych odchodzących jako o ludziach ciągle żywych, obdarzonych blaskami i cieniami. Zanurzał się w przeszłość, wspominając siebie z nimi w różnych odsłonach. Nie oszczędzał także najbliższej rodziny. W jakim ostrym świetle przedstawił zmarłego kuzyna, wrócił do lat gimnazjalnych, wspólnych wakacji w ziemiańskim dworze, jakiejś sceny w parku, jadalni, panienki. Kuzyn zmartwychwstał jako bufon, obdarzony nikłą inteligencją.

Ubywało więc rówieśników i świat M. coraz bardziej koncentrował się w kręgu lektur i rozważań. Wzmoczoną intensywnością ducha rekompensował odchodzenie życia. Znaczną estymą cieszył się wśród malarzy. Szczególnie upodobał sobie wszelkie eksperymenty w plastyce. Im bardziej coś było wymyślne, tym większe pochwalne tyrady spływały z jego ust. Malarze słuchali go urzeczeni. Dla nich był arcykapłanem.

Przede wszystkim jednak pasjonowała go historia i literatura. Miał bardzo specyficzne kryteria ocen i nieraz trudno było nadążyć za jego myślą. Chwilami podejrzewałem go, że upaja się nadmiernie swoim kunsztem oratorskim, porzucając niefrasobliwie fundament. Fundamentem bywała zazwyczaj lektura przeczytanej powieści, rozprawy, inspirujące myśl mędrca lub spostrzeżenie wywodzące się z otaczającego świata. Wkrótce porzucał tę pierwszą nić i już snuł następną, pajęczym stylem tkął wiele takich nici tworząc trudną do rozplątania sieć.

Z czasem nauczyłem się umiejętności sterowania rozmową z moim przyjacielem M. Należało bezwarunkowo trzymać się pierwotnego tematu, surowo domagając się ścisłości, konkretów, faktów. Dopiero w fazie następnej pozwalać na uogólnienia i boczne dywagacje. Czuwać przy tym nieustannie nad skłonnością rozmówcy do dygresji, które rozgałęziając się łatwo mogą

spowodować porzucenie głównego nurtu. Operując tymi rygorami doznawałem prawdziwej rozkoszy umysłu i wyobraźni. Oczywiście potrzeba było długiego czasu, żebym tak biegle potrafił panować nad swym nietuzinkowym rozmówcą. Erudytą był niepokonanym i podejmował z łatwością każdy wątek. Otwierała się któraś z przepastnych szuflad jego pamięci i już zanurzałem się w kipiącą od wydarzeń atmosferę dwudziestolecia, Piłsudski, jego osobowość, cytaty z przemówień, mało znane fakty z biografii, ludzie z otoczenia Marszałka często znani mu osobiście, Tadeusz Hołówko, Leon Wasilewski, kpt. Boerner, bujny Wieniawa, świątek artystów, ten słynny stolik Witolda w Ziemiańskiej, jego miny, gry, zonglerka słowem (w niedokończonej sztuce Gombrowicza M. występuje jako jedna z postaci scenicznych), młody Uniłowski, tajemniczy Choromański, Berent, mało znany fakt: sklep z przyrządami fizycznymi dla szkół był własnością pisarza, salony arystokracji, dzieciństwo i młodość M., postacie z ubiegłego wieku, które jeszcze widział, o których słyszał od ojca, dziada. Płynnie przenosimy się w wiek XIX, czas po powstaniu styczniowym, Kronenberg, Bloch, królowie kolei i działacze gospodarczy, M. ceni prace naukowe Blocha o kolejach i finansach Rosji, także to jego wielkie dzieło o wojnie przyszłości, architektura tamtego czasu, car wznosi na terenie Kongresówki forty, opasuje kraj czerwonymi murami twierdz i kazamatów, fortuna rodu Eigerów rozpoczęła się od cementu niezbędnego do budowy tych fortyfikacji, wraz z Eigerami wędrujemy z powrotem w dwudziestolecie, biura Eigerów na Kredytowej, piękna pani Diana, jej dzieci, Stefan Napierski, literacki pseudonim Marka Eigera, poety, tłumacza i wydawcy, jego dziwaczne życie, ciągle zmieniał mieszkania, coś go gnało, zaskakująca interpretacja tego wędrownego życia młodego bogacza, zwykłą koleją homoseksualnego pociągu wdawał się w rozmaite afery i musiał zmieniać mieszkania, porachunki, szantaże, piętno zbrodni i ciężar jakiś sekretny, takiego zapamiętał młodego Eigera, brzydki, dodał, do urody przywiązywał znaczenie; następuje krótka wzmianka o siostrze poety, od najmłodszych lat zaangażowanej w ruch komunistycznym, więzionej kilkakrotnie za działalność w KPP, żyjącej jeszcze do niedawna, w ostatnich latach była aktywistką turystyki pieszej, przewodniczką P.T.T.K., pomysł!, wołał M., ta ostatnia z rodu Eigerów tak gnała niezmordowanie po lasach wokół miasta, oprowadzała dzieci z prowincji po Wilanowie, coś ich gnało, uogólniał losy rodzeństwa... Meandrem osobliwym i trudnym do odtworzenia w piśmie cofnął się ponownie do schyłku XIX wieku: jego dziad Wiktor był znanym w tamtym czasie sędzią śledczym, posiadał renomę wybitnego prawnika, wstawionego rozwikłaniem kilku skomplikowa-

nych afer i zbrodni; zarazem publicystą *Warszawskiej Gazety Sądowej i Penitencjarnej*, w latach bezwzględnej rusyfikacji jedy-
nym sędzią Polakiem używającym ostentacyjnie języka ojczystego
(do kolegów Moskali zwracał się tylko po francusku), był więc
solą w oku dla zaborców, w związku z tym postawiony wobec
wyboru posady w głębi imperium lub przejścia w stan spoczynku,
wybrał to drugie i podał się do dymisji, resztę życia poświęcił
działalności patriotycznej w Warszawskim Towarzystwie Dobro-
czynności, gdzie pod niewinnym szyldem ochronek dla dzieci roz-
wijają nauczanie w języku polskim. Tym razem zatrzymałem M.
na tym rodzinnym trakcie, bacząc pilnie, żeby nie uczynił żadnego
uskołu, pragnąłem bowiem dowiedzieć się czegoś więcej o dzie-
jach jego rodziny. Tej starej zasłużonej rodziny wywodzącej swe
pochodzenie niemieckie z Brzegu nad Odrą, która z Sasami przy-
była do Polski, byli medykami królewskimi, sprawowali również
ten zawód na dworze Stanisława Augusta, jednak nie podążyli
wraz z królem do Petersburga, byli gorącymi patriotami i zapisali
się chlubnie w dziejach polskiej inteligencji. Tu należy wspom-
nieć znaną z monografii Szymona Askenazego o Łukasieńskim syl-
wetkę młodego Ludwika, studenta medycyny, syna lekarza z Łę-
czycy, założyciela w 1817 roku patriotycznego stowarzyszenia
młodzieży *Panta Koina* czyli *Wszechspólność*, notowanego w taj-
nych raportach agentów rosyjskich, między innymi przez osła-
wionego Macrotte młodszego. Tak trzymając się wątku rodzi-
nego (M. nigdy nie epatował swym rodowodem, bardzo skromny
i mało mówny w tej materii) dowiedziałem się o braciach Ludwi-
ka; Ernest z miłości odebrał sobie życie, wyskoczył z łódki na
oczach swej wybranki i utonął, Alfons ukończył szkołę politech-
niczną w Liège i na zew powstania 1863 roku przybył do kraju,
zginął w pierwszej potyczce partii Mierosławskiego, 26 ran cięż-
kich i kłutych, Sylwiusz był tym ostatnim, który przedłużył ród.
Poznałem wreszcie malowniczą postać przodka ze strony matki,
powstańca z 1863 roku, który dożył sędziwych lat i małeńkiemu
M. (też niewiarygodne, małeńki M.!) opowiadał o leśnych bojach
z Kozakami (może stąd narodził się pomysł pamiętnej wystawy
w muzeum literatury?), o zesłańcach na Sybir i ich powrotach
do kraju. Już sam ogarnięty przez przeszłość wspomina M. swego
ojca, cieszącego się wysoką pozycją w kręgach obywatelskich
Warszawy, swoim zwyczajem antybrązownika wystrzega się pato-
su i powagi, opowiada o młodzieńczej przyjaźni dziada Wiktora
z Samuelem Dicksteinem, późniejszym wybitnym matematykiem
i profesorem UW, która przetrwała dotąd w tradycji rodziny
pewnym wymownym porzekadłem, po śmierci Sylwiusza, ojca
Wiktora, Samuel Dickstein jak na przyjaciela przystało podszedł

doń, uściśnął mu prawicę i powiedział ze współczuciem: — Boleję nad waszą stratą; — odtąd już zwyczajowo tak się ustaliło w rodzinie M., iż w chwilach nudnego milczenia lub ciężkiej jakiejś atmosfery, ojciec dla rozładowania tego nastroju powiadał z żalobną powagą: — Boleję nad waszą stratą, Samuel Dickstein na to! — Wszyscy wybuchali śmiechem. Stąd można wyciągnąć wniosek o osobliwym poczuciu humoru cechującym niejako genetycznie M.

Ten dawno umarły czas w opowieściach M. pulsuje życiem, nasycony barwną anegdotą, lekki i żartobliwy w przekazie; M. bowiem wystrzega się starannie patosu, konsekwentny w odróżnianiu przeszłości. Sam już wciągnięty w pułapkę genealogii, przechodzi do problematyki masonskiej; był wtedy licealistą i zewsząd docierały doń wiadomości o członkostwie ojca w loży masonskiej. Masoneria kojarzyła mu się wówczas z tajemnym rytuałem, fartuszki i kielnie, zaklęcia i formuły, spotkania w katakumbach zgoła, tymczasem obserwował spokojny tryb życia ojca: wracał z biura, jadł obiad, ucinał drzemkę, pracował w swoim gabinecie, raz w tygodniu karty w gronie przyjaciół, nic szczególnego nie potrafił zauważyć. Mimo tego unormowanego toku zajęć i domatorskich upodobań, otaczała ojca ta tajemnicza, masonska aura. Aż wreszcie rozmawiając z pewnym znajomym ojca, który traktował go zazwyczaj po partnersku, zadał to tak pobudzające jego wyobraźnię pytanie. Odpowiedź była właściwie pytaniem. — Czy ojciec telefonuje czasem do doktora Kołodziejskiego? — Przytaknął.

— Czy odwiedzają się nawzajem?

Również przytaknął.

— Oto masz odpowiedź, młodzieńcze.

Zagadka została wyjaśniona w sposób nader prosty. Należy bowiem wiedzieć, że dr Kołodziejski, dyrektor biblioteki sejmowej, był wraz z Andrzejem Strugiem i Stanisławem Stempowskim w czołówce koryfeuszy polskiej masonerii. Na dobre już obracamy się w tym frapującym kręgu łóż wolnomularskich, M. równie lekko i poufale cofa się w pierwsze lata po Kongresie Wiedeńskim, jesteśmy w nowopowstałym Królestwie Polskim, gdzie „zamrożone i uśpione” dotąd loże zaczynają ożywioną działalność. Następuje bujny rozwój wolnomularstwa na Litwie, tam ważną rolę odgrywa Ludwik Plater, wznowione zostają dwie dawne loże, Jedności Doskonałej w Wilnie i Tajemnicy Doskonałej w Dubnie, powstają loże lokalne podporządkowane tym dwóm, takie jak Gorliwy Litwin, Dobry Pasterz, Szkoła Sokratesa, Orzeł Słowiański, Zorza Wędrowną, Polak Dobroczynny. Wśród członków znajdowały się nazwiska wybitnych obywateli, Romerów,

Olizarów, Chodzków, Puzynów, Ogińskich, Lubeckich. Wtedy to Asterea Północy, loża w Petersburgu, zwróciła się z wezwaniem do oddania się pod jej opiekę i przystąpienia do Wielkiego Wschodu rosyjskiego, proponując dogodne warunki i przywileje autonomiczne. Jednak Ludwik Plater odrzucił tę ofertę i zwrócił się do Warszawy z gotowością nawiązania stosunków z tamtejszym Wschodem. Gęsto od historycznych nazwisk i skomplikowanej procedury i powiązań strukturalnych wolnomularstwa różnych obediencji, Kapituła Najwyższa, Wielki Warsztat, loże podległe, mistrzowie: Stanisław Potocki, Mokronowski, Moszyński, generał Roźniecki, plugawiec i sprzedawczyk też był masonem wysokiego szczebla. Posiada M. dar zbliżania dalekiej historii, stwarza prywatną bliskość i naprawdę ogarnia tę przeszłość, bierze w swoje władanie; toteż chwilami i ja czuję się jej aktywnym uczestnikiem, konflikty, intrygi z tamtego wieku, wielkość i małość, jesteśmy na uroczystym posiedzeniu cieszącej się wysokim uznaniem loży Tarcza Północna, gdzie zasiadali ludzie zacni i obdarzeni powszechnym szacunkiem, pułkownik Prądyński, Sołtyk, Jabłonowski, aktor Żółkowski, księgarz Glücksberg, kupcy Eisenbaum i Kronenberg, w tej wspólnocie nie istniały uprzedzenia i bariery; stąd już tak blisko do Wolnomularstwa Narodowego i majora 4 pułku piechoty, Waleriana Łukasińskiego oraz tego listu-testamentu półobłąkanego starca, pisanego po latach pobytu w Szlisselburgu, gdzie dawno nieużywana polszczyzna miesza się z rosyjskim, francuskim. M. z niespodziewaną brawurą człowieka obcującego za pan brat z historią porzuca tamten czas i wraca wielkim skokiem do okupowanej przez Hitlera Warszawy, przypomina dramatyczną śmierć Hipolita Gliwica, jednego z twórców Lewiatana, który wezwany przez gestapo na Szucha (był Żydem) zażył cyjanek nie zdając sobie sprawy, że wpływowi masoni wstawili się za nim, wyszedł stamtąd cało, ale cyjanek uczynił swoje. Poświęca chwilę refleksji postawie masonów, która według jego skrótu polegała na wywieraniu łagodzącego wpływu na namiętności i antagonizmy, ratowaniu w złych czasach tego co się da uratować; odpowiadała mu właściwie ta formuła i mówiąc o ostatnich masonach dożywających swoich dni w totalitaryzmie, obdarzył ich uznaniem i szacunkiem dla ich wytrwałości.

I jak to z reguły bywało przy wskrzeszonym przez M. kalejdoskopie wydarzeń, zanurzwszy się w wesołej niefrasobliwej Warszawie lat międzywojennych, uroda kobiet, powiada ten koneser, odmienna od współczesnej, nieduże, korpułentne dominowały jako typ, mała kobietko czy wiesz..., pięknnością niepospolitą i bardzo dzisiejszą można śmiało nazwać żonę Wojciecha Stpicyńskiego, publicysty bliskiego Marszałkowi, opisuje jej smu-

kłe kształty, wdzięk, strój, ona żyje dotąd i ma córkę, ta jej nienawidzi, za co?, za urodę oczywiście, tej klasy urodą obdarzona była jeszcze Carlotta Bologna, może córka rabina Schorra, budzi się w nim uwodziciel i lew salonów, wędrujemy po balach Re-sursy Obywatelskiej, I.P.S.-u, pałacach Wertheimów, Lilpopów i Sobańskich, ta pamiętna premiera złej sztuki głośnego pisarza i niespodziewane jej zakończenie, kiedy to autorce kłaniającej się publiczności wyskoczyły cycki z dekoltu, burza oklasków, a było co oklaskiwać, stwierdza M., dawno zapomniane skandale, romanse, plotki.

Natłok wydarzeń, ten wiek, tamten, kaliber spraw zróżnicowany niebywale, od koloru koszuli, kroju smokinga i spinki w krawacie do dramatu Walerego Sławka, zakończonego samobójczą śmiercią; wszystko to wypełnia nasz nieduży pokój w typowym budownictwie lat 60-tych.

Nienaruszoną miłością M. pozostała Warszawa, jej domy, parki, pałace, malownicze zakątki, opowieści rodziców o utrapionej rzece Żurawce, która płynęła błotnistą strugą do Książęcej, zapamiętane z dzieciństwa drewniane dworki z gankami na bocznych ulicach od Marszałkowskiej, istniejące i nieistniejące ma równe prawo w jego pamięci, pusty plac Teatralny wypełnia mu się od razu: tu ratusz, tam kościół Kanoniczek, te Kanoniczki, panny z rodowodem od pokoleń, raczej brzydkie, do dobrego tonu należało brać ślub u Kanoniczek, podążamy za rogatki przy placu Unii, wyścigi na polu Mokotowskim, obstawimy jakiegoś rumaka, może zdobędziemy wielką nagrodę, najlepiej postawić na „fuksa”.

Ciągle w tym obcym, od nowa zbudowanym mieście potrafi odkryć sekretne zakątki, pojedyncze drzewo (przyroda zajmuje go tylko w kontekście miasta, nigdy nie potraktował jej samostannie), stary pałacyk schowany wśród bloków, od razu kojarzy te pozostałości z dawnym obrazem miasta, wyczarowuje przeszłość ze skąpych zaledwie okruców.

Ogrody Frascati, ta skarpa na tyłach Wiejskiej (wracaliśmy wtedy z kawiarni Czytelnika) wydobyła natychmiast z jego pamięci dom państwa Balińskich, rodziców ostatniego żyjącego skamandryty, opowiadał jak to w wojnę podczas bombardowania Londynu poeta schodził nieśpiesznie na dół do schronu, zabierając ze sobą jedynie niewielki, skórzany woreczek zawieszony na piersi, wybucha swoim potężnym śmiechem płosząc spacerującą z pieskiem staruszkę, w tym woreczku Staś Baliński trzymał swoje diamenty, cały majątek zamienił na kamienie! (skąd o tym wie, przecież nie był z nim w Londynie, słyszał, wymyślił, nie-

ważne!); zaraz recytuje wiersz poety „Powrót do Isphahanu”, rytmiczny, nastrojowy, jakby nasycony wonnościami wschodu, rozkoszuje się tym utworem, widzi w nim obrazy seraju pełnego słodkich hurys, karawan, pustynnych miraży — tęsknotę za czymś dalekim, nieosiągalnym.

M. jest nielada mistrzem portretu, potrafi to uczynić kilkoma słowami jak malarz-portrecista kreśli podobiznę posłusznym mu węglem czy pędzlem, zajmuje się zarówno cechami fizycznymi jak też osobowością portretowanej osoby. Takimi słowami wskrzesił posagową piękność Stefanii Sempołowskiej, patronki więźniów politycznych, zaczynając od roku 20, kiedy to następowała wymiana jeńców z dwóch stron, z naszej strony pani Stefania, z drugiej zaś Nadzieja Krupska, jako chłopiec zobaczył ją po raz pierwszy; został uderzony jej urodą, nieruchoma, blada twarz, krucze, granatowe włosy, czarny, żałobny strój, w dwudziestoleciu krążyła legenda o jej wielkim dramacie miłosnym, komuś kogo straciła pozostała wierną do końca życia.

— Junona — zakończył — wyglądała jak wykuta z marmuru.

Już ubierając się do wyjścia, wskrzesił jeszcze inną wybitną kobietę tamtych czasów, Werę Koszutską, również bardzo urodziwą, działaczkę K.P.P., wywodzącą się z ziemiaństwa.

— Mówiono o niej, że od początku miała usposobienie sawantki i lubiła bulwersować... Kiedy znajdowała się na pensji i powóz podwoził ją pod dwór, to ona zawsze wyskakiwała w biegu!

W sztuce portretu rozpiętość palety miał szeroką. Zajmował się także przedstawicielami współczesnej elity rządzącej, właściwie zupełnie mu obcej. Muszę powrócić jeszcze do mieszkania M. Jak zostało powiedziane wyżej, otrzymał kawalerkę w rządowym domu, wzniesionym w przyjemnej dzielnicy, gdzie przedwojenne budownictwo, estetyczne i funkcjonalne, doskonale harmonizowało z nowymi budynkami lat 60-tych pośród zieleni w pobliżu starego parku. Mieszkając tam miewał przelotne spotkania z osobistościami zamieszkującymi ten dom. Oni, ci dygnitarze zapewne też zwrócili uwagę na nowego lokatora. Pojawił się wśród nich osobliwy, staroświecki pan, ubrany biednie, jednak w zachowaniu i postawie arystokratyczny, bardzo odbiegający od przeciętności. Wymieniał z nimi ukłony (jego ukłony to cała rafinada wykwintu i pantomimy), wspólnie korzystał z windy, wdawał się w zdawkowe rozmowy z powodu popsutej lampy nad drzwiami wyjściowymi i zapchanego zsypu. Nawet jeden z nich podwiózł go swoim służbowym autem, zwracając się do niego per panie profesorze!

Z tych drobnych spotkań wyniósł wiele równie drobnych

spostrzeżeń opatrując je własnym komentarzem, intuicją. Miał z tego tworzywa serię portretowych miniatur. Późnym wieczorem oczekiwał na windę z malutkiego wzrostu mężczyzną znanym szaremu obywatelowi z gazet i telewizji, dostojnikiem pierwszej kategorii. Długo trwał spór, kto z nich ma wejść pierwszy. No i pojechali. Winda szwankowała.

— Coraz gorzej funkcjonuje — zauważył M.

— Chociaż jeździ — tamten z fatalizmem człowieka przygotowanego na najgorsze. Uśmiechnął się wstydliwie. Podczas jazdy starannie unikał wzroku swego towarzysza podróży.

M. przechodzi do uogólnień. Wywodzi regułę z widocznej niechęci tych ludzi z wyżyn do bezpośrednich kontaktów z nieznanym dla nich żywiołem czyli społeczeństwem. Korzystając z innych dostępnych mu obserwacji wnioskował o złych stosunkach rodzinnych w tej sferze. Jedną z córek dygnitarza spotkanego przy windzie zobaczył zapłakaną. Trzaskając drzwiami wyszła z mieszkania. Dyskretnie odwrócił głowę. Ona zaś chciała z nim porozmawiać. Z jedynym neutralnym mieszkańcem tego domu. Nieładna, bardzo mała.

— Proszę się nie przejmować — powiedział ogólnie. Wybuchnęła jeszcze głośniejszym płaczem i zbiegła po schodach. Nigdy nie zauważył jej w aucie ojca. Ostentacyjnie podkreślała swą skromną osobność. M. widział w tym dramat wrażliwej młodej uczciwości reagującej z całą ostrością widzenia w zetknięciu ze światem nieczystym, wynaturzonym. Przewidywał już miejsce tej dziewczyny po stronie opozycji.

Z drugim równie wybitnym przedstawicielem władzy zetknął się przed zamkniętymi drzwiami domu o nocnej porze. Tamten wzdychał ciężko. Natarczywie wzdychał. Tym wymownym wzdychaniem wyrażał wiele, ciężar swych obowiązków, rozterki moralne, niewiarę w skuteczność swego działania itp. Był podпиты. Szukał ludzkiej więzi z M.

M. kończy tę scenę tak: — Zacząłem również wzdychać. Z tych studiów domowych wysnuł wniosek o strachu dominującym w życiu wpływowych jego mieszkańców. Jego zdaniem strach obejmował wzajemne stosunki, nietrwałość własnej pozycji, nieufność wobec społeczeństwa oraz obawy przed czymś niechętnie artykułowanym, nigdy głośno nie wypowiedzanym.

To niewyraźalne M. nazywał ciśnieniem siły wyższej czyniącej z nich małych i bezwolnych wykonawców. Powyższe uogólnienie nasunęła mu krótka wymiana zdań z dygnitarzem małego wzrostu podczas dżdżystego i ponurego dnia. Spotkali się w hallu i M. rzucił banalną uwagę o wyjątkowo podłej pogodzie.

— A jakby tak inwazja mrozów? — zapytał mały. Zawiesił

głos, posmutniał. Wtedy M. przypomniał sobie clowna z dzieciństwa. Zobaczył go w cyrku za kulisami. Taki sam smutek i udręka malowały się na tej twarzy. Drobiazgowo analizował zachowanie dygnitarza. Sięgnął do utajonych skojarzeń, wywodzących się z podświadomości, złych doświadczeń i pełnego lęku oczekiwania, którym dygnitarz nasycił swój głos.

— Sybir! — brzmiała konkluzja M. — Sybir jednych ujarzmiął, innych czynił niezłomnymi! (Wiadomo o kim myślał. O Marszałku!) Rządzą nami ci pierwsi przecież!

Motorem strachu uzasadnił zachowanie swego sąsiada — na piętze wyżej, emeryta, niegdyś trzeciego w hierarchii partyjnej tuza. Zakładał M. kraty w swoim oknie. W związku z epidemią kradzieży od dawna już radzono mu to zabezpieczenie. W sprawę wkroczył sąsiad z góry. Oponował zaciekle, gdyż widział w tym prostą drogę do swojego mieszkania.

— Jak po drabinie — powtarzał.

W jego gwałtownym proteście odślaniała się mania strachu wcale nie przed pospolitymi złodziejami; zapewne prześladują go upiory przeszłości, ciężar nadmiernie obciążonego sumienia.

Podał kilka charakterystycznych cech fizycznych wymienionej osoby.

— Długi tułów, krótkie nogi, niesłychanie mocne uderzenie piętą!

W pierwszej chwili nie pojąłem należycie tego opisu. Wstał i zademonstrował ów nietypowy chód. Była obawa, że uczulona na hałasy sąsiadka z dołu zacznie walić szczotką w sufit.

I tak przybijając karykaturalnie piętą cieszył się ten Diogenes naszego życia. Czuł się wolny, swobodny, szczególnie w kontraście do mieszkańców rządowego domu.

Emerytowany dygnitarz, nazwany przez nas „Piętą”, najczęściej kontaktuje się z M. Na przykład dopytywał się, czy ten długi konar lipy z ulicy nie zasłania mu widoku. Może przecież nakazać, żeby ścięli.

— Jeżeli tak... popatrzyl wyczekujaco.

M. gwałtownie zaprzeczył.

— Piękne drzewo!

Również namawiał go, żeby przyłączył się do społecznej inicjatywy założenia domofonów przy drzwiach wejściowych. Chciał w ten sposób zabezpieczyć dom, podejrzewa bowiem wartowników pilnujących spokoju tej rządowej ulicy o nierząd z prostytutkami na klatce schodowej.

— Choroba utraconej władzy — kwituje M. inicjatywy Pięty.

Tę serię portretów o sąsiadach traktował jedynie jako igraszki

w czasie pauzy, mogły to być przerywniki w trakcie wywodu o encyklice papieskiej *Redemptor homini* czy tej drugiej o pracy, które analizował z odkrywczością tylko jemu właściwą, wydobywając z nich ważne treści dla polemiki, nawet jak powiedział, totalnego unicestwienia tak zubożałej w ostatnich latach filozofii materialistycznej. Tego panującego u nas światopoglądu M. nie cenił zdecydowanie i wykazywał jego jałowość, skostnienie, ubóstwo i bezsilność wobec bogactwa problematyki ludzkiej. Rozprawił z zapałem o fenomenologii Husserla i Ingardena. Nasz kraj wydawał mu się jałową glebą dla mędrców. Doraźne sprawy przeszkadzają w podjęciu trudu prawdziwego filozofowania. Franc Fiszer miał wspaniałe zadatki, zgubiło go lenistwo i upodobanie do gastronomii, rozmienił się na drobne. Surowo odsądzał od miana filozofa Tatarkiewicza, zaliczając go jedynie do grona historyków, popularyzatorów. Ta ocena wynikała przy lekturze notatek do autobiografii sędziwego profesora.

— Nuda, płycizna, banalność, przeciętność, przypadek! — zapalał się coraz bardziej. — I co na starość najbardziej lubił? Czemu tyle miejsca poświęca w opisie swego życia? Podróże, wycieczki, zaproszenia na kongresy, wykłady! I jakie stamtąd przywoził wrażenia? Banalne, sztampowe jak ci co Orbisem podróżują w świat! — Oddawał mu sprawiedliwość jako historykowi sztuki. Monografia Łazienek, rzeźby z czarnego marmuru, lubelski typ kościołów. Zatrzymał się nad pewną osobliwością przedwojennego ogrodu Krasińskich, której chyba nikt ze współczesnych znawców miasta nie zanotował. Staw w ogrodzie usytuowany był nieco niżej od pałacu i w jego taflę mimo odległości bez mała stu metrów odbijał się pałac, szczególnie w słoneczny dzień malowniczo kładł się na wodę. Po wojnie teren zniwelowano i nawet mglistych konturów pałacu nie uświadczysz na wodzie. Ta ciekawostka jak nitka z kłębka rozwinęła dłuższą rozprawę o Warszawie na kanwie książki Stanisława Herbsta „Ulica Marszałkowska”. Swego rodzinnego miasta wiernym był entuzjastą. Innym grodom, choćby tak znacznym i bogatszym w przeszłość jak Wilno i Lwów, nie poświęcał nigdy zbyt wiele uwagi. Reprezentował sobą klasyczny typ warszawianina, przypuszczając należy, że przed wojną wojaże po kraju nie stanowiły jego potrzeby, raczej prosto z Warszawy ruszał tradycyjnym szlakiem do Paryża. Od Herbsta dotarliśmy do Aleksandra Kraushara, pisującego kiedyś wiele przyczynków do dziejów stolicy; widywał go M. w swoim dzieciństwie jako dostojnego starca w stroju z powstania styczniowego, powolnie krocącego ulicą w towarzystwie córki. Od córki Zuzanny, żony znanego publicysty i redaktora gazety endeckiej Władysława Rabskiego, naturalną drogą skoja-

rzeń przysłała kolej na endeków. Czułem w nim silną niechęć dla zwolenników tej orientacji politycznej. Nie znosił wszelkich znamion obskurantyzmu, szowinizmu, nienawiści, całego zaślepienia, które pod koniec II Rzeczypospolitej zaczęło przybierać charakter brutalnych pogromów, owego haniebnego *numerus clausus* itp. Poważniał, jego sąd brzmiał jednoznacznie i surowo, pozbawiony zwykłej migotliwości. Ucieleśniał najlepszy typ przedstawiciela polskiej inteligencji, demokratycznej i tolerancyjnej w swej istocie. Sam wywodząc się w dodatku z obcej nacji nie mógł pojąć tego zgubnego dążenia do ubóstwa narodowego, jakim jest tak zwana czystość rasowa czy etniczna. Nie tylko poważniał, wyraźne przygnębienie pobrzmiewało w jego głosie, oczy traciły figlarność starego kpiarza. Przyczyną nagłego smutku musiało być przywołane wspomnienie dawnej, kipiącej różnorodnością Warszawy, całej Polski wreszcie. Brutalnym dysonansem dawała znać terażniejszość. Ale słabością, nie w jego stylu, jest uleganie dłużej nostalgii czy przesyconemu goryczą przygnębieniu. Wyrzucał z którejsz ze swoich rozlicznych skrytek pamięci rozmowę z Marianem Porwitem, autorem monumentalnej historii militarnego przebiegu kampanii wrześniowej. Rozpocynał wnikliwą charakterystykę sztabowców i dowódców związków taktycznych, grup operacyjnych, korpusów i dywizji. Jego szkło powiększające zatrzymało się na Rydzu-Śmigłym, zacytował sztabową opinię o nim z dokumentów G.I.S.Z.-u, w jego mniemaniu napisaną przez Marszałka (cechy stylu świadczą o tym niezbitcie) z myślą o sukcesji, poddał także ocenie sukcesy Rydza w kampanii '20 roku; wyobraźnię M. szczególnie pobudzał powrót Rydza do kraju z Rumunii, krótki pobyt w Warszawie, choroba i zgon oraz ten krzyż żołnierski brzoźowy, ozdobiony ciągle świeżymi kwiatami na komunalnym cmentarzu powązkowskim. I już rozhasał się jak zagończyk na Dzikich Polach. Z nagła Kościuszkę. Nie darzył sympatią naszego bohatera narodowego. Chwiejny, rozmazany, pozbawiony zdecydowanej indywidualności.

— Przecież wcale jako osobowość nie zaznaczony! Bezkrwisty! Mgławica — rzekł.

Wątpił w jego talenty wojenne. Może tylko w dziedzinie fortyfikacji. Tym się założył w Ameryce.

— I taki nos! — Krzywił się z niesmakiem estety. — Czy człowiek z takim krótkim, zadartym nosem może być prawdziwym mężczyzną?

Miał za złe Naczelnikowi późniejsze życie na uboczu wydarzeń, które wstrząsnęły Europą, znowu stawiając na pierwszy plan sprawę polską.

— Boży człowiek z Solury! — Kpił niemiłosiernie. — Ptaszki i roślinki!

Biorąc na tapetę kampanię powstańczą też nie widział w niej uzasadnienia dla wysokiej rangi Kościuszki jako dowódcy. Ganił apologetyczną ocenę Tadeusza Korzона, podzielał zaś pogląd chłodnego wobec Naczelnika Adama Skałkowskiego. Często powracał do swych ulubionych generałów, Bema, Prądzyńskiego i Chrzanowskiego, pamiętał doskonale plany walk pod Iganiami, Wawrem i Dębem Wielkim. Przejawiała się w tym wyraźna predyspozycja do sztuki wojennej, twórczości koncepcyjnej, pracy sztabowej. Z jakim znanstwem stratega udowadniał podstawową zależność od Wschodu, polegającą na gwarancji zabezpieczenia dróg, komunikacji, transportu i baz militarnych na terytorium naszego kraju.

— W tym tkwi sedno — wywodził i palcem ciągnął po stole szlaki strategiczne prowadzące do serca Europy.

Może to jakieś niespełnione jego marzenia? Sztabowiec M. pułkownik, generał! Ta myśl przelotnie w zestawieniu z nim leżącym akurat na tapczanie w pozie powyginanej, z kształtu podobnym do jakiegoś człowieka z gutaperki, skojarzyła mi się z teatrem Witkacego. Sztabowiec ze sztuk Witkacego! Przyjął to porównanie bez urazy. Sam w swoim błazeństwie, wieloznaczności i tej niezmordowanej, bulgoczącej jak wrzątek swadzie, przypominał tamtego czarodzieja spod Giewontu. Często rozmawialiśmy o literaturze. Właściwie jego historyczne wywody też były literaturą, fakt stanowił jedynie punkt wyjścia dla swobodnego rozwijania wokół niego wzorzystej osnowy. M. na pewno nie znosił, pogardzał wręcz literaturą przyziemną, kopiującą mozolnie rzeczywistość. W sztuce słowa pisanego uwielbiał magiczną siłę kreacji, im wyżej się wzbijała, im bardziej impetycznie wyzwalała się z rzeczywistości, stając się suwerenną strefą, gdzie jak w wirówce odbywało się nieustanne żonglowanie regułami, prawdami, całą materią — tym bliższa stawała się dla M. Wychwalał absurd, groteskę, drwinę. Sam w swoich dytyrambach piętrzących się jak niebotyczne budowle (choć rozpoczął zwykle skromnie na fundamencie poematu, powieści, traktatu, eseju czy całej twórczości jakiegoś pisarza, malarza, myśliciela) wnet jednak zaczynał tworzyć własną kreację, oryginalne dokonanie twórcze; powoli i niezauważalnie oddalając się od powodu tej niepomówianej eksplozji wyobraźni i inwencji.

Bywałem urzeczony i płynąłem na tych falach gdzieś w bezkres, wydawał mi się M. śmiałym odkrywcą na miarę Joyce'a, jednym z prekursorów wytyczających ścieżki w nieznanym. Moja

własna literatura w takich chwilach wydawała się marnym, pełzającym po ziemi robakiem. Co z nią uczynić, jak ją poderwać do lotu? Oto mój mistrz tak swobodnie, bez żadnego wysiłku otwiera nieznanne obszary, przekracza tyle bram, może śmiało mierzyć się z największymi demiurgami literackiej wizji. Jak to moje pisanie uczynić wielobarwnym, czarodziejskim dywanem?

Tymczasem przychodził czas rozstania. M. odchodził zawsze punktualnie o 10.30 ze względu na ostatni, dzienny autobus, był to już reżim starczego wieku, skończyły się już niepowrotnie te dawne posiedzenia do świtu, czas ostatnich serdeczności, postuluje laską, jego głos wypełnia klatkę schodową dudniącym echem. Pozostawałem sam, jeszcze w tej odurzającej aurze jego niedawnej obecności, nadal jego głos dźwięczał w uszach, obrazy wypełniały wyobraźnię, nadal znajdowałem się w wyczarowanym przez niego świecie. Czar monologu jednak przygasał, tracił swą moc, blakły tęcze kolory, rozpraszały się i znikały te potężne, sugestywne wizje. Pozostawały jednak poszczególne słowa, zdania, okruciny obrazów, całe partie jego wywodów, nadal jarzyły się dawnym blaskiem, żłobiły wyobraźnię, dostarczały trwałej pożywki. Tak dokładnie pamiętam opis programu artystycznego zorganizowanego przez ojca M. dla więźniów. Ojciec jego miał urzędowy nadzór nad więziennictwem i był twórcą warsztatów pracy dla ludzi pozbawionych wolności. Więc odbyć się miał koncert poezji i muzyki, Tuwim, Jaracz, pianista, ponura sala, ludzie w szarych strojach. Przed występem ojciec M. poinformował artystów ile w tej sali zgromadzonych jest setek, może tysięcy lat więzienia. Ich miny i jak to M. opowiadał!...

Albo pochwała poezji Zuzanny Ginczanki, kiedy to mówił o kunsztownych metaforach jej wierszy, w których tyle powiedziała o sobie, o jej testamencie poetyckim, „... łaki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych”, o jej urodzie, jak każda prawdziwa piękność była ciągle inna, szyja i ramiona jak amfora, Gini — rym do bogini, mówił o niej Witold Gombrowicz, o jej tragicznym losie istoty zaszczutej i tropionej za swe pochodzenie podczas okupacji i jej śmierci wreszcie w 1944 roku w Krakowie, obcować z taką poezją to jest egzystencja właśnie! — powtarzał; to prawda, jego egzystencja zaistniała wtedy dzięki przywołanej z zaświatów poetce.

I jeszcze tyle strzępów, okruchów, fragmentów z tych miesięcy, lat spotkań i rozmów; o jakimś pisarzu — „żył w tłoku pederastycznym”, o stosunku Iwaszkiewicz — Gombrowicz, gdzieś na przyjęciu Iwaszkiewicz powiada: — Witamy Gombrowicza! A on na to: — Nie witamy Iwaszkiewicza! O rytmie życia i wtedy o szkole jeździectwa, która długi czas polegała na

jeździe wbrew zwierzęciu, ściąganie wędzideł, munsztuków, zmuszanie konia do ruchów przeciwnych jego naturze, dopiero pewien włoski kapitan; o dziwnym dębnie co rośnie w podwórzu — studni, podwórzu — rurze, jak powiedział, kamienicy w Alejach Ujazdowskich, dębnie o pniu tak cienkim i wiotkim bujną koroną wyrastającym w górze; o myślących twarzach przedwojennych generałów, tych co to w swych początkach z gimnazjów i uniwersytetów podążyli do Legionów; i o tym jak zanikała dolna szczęka generała Sosnkowskiego z powodu trudności w podejmowaniu decyzji; o zaściankowości przedwojennej naszej literatury i czy Nałkowska mogła sobie zdawać sprawę z odkrywczości i wielkości Gombrowicza, Schulza; o trzech wersjach popiersia Voltaire'a zrobionych przez pewnego rzeźbiarza dla Komedii Francuskiej.

Tyle myśli błyszczących jak pięknie szlifowane kamienie jego słów, powiedzeń. Przypominam sobie jego wnikliwe spostrzeżenie o istocie twórczości Gombrowicza. Wyraził się mniej więcej tak: stworzył model człowieka pełnego własnych, niepowtarzalnych cech, uczynił ze swego Ja boga wszechświata. To wielkie osiągnięcie przeciw totalizmowi, unifikacji.

Nie wszystko więc było ulotne i doraźne, istniała jeszcze jakaś niezniszczalna trwałość, wartość, ślad. Może to zaowocuje nieoczekiwanie w moim pisaniu? Byłem wdzięczny losowi, przypadkowi, obojętne jak to nazwać, za tę darowaną przyjaźń. W naszych nienajlepszych czasach, żyjąc wśród setek, tysięcy podobnych do siebie ludzi, znękanych i uwikłanych w przykrą codzienność — zdarzyła mi się ta jedyna, niepowtarzalna szansa — zażyłość z M. właśnie.

Miewał M. „jasnowidzenia”. Biorę to słowo celowo w cudzysłów, gdyż mogą to być przecież dalekosiężne wyprzedzające terażniejszość prognozy, typowe dla trudno uchwytnych skoków jego rozumowania. Wypowiadał swoje objawienia w sposób kategoriyczny, logiczne uzasadnienie było co najmniej dziwaczne, często przeto mogło się wydawać jakimś żartem tego wiecznego poszukiwacza wymyślności, dziwaczności i wieloznaczności w dziejach ludzi i świata.

Jednak w dwóch głośnych przypadkach przewidział właściwe rozwiązanie jakby wiedziony niezwykłym darem wybiegania w przyszłość.

W pierwszym dniu pamiętnego konklawe kardynałów w Rzymie powiedział z niezachwianą pewnością: — Papieżem zostanie Wojtyła!

Przyjąłem to stwierdzenie dosyć obojętnie. Nawet o nim za-

pomniałem i dopiero w trakcie długiego uroczystego chóru dzwo-
nów kościelnych całej Warszawy, przypomniałem sobie prorocze
słowa M. Pochwałę swojej dalekowzroczności przyjął bardzo spo-
kojnie. Wyraźnie wybór polskiego papieża był dla niego sprawą
oczywistą.

— Jak to ? — dziwił się nawet. — Przecież nie mogło być
inaczej.

Drugi raz natomiast obserwacja uroczystości pogrzebowych
zmarłego przywódcy wielkiego mocarstwa, w której brał udział
następny przywódca, posłużyła mu do takiego oto wniosku: —
Naznaczony śmiertelną chorobą!

Diagnoza sprawdziła się w ciągu mniej więcej roku. Natar-
czywie dopytywaliśmy się M., na czym opierał swe przesłanki.

— Koszula — rzekł. Ponieważ patrzyliśmy osłupiałym wzro-
kiem, dodał — kołnierzyk koszuli opadał mu tak nisko, wisiał
wprost na mostku... Z tego ciała wyciekało życie.

Niewiele pojąłem z tego wyjaśnienia. Niezbadane są drogi
odkryć M.

Trzecia przepowiednia miała charakter surrealistyczny i dotąd
się nie sprawdziła. Zawiera w swej intencji znamiona wielkiej
metafory historyczno-religijnej, będąc ostatecznym pojednaniem
chrześcijaństwa z judaizmem. Zapowiada erę wspólnej wiary,
która połączy wyznawców Starego Testamentu z rzymskim kato-
licyzmem. — Tak mało przecież różnic — oświadczył. — Oni
czekają na Mesjasza. My mieliśmy już Odkupiciela!

Po tym krótkim uzasadnieniu powiedział równie apodyktycz-
nie jak w dwóch poprzednich rewelacjach, że przyszłym pryma-
sem Polski zostanie Jean-Maria Lustiger.

Był podniecony, wzmożona ruchliwość długich nóg, gesty i
mimika w ścisłym zespoleniu z jego głosem i blaskiem oczu.
— Żyd, neofita, przyjął wiarę w latach chłopięcych, rodem z
Będzina, przeżył okupację i męczeństwo swego narodu, stracił
matkę w gazowej komorze. Głębia jego wiary, mądrość, do-
świadczenie, tolerancja. Nie wyrzeka się swych korzeni, judaizmu,
przodków. Pomyślcie tylko! — wołał — ostateczne pojednanie
nastąpi w Polsce! — Jego głos był u szczytu możliwości. Roz-
sadał wprost mieszkanie. Wyraziłem mu uznanie dla siły głosu.
Komplement przyjął skromnie i oświadczył iż stryj jego, ksiądz
Jan, ten organ miał jeszcze potężniejszy. Był także wyższy od
niego.

I zaraz dowiedzieliśmy się o stryju Janie, jednym z twórców

skautingu w Polsce, kapelanie szkoły podchorążych i pierwszym naczelniku Szarych Szeregów.

— Kto znał mego stryja — zakończył M. — nie mógł być antyklerykałem.

Ale wracając do trzeciej przepowiedni. Fakty zaprzeczyły jej przecież. Nie zraził się tym jednak.

— Naszego prymasa będzie można powołać do Rzymu... Choć głos miał już nie tak nabrzmiały pewnością, znacznie słabszy raczej.

Ostatnio znów podjął ten wątek.

— On będzie następcą papieża! — zawołał zwycięsko i powiódł po nas oczyma aż świetlistymi od tego proroczego widzenia.

Ciąg dalszy niespełnionej przepowiedni wywołał obraz mego kolegi S., świetnego malarza, ochrzczony przez Jolę „Śmiercią w Wenecji”. Przykuł uwagę M. od pierwszego spojrzenia. Od jego kolorystycznej głębi powrócił do Jego Eminencji Jean-Marie Lustigera.

Nic nie wie arcybiskup Paryża jakich to epokowych rozważań jest przedmiotem.

Przepowiednie, wróżby... Złe losy naszego kraju, burzliwe wstrząsy, które na krótko tylko budzą nadzieję, żeby potem znów pograżyć nasze życie w mroku. O tym wszystkim M. wie doskonale i jakby obronnie chowa się głęboko w obszary swoich ulubionych poetów, filozofów i malarzy. Jednocześnie z niezmqdowanym uporem powtarza, że nieodwołalnie przyjdą lepsze czasy, muszą przyjść. Czy sam tego doczeka? Hydra starości, którą tak długo i skutecznie zwalczał, dopada go coraz częściej. Już tego nie ukrywa i skarży się jak na człowieka w podeszłym wieku przystało. Opisać pragnę pewien wypadek, który mu się zdarzył ze względu na osobliwą inwencję, jaką wykazał w trakcie tego groźnego zdarzenia. Wrócił późno z wizyty u przyjaciół, przygotował sobie łóżko do snu i nagle zatoczył się raz, drugi, tak zatańczył, zupełnie zatracił poczucie równowagi. W ten zdradziecki sposób odezwał się defekt błędnika. Wsparł się dłonią o blat stolika, stolik zakołysał się i spadł z niego szklany puchar, rozbijając się na podłodze. Za chwilę również M. zwalił się na podłogę. Kawał szkła wbił mu się w udo. Rana była głęboka, buchnęła krew, stracił przytomność, na szczęście ocknął się zaraz i przewiązał ręcznikiem udo powyżej rany, upływ krwi zmniejszył się, lecz ból stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Umysł miał jasny, skupiony, i już wiedział, co czynić dalej. Poczłgał się do telefonu, wykręcił numer pogotowia i tak mniej więcej wyrecytował. — Wypadek A.M. lat 74 samotny. Adres taki i taki. Upa-

dek na szkło. Rana cięta uda głębokości około 5 cm, długości 10 cm. Mogą się w niej znajdować okruchy szkła. Uplływ krwi znaczny — tym akordem zakończył ten rzeczowy meldunek.

— Wiecie przecież, w jakim żółtym tempie przybywa pogotowie — dorzucił. — A dzięki tak skonstruowanej formie interwencja nastąpiła w przeciągu kwadransa.

Wspaniale nadał S.O.S. w swojej sprawie. Oczyma wyobraźni widziałem scenę, która musiała nastąpić w następstwie telefonicznego komunikatu. Długi, chudy człowiek z olbrzymim nosem na podłodze. Broczy krwią. Szkło wokół niego. Wkracza lekarka i pielęgniarz. Patrzą na to wypełnione książkami i różnymi dziwnymi przedmiotami mieszkanie, choćby te tarki w charakterze lamp. Zagapić się mógł pielęgniarz, młody osiłek. Słuchają tubalnego głosu z podłogi. M. nie omieszkiał uraczyć lekarki jakimś wyszukany komplementem, podziękował z wyszukaną galanterią za szybką pomoc. Ostrożnie układają go na noszach. Nadal konwersuje.

Opowiadając dumny był ze sprawności i przytomności swego umysłu. Sam rozkoszował się treścią i formą nadanego komunikatu. Tego wieczoru nieodparcie przypominał postać ze sztuk Becketta, z „Czekając na Godota”, „Ostatniej taśmy Krappa” czy z miniaturowego filmu niemego z Busterem Keatonem i ptakiem w klatce, osłoniętej czarną materią. Takim mi się wydawał. W abnegacji i niedbałości ubioru, wychudzeniu długiego ciała, finezyjnej ruchliwości min i gestów. W tym swoim samotnictwie bez wygórowanych pragnień. W osobliwości opowiadanej przygody wreszcie. W nadaniu temu zwykłemu przecież wypadkowi starca nowych, kreatywnych treści.

Jaki jest ten M. właściwie?

Jest na pewno starym, samotnym człowiekiem, który spaceruje z coraz większym trudem w coraz bardziej obcym mieście. W ciągłej wędrówce od jednego zaprzyjaźnionego domu do drugiego. Wyobraziłem go sobie jako niezłomnego bohatera pustynnej, jałowej drogi przez życie. Tej drogi od urodzenia do śmierci, która jest krążeniem po obwodzie koła. Samotny i pusty. Nade wszystko pusty, pień wypalony piorunem, tę pustkę swego życia zagłusza rozpaczliwym wysiłkiem wyobraźni, tym swoim ciągnącym się w nieskończoność monologiem. Być może trawi go nigdy niewypowiedziana i najbardziej bolesna przyczyna, dręczący korNIK niemożności jakiegoś trwałego dokonania i zarazem nieustannie ponawiane próby zaklęcia w ostateczny kształt tego co myśli i mówi. Ta pogoń niezmordowana za pięknym motylem, już chwytą te aksamitne zdobne w piękny desień skrzydła, motyl wymyka się jednak, igra nadal w zasięgu oczu i rąk; ciągle nieosią-

galny. Niby ten legwan z opowieści Karen Blixen o Afryce, piękny, pulsujący tyłoma kolorami cud natury — taką przecież jest jego mowa, piękna, bogata w wielość odcieni i znaczeń, tak wspaniale pulsująca — uparcie jednak nie daje się ująć w karby liter i słów na papierze, w tej próbie zespolenia dźwięku w zapisanych słowach traci natychmiast swą tęczowość, staje się bezbarwna i nijaka, tak jak ten legwan-jaszczur taki piękny przed chwilą, ustrzelony ze sztucera traci wszystkie swe kolory, staje się brzydki, szary, nijaki. Może M. próbując pisać staje się martwym legwanem? A może po prostu jest fermentem nade wszystko, pragnie przekazać komuś coś z siebie, w ten sposób pozostawić to najcenniejsze ze swojej osobowości w kimś innym.

Pamiętam naszą wspaniałą rozmowę o pisanim wówczas przeze mnie Księciu Nocy, chwycił w lot istotę moich wysiłków i zamiarów, wiedział co sprawia mi największy opór, pomógł bardzo wiele, choć trudno ocenić rodzaj tej twórczej inspiracji, istniał w niemożliwej do odtworzenia intensywności naszej rozmowy, był zawarty w trafnym chwytaniu moich intuicyjnych zamiarów pisarza błędzającego po omacku. M. potrzebuje ludzi jak ryba wody. W tym zakresie jednak stosuje wybredną selekcję i nie zniża się nigdy do roli kapłana odprawiającego swe misteria dla prostaków. Cechuje go sympatia lub odraza od pierwszego wejrzenia. Ludzi dla siebie antypatycznych nie dostrzega w sposób naturalny. Ruguje ich ze swego pola widzenia. Umiejętność tę posiadał w stopniu najwyższym i ci co go przejmują niechęcią, odrazą, po prostu przestają dla niego istnieć. Byt lub niebyt. To zależy wyłącznie od niego i w tym się przejawia filozofia subiektywizmu w czystej postaci. Realne jest tylko to, co istnieje w moim wyobrażeniu. Biskup Berkeley, który objawił światu tę słynną zasadę: — Istnieć to znaczy być postrzeganym — może być w pełni zadowolony z tak godnego rzecznika swego poglądu.

A może M. szykuje niespodziankę dla potomności? Pozostawi nowy, świetny przekład Boskiej Komedii, pisze również pamiętniki i w nich odniesie triumf największy, przełoży wreszcie swój dar słowa mówionego na papier, tak zaczernia kajet z kajetem, stos tych kajetów z długiego, bujnego życia.

Jednakże ta nieustanna zmienność, migotliwość osobowości M. nie pozwala zbyt długo utrzymać go w ramach jednego portretu. Wciąż się wymyka i zaskakuje niespodziankami.

Podczas zimy roku 1983 M. bywał skupiony, jakby nieobecny na zewnątrz, wsłuchany pilnie w siebie, potrafił milczeć długo, nawet obojętnymi, niewidzącymi oczyma wpatrywał się w ruchome obrazki na ekranie telewizora, czego zawsze dotąd się brzydził

i unikał, a jeżeli już zaczynał mówić, to jedynie o swojej pracy, intensywnej pracy która go pochłania nocami i daje wielką satysfakcję. Czas spędza w nieznanym mu dotąd uniesieniu, eksplozji, jak powiada, pracując nad syntetycznym studium o istocie poezji w jej najgłębszym metafizycznym sensie, o poezji tej królowej słowa pisanego; pragnie więc napisać o tych olśnieniach zawartych tylko w największych dokonaniach, tam gdzie padają wielkie pytania o sens życia, Boga i Szatana, niebo i ziemię. Rzecz jasna, wymienił Dantego, z polskich poetów Sępa-Szarzyńskiego i Leśmiana, najdłużej zatrzymał się przy Mallarmé. Mówił o nim jako o potężnym swoim przeżyciu, czytywał go w różnych okresach swego życia wiele razy i wreszcie odkrył zawartą w wierszach Francuza wielkość, możliwą tylko do osiągnięcia przez twórców stawiających sobie najwyższe wymagania. Oto M. deklamuje z patosem wiersz poety w swoim przekładzie. Czyta dźwięcznie, dbając o rytmikę, głos moduluje z aktorską umiejętnością. Następnie dokonał analizy utworu, jego zdaniem genialnego osiągnięcia, w którym muzyka, malarstwo, architektura i słowo zespalają się w piękną, wielopiętrową jedność. Poszybował w najwyższe regiony swojej emfazy i wymyślności. Nie bardzo pojmowałem sens tej misternej pajęczyny słów wypowiedzianych głosem nasyconym sugestywną mocą, lecz oczarowany jego młodzieńczym entuzjazmem potakiwałem gorliwie. Jeszcze wyciągnął z kieszeni rulon nutowego papieru, pokryty starannym, kaligraficznym pismem. Poczynił zabieg osobliwy, mianowicie przełożył wiersz Miriama Przesmyckiego na francuski, zabawił się tak dla udowodnienia jego naturalnych związków z literaturą francuską.

— Ten wiersz... — oświadczył — jest w swojej esencji, składni, melodii z ducha tamtego języka. Słowo po słowie, sylaba po sylabie, rymy, rytmika — uzasadniał swoje twierdzenie.

Wypiliśmy po dwa kieliszki wódki. Na odchodnym rzucił z niedbałą rozrzutnością kilka łacińskich maksym potrzebnych mi do pracy nad pisanym w tym czasie opowiadaniem.

Obiecał następnym razem przybyć z większym pakietem wierszy Mallarmé'go, może coś z Boskiej Komedii będzie miał również. Uśmiechnął się zagadkowo.

— Żegnam was, kochani! Wspaniały wieczór, dziękuję! I poszedł sobie.

M., ostatni arystokrata ducha w naszym szarym i płaskim świecie.

Wiem: nie można schwytać człowieka jak motyla i przyszpilić go już ostatecznie w szklanej gablocie. O tym wiem doskonale. Chciałem tylko w miarę możliwości choć na chwilę zatrzymać,

chwycić za połę czarnej marynarki i zatrzymać tę wymykającą się nieustannie chudą, długą postać M. Czynię to także z przyjaźni.

Niech więc znów zabrzmie nieoczekiwany dzwonek, otworzę drzwi i M. w progu będzie przeproszać za najście, ale tak szedł sobie i zobaczył światło w naszych oknach. Przybył z nową teorią przyszłości ziemskiego globu, odkryciem wspaniałego tekstu historycznego lub filozoficznego, pieśnią z Boskiej Komedii czy szalonym proroctwem, które wbrew logice i rozsądkowi spełni się jednak.

„GRISZA, JA TIEBIE SKAŻU...”

Zadzwoił wieczorem i tak: Wyjeżdżam, pojutrze wyjeżdżam!... Czy mogę zejść do ciebie?

Dzwoneczki alarmowe zabębniły z nagłą, poczułem szybkie uderzenia w głowie, cała seria. To samoczynny system ostrzegawczy. Wykształcił się przez lata. Bez tego ani rusz. Po pierwsze: co on sobie wyobraża! Mój dom to zajazd wiecznie otwarty. Będzie wpadał, kiedy mu się zachce, tak w każdej chwili! Po drugie: tyle czasu nie dawał znaku życia. Poczytywałem jego milczenie za ostrożność przed wyjazdem. Obawiał się, nie chciał powodować podejrzeń. Rozumiem. Przebiegłość przydeptanych. Unikanie jawnego konszachtu z trefną personą.

Aż tu raptem informuje o wyjeździe, wyraża ochotę wizyty. Mówi swobodnie, wiedząc doskonale, że oni podsłuchują. Nie ma wyobraźni? Wyobraźni mu nie brakuje, ile razy dawał przesadne jej dowody.

Powinienem powiedzieć: — Wpadnij.

Przyjdzie i dziarsko zapyta: — Coś przekazać? Masz coś do przekazania?

Jednak odpowiedziałem chłodno: — Niestety, jestem zajęty. Był zaskoczony, chwila milczenia.

Zyczyłem mu dobrej podróży. Zdawkowo, konwencjonalnie. Odłożyłem słuchawkę.

Zastanawiające. Drażyłem drobiazgowo treść krótkiej rozmowy. Płóć o podróży, szczegóły, samolot, dzień i godzina odlotu. Nie jest prawiczkim. Telefon na podsłuchu. Powtarzam. Dyszy od podsłuchu. Rewizja na lotnisku. Mogą być inne przykrości. Nie dba o straty spowodowane taką lekkomyślnością? Wolny człowiek, nie żaden tam kret, zależy mu na estetyce naszej przyjaźni, nie będzie ulegał niewolniczym dewiacjom.

Dzwoneczki alarmowe nadal podnosiły harmider. Dlaczego nie przyszedł wcześniej, przez trzy tygodnie nie pokazał się ani razu. Telefonuje, w dodatku wcale nie z automatu. Mógł bez telefonicznego uprzedzenia. Przecież jego reputacja w resorcie nie może być czysta. Oni w resorcie są już nowocześni, skomputeryzowani, potrafią łączyć odległe fakty i wydarzenia.

W odległej od centrum dzielnicy stoi wielki biurowiec, ogrodzony wysoką siatką, wartownia, parking pełen samochodów, pilnują dzień i noc; mieszczą się tam zbierane i nieustannie wzbogacane informacje o społeczeństwie, wielka kartoteka. Swoją kartę komputerową w tej ubeckiej kartotece musi mieć pełną minusów. Obywatel nad którym trzeba czuwać, niepokorna swołocz. Tak leciutko, bez trudności wylatuje sobie w świat? Cholernie ciężko wydobyć się z naszego socjalistycznego bunkra... Wolny ptak, nonszalancko dzwoni, pragnie złożyć pożegnalną wizytę, kozak, taki kozak to on nie jest, ile razy z błahego powodu chwytały go nerwy, biegał do ubikacji, wraz z nerwami wzmożone ciśnienie na pęcherz.

Moja karta w tym macierzyńskim biurze personalnym dopiero musi być wypełniona! Znaki, symbole, cyfry. Już dowody są z takimi sekretnymi oznakowaniami. Zatrzymują na ulicy, spojrzą i wiedzą z kim mają do czynienia.

Pałac papierosa patrzyłem w ciemność za oknem. Czy pod domem czuwają jacyś? Nie widać. Może niewidzialni, ale są. Czy w wielu oknach tego miasta stoją ludzie i podobne niepokoje zaprzatają im głowy?

Rzecz cała zaczęła się od pamiętnego odkrycia. W sążnistych aktach sprawy, które czytałem w więzieniu, znajdował się list — donos wysłany do MSW. Popatrzyłem na podpis i dostałem cios między oczy. Był podpisany przez B., mojego przyjaciela. Moment zamroczenia, naprawdę.

Opanowałem się zaraz. Naprzeciw przy stole siedziała dozorczyńca mej lektury, pani oficer MSW. Ukryłem więc szok pod pokerową twarzą. Czytałem chciwie. W liście zawarta została niezła porcja oskarżeń twórczości i życia pisarza. Zdaniem autora listu, człowiek ten pełen jest najgorszych zamiarów wobec państwa i jego ustroju. W pierwszym rzędzie ocenie poddane zostały treści pisarstwa. Analiza tych treści wykazała fałszywą tendencyjność i zaciętrzewienie niewiele mające styczności z prawdziwą literaturą. Więcej! Wulgarnie publicystyczną motywację tych wszystkich ostatnio płodzonych w obfitości opowiadań i opowiadań. Pisanych płaskim, marnym językiem i obdarzonych schematyczną konstrukcją. W celu dosadnego wzmocnienia tych konstatacji użyty został plastyczny obraz staczania się po równi po-

chyłej. Człowieka i jego literatury. Do przepaści. Koniec, kłęska, szlus.

Autor listu jako bezwzględny w dociekliwości i moralnym zaangażowaniu Katon odsądzał tę twórczość i jej twórcę od czci i wiary. Polecał również służbie bezpieczeństwa zająć się żoną pisarza, współpracownicą, a nawet motorem całej tej degrengolady. Degrengolady o wysokiej szkodliwości społecznej, wrzęgniętej w rydwan wrogich sił.

Pisane to było stylem podobnym lub imitującym dosyć zręcznie sposób wypowiedzania się na papierze mego przyjaciela B. Językiem klarownym i gorącym, operującym jemu właściwą metodą stopu analizy literackiej z obserwacjami społeczno-psychologicznymi. B. pisując ongiś na łamach państwowych tygodników upodobał sobie taką formę felietonowo-eseistyczną, prezentując się kilka razy jako efektowny demaskator. Partiami może było to nadmiernie przejaszkrawione, gazeciarsko-propagandowe, ale wywoływało nieprzyjemne skojarzenia. Epistoła cała kończyła się nieoczekiwaną pointą. Tylko nie wzywajcie mnie na żadne oficjalne przesłuchania, gdyż wtedy wyprę się wszystkiego!! Tak historycznie zastrzegł się autor listu. Podpis, imię, nazwisko, data, Warszawa.

Czytałem ten list na trzecim piętrze pawilonu śledczego MSW. Ja, więzień, syn Antoniego. Po drugiej stronie stołu siedziała przystojna blondynka, pani major. Grzeczna, miła. Poczęstowała herbata. Dała do przeczytania niedostępną w więzieniu gazetę, *Życie Warszawy*. Starym zwyczajem zacząłem od nekrologów. Rozmawialiśmy zdawkowo. Ona też zaczyna *Życie* od nekrologów.

— W drugiej kolejności cenię ogłoszenia — powiedziałem. Równocześnie utrzymywałem w pamięci istotne partie przeczytanego przed chwilą tekstu. Wysilek mnemotechniczny. Słowa, zdania płątały się, zderzały, wirowały.

Później, już po apelu, leżąc na wyrku w celi myślałem o tym liście. Najlepsza pora do medytacji. Rzekomym autorem był bliski, najbliższy, wieloletni w tej bliskości Beta. Musiałem sam uporać się z tym ciężarem. Wiele sprzecznych rozstrzygnięć. Zrozumiałych w tym zamkniętym obszarze, gdzie kłębi się od donosów, szpicłów, prowokacji i zdrady. Wreszcie uznałem to posunięcie za grubo szytą mistyfikację. Do czego miała służyć. Porazić oskarżonego podejrzliwością wobec najbliższych? Czyżby oni zakładali, że ulegnę takiej łatwowierności?

Po wyjściu na wolność dalej rozważałem rozmaite warianty zabiegu z listem. Podzieliłem się parszywym sekretem z Jołą. Oboje nie daliśmy temu wiary. To nie może być on! Dla czystości przyjaźni poinformowałem B. Zbladł, kilka sekund trwało

milczenie. Lodowaty powiew buchnął w nasze twarze. Dramatyczna scena w małej, ślepej kuchence. Wałęsa patrzył na nas ze ściennego kalendarza podziemnej Solidarności. Dalej piiliśmy herbatę.

— Po co oni to zrobili? — B. zadał to samo co my pytanie. Nasze stosunki pozostały serdeczne, przyjacielskie.

A teraz znów posłyszałem sygnały alarmowe! Całą serię uderzeń, cholera jasna! To jego ulubione powiedzenie. Przyjęło się i używamy tej cholery jako pieczęci, zamykającej wiele wypowiedzi.

Dreszczyk szedł po grzbiecie i umysł pracował jak motor.

— Jak już to już! — tak powiadał poeta i wagabunda, Milczewski Bruno. Utopił się, zażywając po pijanemu kąpeli. Dlaczego użyli jego nazwiska do podpisania spreparowanego paszkwilu? Mój przyjaciel, w każdym bądź razie ktoś bardzo bliski, doskonale o tym wiedzieli... Wiedzieli też, musieli tak zakładać, że powiem mu o tym liście w imię dobra przyjaźni, dla wyrugowania wszelkich niedomówień, dwuznaczności. Dlaczego dowiedziawszy się o tak bezceremonialnym użyciu jego nazwiska nie zapragnął wystąpić ze skargą o zniesławienie albo inaczej to załatwić? Chodzi o dobre imię, reputację. Zapewne byłby to jedynie symboliczny gest. Nieważne. Jednak istotny dla niego i dla mnie. Natomiast on przełknął gładko to świństwo i nic. Zbytnio teoretyzując, przesadnie. Co ja bym uczynił na jego miejscu? Nie wiem.

A może zareagował bardzo prawidłowo. Od kloaki trzeba trzymać się jak najdalej.

Na pisarzy niejednokrotnie już wylewano kubły pomoy w prasie, telewizji. Marzec 1968 roku.

Teraz Rem i inni nie odbiegają zbytnio od tamtej zgrai najemnych oszczerców i paszkwilantów.

Odebrał ten podrobiony list w taki właśnie sposób.

To że przyjaźni się ze mną i mimo to wyjechał, zmieniłem kierunek rozważań, nie stanowi jeszcze nic szczególnego. Dwa wydziały mogą nie mieć ścisłej kooperacji, wyjazdowy i literacki, powiedzmy, tam też musi być trochę bałaganu jak wszędzie.

Albo dają mu jeszcze szansę. Wiedzą o nim wszystko i dają mu szansę. Takie metody także są stosowane. W naszym systemie wiecznie jest żywy Poemat Pedagogiczny Makarenki. A wracając do meritum. Dlaczego tę obelgę w postaci donosu podpisanego swoim nazwiskiem tak gładko przełknął? Przy swojej wrażliwości tak szybko przeszedł nad tym do porządku dziennego. Nawet nie drgnął. Może zbladł trochę. Ciekawe. Atmosfera wokół listu stała się ciemna, nieprzyjemna.

Haka jakiegoś mają na niego? Hak czyli szantaż. Często przez nich stosowana metoda. Wielu przyhaczonych poniewiera się w naszym życiu. Siedzą tacy jak myszy po kątach i w potrzebie używa się ich do brudnych posług. Człowiek-worek pełen słabości i strachu. B. Miękki wrażliwiec. Chimeryk i egoista. Słodko i barwnie pragnie żyć. Widowisko, zabawa, teatr. On jak widz w teatrze. Obserwować, napawać się widokami. Najchętniej w miękkiej łoży. Dobry widok i bezpieczne oddalenie. Pociśną takiego za jaja... Znałem emeryta z tamtych, stalinowskich lat. Piliśmy nieraz. Gawędził o przeszłości. Klucznik z powiatowego urzędu. Rudy. Używał soczystego, piwnicznego języka. Tamta bezpieka z upodobaniem pracowała w delikatnej sferze męskiego przyrodzenia. Jaja i tak dalej. To powtarzało się w jego pijackim bełkocie. B. smacznym kąskiem dla służby bezpieczeństwa.

Należy się opamiętać! Nie wolno tak obrażać człowieka. Nawet w sekretnej cichości rozważań. Daremnie jednak próbowałem się opamiętać.

Bliski druh. Spowity w same dwuznaczności. Ten czarujący B. Tak przez nas lubiany. Żył dotychczas słodko i jedwabnie. Żadnych osobistych doświadczeń z socjalistycznym systemem represji. Poglądy miał zdrowe, wolne. Nie zatrute. Ale nie hartowały się w przeciwieństwach. Tu czknęło mi się Marksem. Przepraszam. Jedność i walka przeciwieństw. Uczyli nas tej dialektyki w szkołach. Jak na socjalizm to B. był szczęściarzem. Nie wdepnął w żadne gówno. Bardzo godnie zachowywał się dotychczas. Wraz z początkami stanu wojennego wystąpił z redakcji poczytnego tygodnika. Osobnik moralnie czysty, wręcz nieskazitelny. Talent również bezsporny. Te opowiadania, szkice. Jubilerskie kamyki szlifowane pieczołowicie. Kawał tęgiego pisarza wykluwa się z B. Tylko jego talent obarczony był dosyć destruktywną właściwością. Wiele rzeczy z impetem zaczyna i potem zarzuca. Taka skaza intrygująca. Wciąż zaprzatają go nowe pomysły, aż kipi w nim od pomysłów. Łakome upodobanie do efektownych błysków, fajerwerków natychmiastowego uznania, poklasku. Jak on te swoje teksty czyta! Moduluje głos, wdechy, wydechy. Od szeptu do ryku. Może przed występem ćwiczy nawet? Jakaś w tym tandeta. Mieszanina pisarza i aktora. Zbyt mało w nim cierpliwości i samozaparcia prawdziwego galernika pióra. Gwiazdorem być pragnie. Może zła pozostałość dziennikarszczyzny. Motyl, paż królowej! Czyż nie można wbić klina między te dwa sprzeczne pragnienia.

Maminsynek chowany pod kłosem. Pociśną takiego. Doświadczenie poucza o zaskakujących niespodziankach.

Czy B. może być informatorem? Tym głęboko zakonspirowanym strażnikiem cudzego życia. Tak sobie pijemy z ust. Zaufanie i przyjaźń. Zwierzamy się ze swych sekretów, pragnień, rozterek i wątpliwości. Jeden jak zapisana tablica dla drugiego. Łączy nas wspólna pasja. My jak murarze. Składamy słowo do słowa. B. najbliższym powiernikiem i informatorem zarazem. To może się zdarzyć. Nieraz takie dwoiste związki pełne są autentycznych uczuć i przywiązania. Mogli przecież rozpoznać jego słabości. Niechęć do trudów, niewygód. Uderzyli w słabiznę. Trzepocze się, opiera. Ale oni już go mają. Miota się biedny B. między podłym przymusem i szczerozłotą przyjaźnią. Czy tak nie może być?

Przesadziłem jednakże! Skąd można wiedzieć, co siedzi w człowieku? Nóż pójdzie z początku miękko i gładko, aż natrafi na opór. Kamień, stal. Zazgrzyta, wyszczerbi się, nie da rady. Stop! Nie można kłaść czyjegoś dobrego imienia. Wierne, oddane oczy B. A tam pod spodem...

Dosyć tej psychologicznej taniochy, tej dostojewszczyzny wszechogarniającej! To może być także wpływ Conrada. Czytam po raz drugi „W oczach zachodu”, ponurą powieść o rewolucjonistach i szpiclach.

Powrót na ubitą ziemię faktów.

Strona 160, tom pierwszy, akta sprawy. Oni na pewno sami napisali ten list. Mają specjalistów od literatury. Może któryś z moich kolegów po piórze? Nie uwierzę. Tak zakładali z góry. Musieli. Wiedzieli jednak doskonale, jaki to zamęt wywoła w głowie. Jaki wir podejrzeń. Delikwent zacznie kombinować, rozważać. Taką postawili prognozę. B. nie zaprotestuje. Pragnie wyjechać za granicę. Chce to i tamto. Będzie siedział pokornie. Ani piśnie. Oni mają nielichą pogardę wobec ludzi. Wszystkich oceniają według świńskiej miary.

Ale można też rozważać rzecz całą z odmiennego punktu widzenia. Mają go na usługach. Położył swój podpis. Autentyk. Jeszcze nie przewidywali amnestii i B. spełnić miał rolę świadka oskarżenia. Wstrząs dla oskarżonego. Utrata wiary w człowieka i poczucie totalnego zaszczucia. Mogli tak rachować? Zaraz przyszła wątpliwość. Nie była to konstrukcja zbyt przekonywująca. Przecież informatora potrzebnego jako świadka na rozprawę chowa się do końca. To jest przecież as! Po co przedwcześnie go ujawniać. Nie mogłem dać sobie jednoznacznej odpowiedzi. Same wątpliwości. Dlaczego tak anemicznie zareagował na list? Przecież korzystając z jego nazwiska wycieli mu siarczysty policzek. Zniósł go nad wyraz spokojnie. Nie poszedł do ubikacji. U niego zdenerwowanie objawia się wzmocnionym ciśnieniem na

pęcherz. Ktoś tak haniebnie pomówiony winien starać się o bezwzględne oczyszczenie z zarzutu.

Ogłosić oświadczenie w podziemnej prasie. Coś w tym sensie. Ale może mieć dalekosiężne plany. Nie chce zadzierać z bezpieką. Bardzo chciał wyjechać bez przeszkód. Mało miał doświadczenia w realnej materii życia. Pograżony w świecie książek, fantazji, delikatna natura.

Potrzeba papierosa, paliłem chciwie. Tak spokojnie słuchał streszczenia owego listu-donosu. A tam piętrzyło się od obelg, kalumni i wszelakiego błota. Należy jeszcze zamknąć do tury z żoną pisarza. Ona to dopiero ziółko. Zaraza. Namawia do złego, inspirowała, podżęgała. Przemycła od więźniów politycznych ohydne paszkwile na Polskę Ludową i jej władze. Wszystko za dolary, jurgiel z C.I.A. Taka to dobrana para. Pisarz i jego żona. Pławią się w upadku moralnym. Liczą zielone i wspólnie wymyślają oszczerstwa. Oboje zatruci nienawiścią do naszej ojczyzny. Na okrasę jeszcze dorzucone bezeceństwa z ich życia osobistego. Ona ma kochanka. On również zawołany orgiasta. Taki to był tasiemcowy ciąg brudów i wszystko podpisane nieskazitelnym jego nazwiskiem. Mieć taką świadomość i nic, żadnego oburzenia, spontanicznej reakcji, protestu.

Słuchał wtedy i twarz miał spokojną, jakby z góry przygotowany. O, właśnie! Już liczył się z tą odsłoną. Aktorskie talenty, przeciwzył parę razy i był spokojny.

Może naprawdę mają na niego jakiegoś haka. Trzymają w cęgach. Postraszyli widmem piwnicznych aresztów i więziennych cel. Kolorowy ptak zatrzepotał skrzydłami. Przerazenie ścięło mu serce i pękł. W tej obróbce byli łaskawi. Mówili po przyjacielsku. Właściwie nic od pana nie chcemy. Dali mu glejt, żelazny list. Może pisać co chce. Dlaczego nie. Popierają talenty. Może podróżować. Podróże kształcą, dają perspektywę, bogactwo wrażeń koniecznych dla artysty. Będzie nadal człowiekiem wolnym. Tylko!... Tak jak szubieniczna pętla zawisła nad nim to tylko. Podsunęli mu papierek. Niewielki, szary. Podpisał.

Nie! To zbyt schematyczne. Odpowiednie najwyżej do sensacyjnej powieści z życia opozycji politycznej, pisanej przez ubeczkich pisarzy. B. jest człowiekiem inteligentnym. Obdarzonym wyobraźnią. Nie mógłby żyć ze świadomością wiecznego zacisku brutalnego łap. Oni wysysają bez litości. Wyssanych do końca wyrzucają na śmietnik. Tu narzuca się z całą wyrazistością przypadek nieszczęsnego Mateusza R.

Był zakonspirowanym informatorem i zużyli go ostatecznie jako świadka oskarżenia w procesie jego przyjaciela. Stracił twarz.

Ruina reputacji. Męczył się z tą hańbą. Miotał się na biegunach usprawiedliwień i bezwzględnych oskarżeń. Obłąd pochłaniał go nieubłaganie. Długotrwałe pobyty w domu wariatów. Przerwy wypełnione szukaniem oparcia w Bogu. Tomizm i św. Augustyna zgłębił jak mało kto. Toczył szaleńcze dyskusje z uczonymi teologami. Stał się dewotą, obwieszony krzyżami i szkaplerzami. Z nagłą przeklinał namiętnie Boga i swoich prześladowców. Zakończył udrękę życia wyskakując z okna swojej kawalerki na VIII-ym piętrze. B., dociekliwy badacz historii najnowszej, musi przechowywać wiele takich przykładów w pamięci. Transakcja zakupu jego duszy brzmi nieprawdopodobnie.

A jeżeli opętał go demon pychy i gra o najwyższą stawkę?

Wszystkich przechytrzył i wywiódł w pole. Sprzedał swą duszę na wysoki procent i doświadczać smaku upadku, wzbogaca swą wiedzę o tutejszym człowieku. Zgłębia najciemniejsze sekrety. Wychodki i szamba. Jest w wiadomej służbie i poznaje arkana najgorszego poddaństwa. Zbiera doświadczenia dla dzieła swego życia. Prowadzi notes tajemnej swej służby. Stworzy dzieło niezwykłe. Okrutne szczerością ponizenia. Samodemaskacją. Owoc pychy i wiary w literaturę. Dramat pisarza-męczennika. Ponosi koszty najwyższe w imię dotarcia do nieznanych zakamarków duszy: do tego podziemia, pełnego trujących smrodów. Zostanie wywyższony przez dzieło. Rezultat przebiegłego sojuszu z szatanem. Ofiary na ołtarzu sztuki nie potępiam. Jeżeli jednak ze zwykłych, najmarniejszych pobudek? Wiedza o życiu i ludziach podsusza zwyczajne, odarte z niezwykłości rozwiązania. Tych najwięcej.

Ten tłumacz z RFN. Człowiek doświadczony i bez złudzeń co do Wschodu. Przyleciał do Polski. Czekałem na lotnisku. Nie doczekałem się jednak. Bezpośrednio z odprawy celnej powieźli go do MSW. W aktach sprawy czytałem protokół z jego przesłuchania. Jak on mówił! Dużo i gorliwie. Mógł nic nie mówić. Strach w nim zaskowyczał.

Cały ten domniemany satanizm B. stoi na glinianych nogach. Fantasmagoria mojego umysłu. Przesada. Więcej umiaru! Umiar. Twarda ziemia faktów. Nie szybować za wysoko.

Jeszcze w więzieniu czytając akta mojej niedoszłej do sądu sprawy, objętej dobrodziejstwem amnestii, coraz napotykałem „notatki służbowe”.

Trzy tomy materiałów dowodowych, około 500 stron, początkowo zdziwiony tą objętością, w miarę czytania dziwić się przestałem. W te groźne tomy jak do worka wpakowane zostały moje teksty literackie, wywiady, recenzje z książek, numery czasopism. Na przykład *Der Spiegel*, pismo stustronicowe co naj-

mniej, tam pół strony wywiadu ze mną; jednak cały *Spiegel* zapełnił połowę tomu pierwszego tych groźnych akt. Jeszcze ekspertyzy zarekwirowanych podczas rewizji listów i rękopisów, analiza czcionek maszyny do pisania, następnie wywody tłumaczy na temat zgodności przekładów „Raportu o stanie wojennym” z oryginałem, oraz pięćdziesięciostronicowa ocena działalności Instytutu Literackiego, gdzie wydano „Raport”, dokonana przez jakichś docentów i doktorów; także kosztorysy tych ekspertyz, ocen i analiz, nie tanie, dodam na marginesie, w dziesiątkach tysięcy złotych każda.

Wszystko jednak zaczęło się od tych „notatek służbowych”, w których najwięcej przedstawiono zarzutów. Więc oddałem się lekturze akt zgromadzonych przez pracownią służbę bezpieczeństwa, chwilami odczuwałem swoisty podziw dla sugestywnie ulepionej sylwetki oskarżonego, perfidnego i wytrawnego sługusa rozmaitych wrogich PRL agentur i ośrodków. Brzmiało to niekiedy zgoła po szpiegowsku i czytając te sążniste tomy, myślałem nieraz o towarzyszu więziennej niedoli z celi nr 4, oskarżonym o szpiegostwo dla C.I.A. Jego akta dopiero musiały być wspinałym budulcem dla majstrów od powieści sensacyjnej ze zdrowym ideologicznie morałem. Pewien doświadczony rodak, siedział trzy razy, co prawda żaden polityczny, pouczał kiedyś w przyjacielskim gronie, że owe tajemnicze notatki to nic innego jak donosy, sprawozdania, raporty konfidentów, psów, jak się wyraził dosadnie. Siedzą wokół nas, zdobywają zaufanie, sekretne zwierzenia, braterstwo, przyjaźń, no i sporządzają te notatki. Doświadczony rodak przechwalał się sukcesami w tej dziedzinie. Wyłuskał większość psów ze swego otoczenia. Rozpracowałem sukinsynów, oświadczył, zostali spaleni, muszą szukać następnych.

W moich aktach roilo się od tych „notatek służbowych”. A więc — kto przy mnie spełnia taką rolę?

Poszły konie po betonie, działa takie paliwo na wyobraźnię, otchłanny temat.

Moje blisko pięćdziesięcioletnie życie obfitowało w wielość bliższych i dalszych znajomych, tłum, czytelnicy, wieczory autorskie, oponenci, zwolennicy, krytycy, młodzi i starzy koledzy po piórze, znajomości przy wódzie, te nazwiska i telefony na pomiętych, bibułkowych serwetkach, romansiki też należy dodożyć do puli, koledzy z gimnazjum, studia, przypadkowe spotkania na ulicy i to rytualne: — Pamiętasz stary, jak siedzieliśmy na ostatniej ławce! — Jeszcze ci charakterniacy z młodzieńczych wypraw w zakazane rewiry, oni oczywiście nie wchodzą w rachubę, ludzie z tamtego czasu to jedynie archeologia pamięci.

Trzymać się należy drugiego rozdziału życia, dwudziestokillku-

letniego już rozdziału, rozpoczętego wydaniem pierwszej książki i trwającego dotychczas, zaludnionego gęsto przez czeredy studentów, rozmaitych mądrali, nieudaczników, grafomanów, debiutantów, naprawiaczy świata, buntowników i zdobywców, dzwonił, zaczepiali, odwiedzali, poloniści pisywali prace seminaryjne i magisterskie, funkcje języka w twórczości pisarza, tematyka obyczajowa, rola narratora, monolog wewnętrzny, konstrukcja itp., przynosili swoje teksty, zwierziali się ze swego życia, pragnień, ambicji.

Byłem otwarty jak świetlica, spragniony kontaktów, ciekawy tego co myślą, mówią, wyobrażnia, wrażliwość, poglądy, zakres doświadczeń, stosunek do sztuki, życie.

To było moje powietrze literackie, zmniejszało się poczucie próżni; bo ten tryb życia niezmienny, to wysiadywanie nad papierem, nałóg, choroba, od rana stół i gryzmoły, ile razy potworne, obezwładniające poczucie jałowości, niewoli, bezsensu, po co piszę, dla kogo, może to po prostu haniebna grafomania, tchórzliwa ucieczka, papier jako marna rekompensata za wszystkie klęski, udręki i niedostatki garbatego życia. Potrzebowałem tych przybyszów: inteligentów i prostaków, wrażliwców i głabów, mitomanów i grafomanów, uzasadniali oni jakoś moje pisanie, dawali rację bytu dziwnej, niewydarzonej egzystencji. Te znajomości gęstwą ciągnęły się przez lata, te twarze, imiona, nazwiska nieustannie wyskakiwały z pamięci, kalejdoskop bliskich i dalszych znajomych, przyjaciół, natrętów, petentów, długotrwałych i epizodycznych, jedni znikali, inni zajmowali opróżnione miejsce, nieustanny ruch, wirowanie, głosy, twarze, fragmenty zdarzeń, wspólnie przeżytych dni, tygodni, miesięcy.

Należy zastosować wykładnię zacieśniającą: stali, wypróbowani, latami przy mnie zakotwiczeni, na takich skupić uwagę, oświetlić reflektorem, metoda policyjna, szukanie sprawcy w stosie kartotek, eliminacja, redukcja, zostaje kilkanaście nazwisk, wreszcie kilka, zatrzymujemy się, zaczynamy drażyć.

Tyle tych „notatek służbowych” w aktach mojej sprawy. Za każdą notatką kryje się konfident. Żarłoczna hiena. Nieszczęśliwa istota. Podlec. Pochowane wtyczki. Związki z mocodawcami i ofiarami. Notatki to wielka epika wynaturzonego życia. Muszą być z najbliższego grona, tak mówił ten co siedział trzy razy. Mogą siedzieć beczynn timerami i dopiero na podany z góry sygnał zaczynają działać, mówił doświadczony rodak i oko mu gorzało obsesyjnym blaskiem. Ile włożył w to wysiłku! Opowiadał i znów był w tamtym transie, przemierzał krótkim krokiem celę, wpatrywał się w okratowane okno, stukał w ścianę

do współników, przewracał się bezsennie na pryczy. Mozolnie składał i cementował drobne fakty, okruchy faktów, jedno słowo, dwuznaczny gest, mina, spojrzenie.

— Spać nie mogłem! — wspominał. — Zreć nie mogłem! Głowa mi pękała od wysiłku.

Był starawy, wypasiony, rzadkie włosy, pospolita czerwona twarz. Jednak heros, tytan.

— Nigdy nie można wypalić tego robactwa do końca — powiedział. — Zawsze ktoś przy tobie pozostanie. Niewidoczny, przylepiony.

Kogo ja mam przy sobie? Bliski jak brat. Bliższy od brata. Tyle zwierzeń, taka spójnia. Ci najbliżsi to podpory, wielkie filary wspierające życie. Który z tych filarów jest przegniły? Rozglądam się jak tropiony zwierz. Wszędzie wietrzę nagonkę, myśliwych, wilcze doły. Już niebezpiecznie blisko choroby! Zatrzymaj się, nie pędź na manowce! Ktoś celowo dorzuca drwa na palenisko. Podżegacz zakonspirowany siedzi we mnie i wszystko gmatwa, rozszczepta, brudzi i przepaja trucizną.

Spacer ze starym panem K. Ten starzec mimo wieku kipi energią i pogodą ducha. Głosem z miękkim, śpiewnym akcentem opowiada o swoim Lwowie. Podczas wojny trzy lata w łągrze. Stamtąd też worek opowieści. Snycerz. Po wyjściu z więzienia podarował mi papieża wytłoczonego na mosiężnej blasze.

— Niech Bóg ma pana w opiece! — oświadczył patetycznie. — I On!

Ale ten spacer odbyliśmy przed więzieniem. Spotkaliśmy się przypadkiem w sklepie spożywczym i jak to bywało już nie raz, ujął mnie pod łokieć i poszliśmy na przechadzkę do pobliskiego parku. Zaczynała się wiosna. Znał się na ptakach. Pokazał sikorkę, gila, jeszcze jakiegoś. Zagwizdał po ptasiemu. Żywytoty dziad. Przysiedliśmy sobie na ustronnej ławeczce i pan K. poczęstował mnie opowieścią ze skarbca swoich doświadczeń. Brzmiała mniej więcej tak; już po wojnie uporczywie ciągal go na przesłuchania. Rozpytywali o lwowską komendę AK. Struktura, nazwiska, pseudonimy. Mogą go zamknąć. Obawiał się tego. Wszelkie materiały obciążające wyniósł z domu i ukrył u zaufanego człowieka. Przyszli po niego o świcie. Nic nie znaleźli. Mimo to zapakowali do piwnicy wojewódzkiego urzędu. Przesiedział pół roku. Doświadczenia wyniesione z Rosji pozwoliły mu przetrzymać ten czas. Został zwolniony z braku wszelkich dowodów. Popędził do swego człowieka. Pragnął mu podziękować. Tamten klęknął i zapłakał. Też lwowski rodak. Płakał z powodu okazanego mu zaufania. Od roku był przez nich nastą-

ny. Składał meldunki. Jednak w ostatecznej potrzebie nie zawiódł. Co miał przechować, to przechował.

— Sumienie mu nie pozwoliło zakapować mnie ostatecznie — konkluduje pan K. — Ale proszę tego nie traktować zbyt optymistycznie — jak kleszczami chwycił mój łokieć. — Pamiętaj pan! W najbliższym kręgu pańskich przyjaciół może znajdować się Judasz! — śpiewnie, miękko wyciągał te słowa. Akurat przechodziła młoda kobieta. Popatrzył na nią ze smakiem.

Tkwiła ta opowieść na dnie pamięci dwa lata bez mała.

Doczekała się swego czasu. Z zatrutego ziarna wyrasta cały krzew. Odtąd będę czuwał nieustannie i moje oko nieraz zatrzyma się z natężeniem na którymś z przyjaciół. W tym spojrzeniu będzie się kryć to niewypowiedziane: — Może to on?

Próbuję wypowiedzieć, uchwycić ten dręczący problem. Nie jestem żadną tam mimozą ani prawiczką po raz pierwszy gwałconym. Ale to jest tak jakbyś dzień i noc czuł na sobie zimne, obce oko. Siedzisz w swoim pokoju przy stole, kładziesz się do swojego łóżka i też nie jesteś swobodny. Jakaś oślizgła łapa przeszukuje twoje portfele, kieszenie. Mało! Szpera w twojej duszy!

Co innego ci nachalni, jednoznaczni, przysłani z zewnątrz. Oni są jak chleb i woda. Muszą być. Choćby ten z firmy polonijnej. Gimnazjalny kolega, ekonomista, światowiec. Zazdrościłem mu biegłej znajomości angielskiego i niemieckiego. Spotkaliśmy się przypadkiem. Czytelnik moich książek. Szczególnie tych z obszaru wspólnego dzieciństwa i młodości. Wzmogłą serdeczność zmanifestował w stanie wojennym. Często wyjeżdża na zachód. Zaofiarował swe usługi jako patriota. Natrętnie. Może coś zabrać. List, rękopis, z kimś się porozumieć. Za tydzień jedzie do Berlina Zachodniego.

— Kup „Raport o stanie wojennym” w przekładzie na niemiecki — powiedziałem. — Należność zwrócę ci w bonach.

— Nic więcej nie chcesz? — zdziwił się wyraźnie.

W drugim przypadku narzędziem był młody kuzynek, birbant i lekkoduch, obracający się wśród waluciarzy, kombinatorów i dziwek. Zaproponował nagle „most powietrzny”, tak się wyraził. Mają na lotnisku pewnego człowieka. Jakis list, maszynopis przerzucić to dla niego fraszka. Pewna, gwarantowana droga. Kuzynek miał spełniać rolę pośrednika w przekazywaniu przesyłek. Użyty na wabia. Ktoś nim sterował. Tego byłem pewien.

Płatało się jeszcze kilku takich.

Blondyn o wodnistych oczach. Przyniósł spory pakiet książek z zagranicy. Uczynny, oddany sprawie przez duże S; jego oczy

pozostały w pamięci. Uważne, sondujące. Czegoś chciał, na coś czekał. Zawsze w jego obecności byłem powściągliwy i napięty.

Właściwie te prowokacje, podejrzane propozycje ożywiały w pewien sposób. Intrygowały i wciągały. Utrzymać się w nieszczerzej konwencji. Serdecznością odpowiadać na rzekomą serdeczność. Rodzaj hazardu z dreszczykiem.

Może oni wcale nie byli nastani. Kto wie?

Ale nieoceniony pan K. wywodził o czymś zupełnie innym. Podał truciznę w sympatycznym, lwowskim opakowaniu.

Trzeba brnąć dalej. W moich słowach zbyt wiele przesady. Jakież to grzęzawisko! Babska afektacja. Tu chodzi o precyzyjną analizę. Zimną dedukcję. Rozpoznanie najbliższego pola życia. Eliminację ewentualnych pułapek. Odkrycie zamaskowanego przeciwnika. Należy pracować beznamiętnie. Z ostrym lancetem przystąpić do operacji. Zdecydowane, głębokie cięcie. Odślaniamy chorą tkankę. Wycinamy złośliwą narośl. Czyścimy, zszywamy.

— A zatem Januszek? — Ten trop miałem w pogotowiu. Pojawił się znikąd.

Doskonale pamiętam: dzwonek telefonu, cienki, zamierający dyszkant w słuchawce, w tym głosie coś z pisklaka jeszcze nie wypierzonego, jest studentem pierwszego roku, pisze pracę seminaryjną o języku złodziejskim wczesnych opowiadań, czy może zobaczyć się z autorem.

Przyszedł. Wrażenie dobre, chudy, malutki, z nerwowym tikiem na wrażliwej twarzy.

„Większość ludzi w moim życiu pojawiała się znikąd” — pomyślałem. To jeszcze nie stanowi żadnego podejrzanego tropu.

Bogatą już miał drogę życia, działacz Solidarności, fabryczne miasto z dala od stolicy, internowany, świetnie o tym opowiadał, skromnie i rzeczowo, unikając ekspozycji swojej osoby, dawał natomiast szeroką panoramę ruchu społecznego w którym brał udział, krytyczne spojrzenie, żadnej hagiografii, portrety działaczy, atmosfera tamtych miesięcy, opis pobytu w więzieniu, ten drobny, chudy chłopaczek za kratami, nie chce podpisać „lojalki”.

Opowieść podnosiła na duchu, nie tyle fakty, ile sposób ich przedstawienia, interpretacja. Uznanie dla jego rzeczowości i wnikliwego spojrzenia.

Poczułem od razu zaufanie, jakbym go znał od dawna. Jola też. Na takich czasem się wyczekuje, działa tu mit o wspaniałym młodzieńcu, który właśnie pojawi się znikąd.

Wkrótce stał się bliskim nam człowiekiem i jego odwiedziny co najmniej raz w tygodniu były regułą, tempo tej zażyłości błyskawiczne, choć oboje z Jolą już nie byliśmy nadmiernie otwarci wobec ludzi, przyczyna zapewne tkwiła w jego uroku osobistym

i naszej potrzebie więzi z najmłodszym pokoleniem. Cały splot przyczyn, nuda starych znajomości, równocześnie trwała w tamtym czasie choroba naszego ulubieńca, kota Gacka, epopeja czuwania nad nieszczęsnym zwierzęciem, żeby sobie swym językiem szorstkim jak tarka nie rozlizał pooperacyjnych szwów. Januszek ofiarny w opiece nad kotem, miękko i czule powtarzał — Gacuuś. Czym zupełnie rozbroił Jolę. W sposób niezauważalny stał się domownikiem. Jola i ja, Gacek, nieszczęsny kot, weteran czterech operacji oraz sympatyczny student, nietypowy przedstawiciel młodej generacji, cichy i skromny, nie pałący i pozbawiony skłonności do napojów wysokokowych.

Właśnie! Byłem wtedy niewątpliwie w swoistym stanie osaczenia, równocześnie bardzo osamotniony. Wielu bliskich odsunęło się z powodu mojej sytuacji. Bali się najwyraźniej. Te inwigilacje, rewizje, ataki w prasie. Wtedy to *Żołnierz Wolności* tak namiętnie zajął się moją osobą. Nawet tak bliski człowiek jak Jurek wołał nie ryzykować... Przecież z tego powodu przestał u nas bywać. I nagle... pojawia się ten młody, uroczy chłopiec. To charakterystyczne.

Opustoszał dom w tamtym czasie. Dni były puste, głucho i jedyne niespodzianki miały charakter z góry wiadomy. Choćby ten ranek kiedy umówiłem się z kimś telefonicznie pod kolumną Zygmunta i rój tajniaków nie opuszczał nas przez kilka godzin. Starzy, młodzi, upozowani w różny sposób, jacyś zamyśleni na ławkach, młodzieńcy o sportowym wyglądzie, przechodzący w średnim wieku, zapatrzony intensywnie w wystawę sklepu z kosmetykami, ona i on, zbyt przesadnie manifestujący swoje uczucia. Byłem jak w sieci, przekazywany z ręki do ręki, to czuwanie miało charakter ostentacyjny, jawny. Przyzwyczałem się. Traktowałem osaczenie jako swoistą zabawę, kluczenie i wymykanie się pogoni, coś z chłopięcej zabawy w policjantów i złodziei. Jednakże facet z którym się umówiłem przeląkł się nie na żarty, wcale tego nie ukrywał.

— Mam chore serce — wycharczał, przelatując ze mną z bramy do bramy. Nie odezwał się nigdy więcej.

Inny znów kolega, jeden z niewielu wiernych, po przesłuchaniu na okoliczność podejrzanej znajomości wymyślił tak skomplikowany system hasel i sygnałów, że odtąd w żaden sposób nie potrafiliśmy się porozumieć.

Natomiast Januszek pojawia się i rzuca wyzwanie, wszystko czyni jawnie, bez najmniejszego kamuflażu; często dzwonił z akademika, też od rodziców z tego fabrycznego miasta, żadnej konspiracyjnej ostrożności.

Ostrzegalem go nieraz.

— Panie Januszku, tak nie można, będą nieprzyjemności, wezwania, zaczną maglować, kłopoty na uczelni. Niech pan uważa!

— Studiuję polonistykę i interesuje mnie literatura. Czy nie mam prawa? — Niebieskie, skupione oczy, drobna postura; wzruszający w nieprzejednanym uporze wobec zewnętrznego ciśnienia.

I tak swobodnie mówił o ubekach z czasu Solidarności, wtedy przyczajonych i niewidzialnych, którzy wraz ze stanem wojennym wyszli z podziemnych kryjówek; o wtyczkach w podziemnych strukturach, o podejrzanych typkach na uczelni. Chwilami mitygowałem go w tej rozmowności. Niech trzyma język za zębami. Ostrzeżenie to czyniłem z powodu podsłuchu. Odwiedził mnie jeden taki znawca, fanatyk cybernetyki, elektroniki, wszelkiej takiej nowoczesności; on w ogóle nie mówił, tylko pisał na karteczkach, które starannie palił. Cholernie męczące posiedzenie! Dopiero na ulicy wyłożył teorię o rozbudowanym podsłuchu, przenikającym mieszkanie. Wdał się w techniczne szczegóły. Naopowiadał także o jakichś supernowoczesnych japońskich urządzeniach, niemieckich aparatach i komputerach na wyposażeniu naszej służby bezpieczeństwa. Słuchałem jak magii, w problemach nowoczesnej techniki jestem ciemny jak chłop z epoki kurnej chaty i smolnego łuczywa.

— Nie żartuj sobie! — ostrzegął ekspert.

Januszek i to moje ostrzeżenie zbagatelizował lekceważącym gestem.

— Panie Mareczku... — tak pieścizotliwie zdrabniał moje imię.

Kiedy wyjechałem z Jolą na dziesięciodniowy wypoczynek on zamieszkał u nas, zajmując się kotem i pilnując mieszkania. Po powrocie zadowolenie Joli nie miało granic. Kot Gacek wyglądał świetnie, mieszkanie również nie sprawiało wrażenia brudnej, zapuszczonej nory. Januszek wkrótce poznał nasz najbliższy przyjacielski krąg. Wybitnego poetę, siwego księgarza, panią doktor na emeryturze, utalentowanego krytyka i noweliste, uczonego filozofa, specjalistę od Husserla i Ingardena.

Najbliższy krąg! — W tym tkwi istota problemu. Najbliżsi ludzie! Może to i prawda. Rozglądałem się przede wszystkim na zewnątrz. A to nowy lokator, blade oczy, opuszcza głowę, czy to ktoś z wiadomej branży. Ci z przeciwka, jeżdżą Polonezem, przyglądają się nachalnie. Także dozorczyńni nie uszła mojej uwadze, dobrodusznia, miła, kto wie, prowadzi dwóch elektryków z ADM-u do pralni, pralnia sąsiaduje z mieszkaniem, może to

ekipa z resortu, zakładają podsłuch. Tamten szalony znawca mówi również o podsłuchu ruchomym, zatrzymuje się samochód z odpowiednią aparaturą i słuchają, mogą z odległości 300 metrów wyrąbać, takiego użył sugestywnego słowa, każdy głos do szeptu włącznie. Toteż nieraz z niezdrową ciekawością lustrowałem samochody zaparkowane na ulicy. Może rąbią?... Długo jeszcze mógłbym ciągnąć ten wywód o diabelskiej technice, bebeszającej moje życie. O podejrzanym ludziach tak samo. Listonosz, świadkowie Jehowy... ten młodszy stopę za próg i napiera...

Najbliższy krąg znajomych pozostawiałem jednak w spokoju. Musiałem przecież mieć świadomość jakiegoś bezpiecznego oparcia, elementarną strefę normalności. Czy mogłem postępować inaczej?

Perfidna pułapka.

Przecież zatruwając wszystko, czułbym się wszędzie jak na polu minowym. Teraz nie ma nigdzie spokoju. Kto jest tym Judaszem?

On! Dzięki swym walorom osobistym, zdobywając nasze nieograniczone zaufanie i opiekując się mieszkaniem, mógł do woli buszować po wszystkich szufladach, półkach i szafach. Mógł osiągnąć większe rozeznanie niż ja nawet, przecież już gubiłem się w tych swoich szpargałach! Mógł nawet... zamontować jakieś urządzenie techniczne, podsłuch...

Poszedłem do kuchni. Zająłem się parzeniem herbaty.

Po powrocie z urlopu Jola spostrzegła ślady przewracania papierów na swoim stole. Tam między innymi znajdowały się akta jej klienta, Adama, jednego z 11-tki politycznych. W tym względzie posiada niezachwianą pewność. Również stosik kaset magnetofonowych był poruszony. Musiały być przegrywane. Jednej brakowało. Znalazła się dopiero podczas sprzątania pod stołem. Zarejestrowała powyższe fakty od razu po powrocie. Jednak żadnych wniosków nie wyciągnęła. Dopiero później nabrały dla niej znaczenia. Kiedyś też siostra nadmieniła o rozmowie telefonicznej z Januszkiem. Natarczywie począł się dopytywać o jej nazwisko. Wtedy odpowiedziała pytaniem: — A ja z kim mam przyjemność?

Znaki zapytania mnożyły się coraz gęściej. Obrastał Januszek mglistą pajęczyną podejrzeń. Dosyć! To niemożliwe!

„Żeby tak Gacusz mógł mówić” — przemknęło bezradnie. No tak. Kot jedynym świadkiem w tej sprawie. Januszek! To chucherko, pisklak jeszcze nie opierzony ostatecznie. Naprawdę budził opiekuńcze odruchy. Sympatię z powodu skromności, delikatności w zachowaniu. Uznanie dla jasności rozumowania, precyzyjnej sztuki formułowania swych poglądów i bogatego mimo

wieku bagażu doświadczeń. Oto przedstawiciel młodego pokolenia, które nie poddało się sowietyzacji. Pokolenia dojrzewającego podczas Solidarności. Chętnie umieszczaliśmy go w portretowych ramach optymistycznej typowości. Fascynująco opowiadał jak go namawiali do podpisania „lojalki”. Rodziców napuścili. Ojciec podczas widzenia tak do niego — Co masz się męczyć, chodzi tylko o to, żebyś wyszedł z więzienia.

— Niech tato przestanie! — wybuchnął wtedy. Ojciec opuścił głowę. — To pomysł matki — dodał.

Siłę dramatu miała ta scena w więzieniu. Nieugięte następstwo pokoleń. Od XIX wieku poczynając. Później ci spod znaku Piłsudskiego. Powstańcy z Warszawy. Teraz Januszek i inni. Czy ta wysoka ocena nie była mitologią przypadkiem? Takiego sobie wyimaginowałem anioła, obdarzyłem niepokalanie białymi skrzydłami i z lubością wsłuchiwałem się w ten furkot. Kreacja czystej młodości niby balsam na stargane obolałe nerwy. Także rekompensata za własną dosyć brudną młodość. Może wpadłem w banalną zasadzkę.

Ale dlaczego właśnie w najtrudniejszym okresie... kiedy to bezpieka nie mogła już znieść tego pisania i drukowania Raportów. Więc dlaczego akurat wtedy pojawił się ten zagadkowy młodzieniec. Nagle pisze pracę o mnie! Dobrze sobie! Od dłuższego już czasu nie bywali żadni studenci. Tymczasem chłopak z prowincji, ciężko doświadczony, z takim trudem dostał się na studia, mimo tego nie bacząc na ewentualne konsekwencje wdaje się w taką znajomość. Mało! Ostentacyjnie afiszuje się tą znajomością, dzwoni, przychodzi... Czy to nie jest zastanawiające?

Siedziałem przy stole. Szare niebo w oknie.

Cóż w tym nadzwyczajnego.. Zwykła kolej rzeczy. Przyszedł i zaprzyjaźniliśmy się... Nie dajmy się zwariować! Co za idiotyzmy wyprawiam z tym chłopakiem! To czysty nonsens, miazmaty chorego umysłu!

Zniechęcony, chcę zaprzestać dalszego wywodu. Myśli biegną jednak swoim torem.

Drażę więc nadal przypadek niepokalanego młodzieńca, nabiera nieznanych dotąd cech. Przepoczwarza się w groźnego przeciwnika z tamtej strony. Czy to nie jest paranoja? Fale ciepła, sympatii zanikają. Pozostaje obca, lodowata przestrzeń. Powiało sowdepią, wiecznym strachem, donosami, zdradą i prowokacją. A dlaczego nie pokazywał się tak długo po moim aresztowaniu?

Po moim aresztowaniu Januszek nie pokazał się przez dwa tygodnie. Jola już się zaczęła o niego niepokoić. Może ma jakieś przykrości. Wysłała jednego z naszych przyjaciół do akademika na poszukiwanie. Znalazł go tam bez trudności. Swą nieobecność

wytłumaczył chorobą. Krwotok, anemia, tak powiedział. Rzeczywiście blady, wynędzniały.

Czy przy anemii może być krwotok?

Ta ostatnia rewizja była niesłychanie dokładna. Tyle książek, papierów, listów wygarnęli. Stwierdzam ten stan rzeczy i czuję jak rośnie we mnie ciemna nieufność. Opanowała myśli. Nieustannie wibruje.

Również wszystkie kasety zabrali.

Trzy razy w ciągu roku wyjeżdżaliśmy i trzy razy przebywał w naszym mieszkaniu. Patrzą w okno pełne burego nieba. Ale mnie wzięło. Ktoś, kto trzy razy przebywał po ileś tam dni w mieszkaniu, mógł dokładnie przekopać te latami składane stopy manuskryptów, kalendarzy, notatników, listów. Mógł doskonale zorientować się w tym wszystkim. Spokojnie przygotował pole do ostatecznego uderzenia.

Mam jeszcze jedną kartę z tej partii. Facet był tęgi, siwawy. Zasapał się na schodach. Oddychał nierówno. Otarł pot z czoła. Wyrażnie zdenerwowany. Znalazł numer telefonu w książce. Zadzwoił z automatu, sprawdzając czy jestem. Fakt. Kwadrans temu miałem taki głuchy telefon.

— Z wiadomych powodów nie chciałem się przedstawić.

Przybył z fabrycznego miasta C.

— W sprawie... — wymienił imię mojego młodego przyjaciela Januszka.

Ostatnia książka, swoisty notatnik, w którym spisałem również rozmowy z Januszkiem, ukazała się drukiem w podziemnym wydawnictwie i dotarła do C. niedawno. Siwy przedstawił się jako działacz z tamtego, sierpniowego okresu, występował także w relacji. Stropiłem się nieco. Jego sylwetka została przedstawiona przez Januszka z silną niechęcią i dosyć wiernie ją zapisałem. Wtedy podzielał na mnie sugestywny tok narracji rozmówcy i starałem się zachować ostre oceny ludzi o których opowiadał. Rozmowy z J. pulsowały autentycznym życiem, wskrzeszały spontaniczny nastrój tamtych dni, gąszcz wydarzeń, tłum obudzonych z beznadziejnego letargu ludzi.

Ze swego zapisu byłem zadowolony. Dałem do poczytania J. Nie zgłaszał żadnego sprzeciwu. Przybyły niespodzianie gość przedstawił odmienną wersję zapisanych wydarzeń. Z tego co powiedział powstało inne malowidło. Też sugestywne. Najważniejsze jednak były dane dotyczące samego Januszka.

— Operuję tylko faktami — zaczął wyłuszczać swoje zarzuty siwy.

Januszek przesadnie przedstawił swój udział w ruchu sierpnio-

wym. Nie był działaczem. Nie dostał się na studia i podjął pracę. Wybuch strajków i powstanie nowego związku spowodowały nagłą potrzebę zatrudnienia w zarządzie regionu ludzi jako tako obeznanych z pracą biurową. Januszek odpowiadał tym wymogom i został etatowym pracownikiem Solidarności. Następnie korekturze uległ czas jego pobytu w więzieniu. Przebywał tam znacznie krócej niż sam podał. Siwy zaprotestował również przeciwko anarchicznemu obrazowi sytuacji w regionie. Sugerował świadomie złe intencje Januszka.

— Można snuć różne przypuszczenia co do jego pobudek... — oddychał ciężko i pot nadal występował mu na czole. Był po zawale.

Zaproponowałem herbatę. Poprosił o bardzo słabą. Długo trwała ta rozmowa. Siwy działacz sprawiał wrażenie człowieka rzetelnego i głęboko przejętego.

— Nie tylko z pobudek osobistych — oświadczył. — Dlaczego on się do pana zgłosił?... Siedział pan później, prawda?

Użył słowa — „zgłosił się”. Ciekawe.

Najwyraźniej zestawiał te dwa fakty i próbował wyciągnąć jakiś wniosek.

Z kolei zapytałem go, czy nie wie, w jaki sposób Januszek wyszedł z więzienia i jak dostał się na studia.

— Nie interesowałem się tym chłopcem dopóki nie przeczytałem pańskiej książki — odparł.

Raczej nie miał do mnie żalu. Już ochłonął. Januszek był jego zadrą.

— Dlaczego tak negatywnie wyrażał się o mnie? — zastanowił się. — Przecież nie dałem mu żadnych powodów.

Wysoki, barczysty, o regularnych rysach twarzy; siwa, bujna czupryna. Przyjemnej, ujmującej powierzchowności mężczyzna w średnim wieku. Czy to już wystarcza? A może ten człowiek niekorzystnie przedstawiony przez Januszka, odplacił mu się tym samym. Dał negatywny wizerunek jego osoby. Rewanż, to wszystko. A Januszek? Młody chłopak. Po prostu takim chciał się widzieć! Działaczem o monolitycznej, twardej przeszłości. Stworzył bezinteresowną mitologię na swój temat. To takie przyjemne. Dostyc często można się z tym spotkać. Czyżbym już zapomniał jak barwnie i romantycznie przedstawiałem swoją młodość? „Apaszem Stach był, w krąg znały go ulice...”.

Jednak nie mogę ustąpić. W relacji tego człowieka Januszek krócej internowany niż sam mówił i nie był działaczem.

Januszek przysłany w celu pozyskania zaufania i sympatii. Tą drogą miał zdobyć informacje o moim życiu i działalności. Te dni, tygodnie, kiedy przebywał sam w naszym mieszkaniu. Przeglądał,

może nawet spisywał jak archiwariusz notatki, rękopisy, listy, adresy. Odbierał telefony od ludzi, których nazwiska skrzętnie notował. Poznawał wielu z nich osobiście. Sporządzał charakterystyki, cytaty z wypowiedzi. Doskonała penetracja życia i działalności pisarza zajmującego się sporządzaniem opracowań szkalujących władze PRL i przedstawiających w sposób fałszywy naszą rzeczywistość, następnie wysyłającego te wredne opracowania do wrogich ośrodków za granicą celem ich rozpowszechniania i publikowania.

Tak to z grubsza biorąc brzmiały zarzuty przedstawione mi przez prokuratora w gmachu MSW. Opracowaniami nazwano wtedy moje książki i w ten zaskakujący stylistycznie sposób skończyła się wreszcie niejasność statusu nałogowego zaczerpniaacza papieru w niewiadomym celu. To na marginesie tylko. Czy tak nie mogło być? Mały, drobny Januszek stał ciągle w charakterze oskarżonego. Już zmieniony nie do poznania. Jego twarz nie budziła żadnej sympatii. Chuda, napięta, gryzoniowata. Ponure, czujne oczy. Ani śladu ciepła, serdeczności, jedynie zimna przenikliwość; czasem nienawistne błyski zapalały się w oczach mojego ulubieńca. Drapieżny. Niebezpieczny. Ponadto zaginęły mi dwa notesy z zapisków zebranych dawnego zarządu ZLP.

Same niejasności. Akurat w kuchni zawył czajnik. Była chwila przerwy, związana z przygotowywaniem następnej porcji herbaty.

Po brunatnym, mocnym naparze poczułem przypływ inwencji w wiadomym kierunku.

A ten trzeci? Znajomość bardzo dawna. Pisał pracę magisterską o mojej twórczości. Przybył złożyć wyrazy uznania. Spodobał mu się pozornie egzotyczny koloryt moich opowiadań, język, obyczajowość. Całe to życie pełne przygód i ostrych konfliktów. Ten naskórek wydawał mu się fajerwerkiem dramatycznych zdarzeń, pełnią męskiego życia. Zapewne nudził się dotkliwie i złodziejsko-podmiejskie obrazki zwiodyły go swą intensywnością. Przyjąłem pielgrzyma gościnnie. Był gadatliwy i pogodny. Z ochotą udawałem przy nim jednego z bohaterów moich opowiadań. Czy udawałem? Też przecież po omacku szukałem dla siebie miejsca w życiu. Nieważne. W każdym bądź razie przyłgnął do mnie z impetem. Również twórczość Stachury pociągała go mocno. Typ chłopaka na szlaku, poszukującego w wędrowce sensu istnienia, przyswojony został przez chłonnego magistranta nader starannie. Ubierał się, kopiując wygląd zewnętrzny bohatera prozy Stachury, farmerki, wędrowne buty na grubej podeszwie, chlebak; tak się nosił. Po studiach rozpoczął pracę, redagował fabryczną gazetę. Dochrapał się kierowniczego

stanowiska w resorcie kultury na szczeblu powiatowym. Przeistoczył się szybko w socjalistycznego menadżera. Biała koszula, krawat, garnitur, teczka typu walizkowego. Przybyło mu tuszy i pewności. Przyswoił sobie pragmatyczny program wspinania się po szczeblach kariery. Były to lata gierkowszczyzny w zenicie, pełne inwestycji, kredytów, produkcji malucha, dóbr z importu, dacz i pałaców, wojaży w kapitalistyczne strony. Całego tego pomieszania pojęć i stylów, pazerności, obłudy, cynizmu, płycizny duchowej i wszechogarniającego materializmu. Mój magistrant poczuł się niezłe w tym żywiole, twarz nacechowana energią i dosytem, oko cwane, bystro obmacujące rzeczywistość. Kalkulacja rzeczowa, najchętniej oparta na cyfrach. Ostateczne pożegnanie mglistego romantyzmu młodości. Bardzo rzadko widywaliśmy się w tamtych czasach. Renesans tej starej znajomości nastąpił od stanu wojennego. Znów garnąc się zaczął z dawną natarczywością. Raport o stanie wojennym bardzo mu się spodobał. Dorzucił swoje obserwacje z życia biur i urzędów, rewiru znanego mu doskonale.

— To musi ci się przydać! — mówił z zapałem. — Napisz o tym koniecznie!

Coraz serdeczniej okazywał swą przyjaźń. Dzwonił co dzień. Czytywał przez telefon co cenniejsze fragmenty z gazet partyjnych, gdzie obrabiano mnie już ostro jako wroga ustroju. Czytywał te bzdury z dziarską, satyryczną swadą, lekceważąc zainstalowane już na dobre resortowe ucho. Pakował się z impetem do niebezpiecznego gniazda. W istocie moje mieszkanie stało już wtedy na niepewnym gruncie. Permanentny podsłuch telefoniczny, inne luksusy.

Pewien Holender zadzwonił, przyszedł. I co? Ledwie wyszedł i capnęli go od razu.

Albo ten drugi!

Tak było.

Fiaty zaparkowane pod domem. Przeważnie trójki dorodnych, wąsatych nicponiów w tych samochodach. Sportowi młodzieńcy w dżinsach i adidasach spacerują po podwórzu. Atmosfera gorąca jak w powieściach sensacyjnych o tropieniu agentów C.I.A. i Gehlena, publikowanych przez wydawnictwo MON-u.

Poczułem się w tamten gorący czas osobą naprawdę ważną w sensie społecznym. Intensywniały dni, znacznie mniej bez nadziei. O ileż jednak łatwiej, prościej poradzić sobie z tymi zwykłymi tajniakami. Obstawiają, tropią, węszą. Czujesz i widzisz ich wokół siebie. Ich ślepie obmacują twój kark. Oddechy parzą twój kark. Ale przecież dalej czujesz się wolny, suwerenny. Podobnie podczas przesłuchania. Sytuacja klarowna, oczy-

wista. Biurko dzieli dwie strony. Nic nie mąci jasności obrazu. W przypadku, który rozważam granica między dwiema stronami zostaje zatarta. Nic nie jest jasne, pewne, wszystko podszyte sekretnym, odmiennym sensem. Kapuś, delator, informator, jak on tam się zwie, przenika przez wszystkie bariery ochronne, dociera do duszy samej.

Wracam do zasadniczego wątku. W tym coraz ciśniejszym azylu mego życia, odrutowanym nieustanną kontrolą, on, dawny magistrant z prowincjonalnej uczelni, gierkowski menadżer i członek rządzącej partii, czuł się jak beztroski, wolny ptak. Dlaczego z uporem laźł w samo oko cyklonu? Co nim powodowało? Bezmyślność, nagle obudzone poczucie lojalności, protest przeciw niewoli?

Nie przyjmował do wiadomości żadnych ostrzeżeń i ciągle obsypywał dowodami swej serdeczności.

W podległym sobie przedsiębiorstwie posiadał obfite zapasy papieru toaletowego. Znosił w prezencie całe wieńce tych rolek. Zapas na rok na pewno przy dużym nawet przepuście. Również ryzy papieru do pisania. Żyłетки, mydło. Wcale nie błahe dowody serca. To były artykuły codziennego użytku niedostępne wtedy w sprzedaży.

Zastanawialiśmy się z Jolą nad zagadką powrotu do młodzieńczego przywiązania. Nowy etap zatrzęsł sumieniem, odrzucili go jak kundla, popełnił jakieś przewinienie, nie podołał podwyższonym wymaganiom? Nic nie wiadomo.

Idylla naszej serdeczności została wreszcie zakłócona brutalnie. Podobno wezwała go bezpieka. Odbłyło się przesłuchanie na okoliczność bliskiej znajomości z opozycjonistą. Przybrało charakter szantażu. Proponowali obywatelskie usługi. Rozmawiał z nim starszy pan o dobrotliwych oczach. Stos papierów na biurku. Przewracał w nich sugerując obfitość dokumentacji w sprawie. Za jego plecami w oszklonej biblioteczkę komplet moich książek, zarówno naziemnych jak podziemnych. Lekkomysłny mój adorator, dla porządku nazwijmy go G., odmówił współpracy. W rezultacie zajęli się nim z całą surowością. Zabrali paszporty. Wraz z żoną wybierał się do Anglii. Partia cofnęła tzw. rekomendację. Stracił kierownicze stanowisko. Dalej reakcja lawinowa. Wyrzucony z partii. Zwolniony z przedsiębiorstwa. Szuka nowej pracy i pozostaje ze mną w wiernym związku. Po dawnemu beztroski.

I teraz zadaję pytanie, logicznie wynikające z podanych wyżej przyczyn: — Czy jest nasłany? Czy wszystko to nie jest zręczną mistyfikacją dla uśpienia mojej czujności? Zakonspiro-

wany stróż mego życia. Musi być wytrwały, odporny na afronty. Taki jest. Nieraz zamykałem mu drzwi przed nosem, zniecierpliwiony jego natarczywością. Pełno go w tych ostatnich miesiącach.

Oto stoi w drzwiach.

— Ja tylko na chwilę! Zobaczyłem światło w twoim oknie.

Skąd ten nawrót przyjaźni. Inni się oddalają, uciekają. G. coraz bliżej. Wścibski, ciekawy. Omiata spojrzeniem papiery, gazety, książki. A co to? Skąd? Bezmyślne oczy, blada twarz. Ruina kariery niewiele go zmartwiła. Lekko potraktował zemstę bezpieki. Pokazywał ze swoistą dumą decyzję o odebraniu paszportu, papierek zawiadamiający o usunięciu z szeregów partii. Dokumenty, papiery! Mogą być przecież fikcyjne.

Nie pasuje do wizerunku perfidnego informatora. Musi to być ktoś znacznie większego formatu. A może tylko udaje głup-taka.

I znów B. W tym przypadku jest przecież konkret w postaci tego cholernego listu. B. odpowiada kryteriom większego formatu. Inteligencja, wiedza, pasja. Tyle lat. Tydzień bez B. już odczuwany dotkliwie. Kogoś brakowało. Przychodzi. Wieści z miasta. Wrażenia z lektur. Coś pisze. Fascynująco o tym opowiada. Rośnie elektryczność. Też opowiadam o swoim pisaniu. Czytam. Czekam na opinię. B. obdarzony słuchem nieomylnym. Wyławia mielizny. W lot chwyta intencje. Żywe, pełne najwyższych obrotów myśli i wyobraźni posiedzenia. Szeptem na boku zwierzamy się ze swoich przygód. Chichoczymy, porozumiewamy się skrótami. Poruszyłem się gwałtownie. W tym liście-donosie passus piętnujący moje romansiki, kochanki. Kto mógł o tym wiedzieć? On miał największą szansę. Mógł swobodnie wleźć w wiele zakamarków mego życia. Buszować w nich do woli! Do wody! Jakże dowody? Przeczucia, rosnąca nieufność.

Zobaczyłem go w roli nastanego penetratora. Odkrywa moje zamiary, pragnienia. Chwyta najtajniejsze myśli. Tak. Odpowiada wysokim wymaganiom. Słabości, próżność i egoizm czynią go idealnym modelem do obróbki. Taneczny płas, kolorowe piórka. Tyle lat unikał ciężarów, obowiązków. Wolnej przestrzeni jednak już coraz mniej. Reflektory ze strażniczych wież docierają nawet w odległe zaułki. Spacerowe korso coraz ohydniejsze, obcasiki zanurzają się coraz głębiej w gównie.

— Beznadzieja i nuda — powiadał B. z tą charakterystyczną, dobitną dykcją.

Mierzi go szara nasza obozowa rzeczywistość. Kurczy się obszar wolnych, przyjemnych doznań. Narcyz i esteta krzywi się z niesmakiem.

Drapnęli takiego w swoje łapy i powiedzieli bez ogródek: — No to wpierdoliłeś się koleś! Ciężka sprawa! Rozpocznaj umiejętną obróbkę. Huśtawkę ordynarnego szantażu i wykwiintnej konwersacji.

— Wiemy wszystko. Drukujecie te swoje historyjki w piśmiech subsydiowanych przez antysocjalistyczne ośrodki. Za granicę chcecie wyjeżdżać, uroków świata zażywać. Możecie, dlatego nie. Talent potrzebuje powietrza. My nie hamujemy rozwoju talentów. Przeciwnie. Pragniemy pielęgnować, pomagać. Wszystko możecie, ale!...

Czy jak go drapną i tak powiedzą, to nie popuści?

Ten delikacik, próżny i miękki, pozbawiony koniecznego hartu, tak niezbędny w tym sowieckim folwarku.

Popuści, musi popuścić. Nerwy nie wytrzymają, wyobraźnia domaluje resztę. Egoistyczny rachunek kosztów i strat uzasadni decyzję. Dokument z jego podpisem powędruje do metalowej szafy, pomalowanej na zielono. Pozostanie tam na zawsze. Pewność na kształt rozwiązane równania z algebry.

Nastąpiło trzecie parzenie herbaty.

Chwileczkę! Dlaczego niby B. mieli dopaść. Dlaczego on ma być ich sługusem. Gdzie tu fakty, żadnych nie ma faktów. Rozpływa się rzekome równanie, nic w ręku nie pozostaje. Wymagowana rozmowa brzmi jak stereotyp wciągania do kapusiowskich usług jakiegoś sutenera, waluciarza, kombinatora. Tropem starych doświadczeń ruszyłem. To nie odpowiada żadnej prawdzie. Prawdzie osobowości B. Prawdzie naszego życia... Już bardziej Januszek. Cherlawy chłopiec znikąd. Oczy złe, zimne. Kotłuje w nim kocioł kompleksów. Zawiść, prowincjonalna zachłanność, wiele przedczesnej goryczy, niewiara w sens prawdy, niezłomności, walki. To puste pojęcia dla niego. Świat i ludzie jawią mu się jako targowisko. To on mógł napisać rzekomy list B. Znał go.

— Po prostu... — jak mawiał pewien chłop z suwalskich jezior, żołnierz dwóch wojen, rybak-odludek — świat to jest bładak i ludzie są bładzie.

Zachwycał się Januszek tą sentencją. Nihilizm wziął przewagę nad czystymi, młodzieńczymi marzeniami. Sukces, uznanie, pieniądze. Jak to osiągnąć? Dławi go brak perspektyw. Oni mu powiedzieli po ojcowsku: — Chce pan być kimś, młody człowieku? Posiada pan wszelkie dane po temu. Zdolny, mądry, pracowity. Taki w dodatku ambitny, ale?

To ale zawiśło groźnie nad jego głową.

Wreszcie ten ostatni. Niech pozostanie G. Szary i nalany.

Puste oczy. Należy do wielotysięcznej rzeszy marzycieli o upragnionym komforcie. Odpowiada mu dyrektorskie stanowisko. Należy ono do komfortu pragnień. Tyle lat się wspinał po szczeblach i nagle ma to stracić!

Dowody. Jakie tam dowody! Tu się liczy intuicja.

Osaczyli mnie we trójkę. Obserwują drapieżnymi oczyma. Trzy sępy czekają na padlinę. Każdy ruch, gest, słowo podlega kontroli. Penetrują moje szuflady, maszynopisy, listy. Wszystko w ich brudnych paluchach. Bebeszą cudze życie jak starą, poprutą kołdrę. To oni! Widziałem ich w służbowych chwilach. Ja — Raport o stanie wojennym. Oni — raporty o autorze. He, he!

Otrzymują kolejne polecenia i skradają się wokół. Wyciągają swoje łapy, obmacują kieszenie...

Moja intuicja. Tak się tą właściwością szczyliłem. Nie zawiódła wiele razy. Nieraz zjawiali się w moim życiu rozmaici ludzie, polecano ich gorąco. A ja czułem jakiś podejrzany zapaszek. Nie potrafiłem tego wypowiedzieć. Brakowało faktów, dowodów. Czułem jednak ten zapaszek. Zgnilizny, kłamstwa, ohydy. Nagła odsłona, przypadek, zbieg okoliczności i potwierdzały się moje niechęci. Gnidy udające aniołów. Tchorze przebrani za bohaterów.

Ślepy eks-doliniarz Zajdel postukiwał białą laską, przemierzając ulice miasta. Pewnego razu pomógł mu zejść schodami do podziemnego przejścia życzliwy człowiek. Był to tajniak przypadkiem. Zajdel z jego pomocy skorzystał i dopiero na ostatnim stopniu schodów, oświadczył ze wstrętem: — Czuję psa! Czuję psa! — Przeciągnął tajniaka białą laską po grzbiecie. Ja też czuję psa. A fakty?

To uczciwi i wartościowi ludzie. Nie omyliłem się w ich wyborze. Lojalni i wierni. Oddani moi druhowie. Pełni najlepszych intencji. Nieraz dawali tego dowody. Chuderlawy student, gotowy do wszelkiej pomocy, taki bezinteresowny, nad wiek dojrzały, moralnie okrzepnięty. Były redaktor, utalentowany prozaik i eseista, wnikliwy badacz mego pisarstwa. Trzeci, poczciwy, dosyć ograniczony, uczciwość i dobra wola, w najgorzszych czasach niby wierny druh pojawiał się u drzwi. Moja chora, azjatycka wyobraźnia upaprała ich w wymagowanym brudzie. Tylko dewiacji psychiki należy przypisać dzisiejsze dochozienie.

Okrutnej zostali poddani próbie trzej moi przyjaciele.

Krzywdzę ich i ranię. Kalam ich cześć i dobre imię.

Może to konieczny, zdrowy zabieg. Otworzyć śluzy, wypuścić cuchnącą ciecz.

Intuicja, bladź zawodna! *Grisza, ja тебе skažu...* Wyobra-

ziłem sobie taki obrazek. Siedzą sobie dwaj. Nie! Siedzimy sobie dwaj. Ja i on.

— *Grisza...* — powiada on — *ja tiebie skazu adin siekriet...* Sprzedałem ciebie! Bij, zabij! — zawył i zapłakał. Objąłem go i płakaliśmy obaj. Ale który to jest? Który z nich. Dlaczego ja jestem *Griszą*? Skąd się wziął ten *Grisza*?

Wschodni, cuchnący zdradą i masochizmem obrazek. Carem i Bogiem tego podziemia ludzkiego upadku był Fiodor Dostojewski. Nikt taki nie objawił się dotąd i nie zaczął tymi słowy: *Grisza, ja tiebie skazu...* Milczą. Mój nieznany bracie! Ściągnij wreszcie pończochę. Odłoń swą twarz. Brednie, brednie...

Zmęczony jestem, boli mnie głowa. Wychowany w niewoli. Mało czystego powietrza. Jeszcze mniej wolności. Nieufność i wszelką z niej zrodzoną zarazę wyssałem od kolebki. Tak mało prawdziwej, smągłej swobody. Już nie ma rezerw. Najlepiej kołło wędrowanie po górach. Pamiętam: Bieszczady. To były najpiękniejsze obszary górskiej, porośniętej puszczą swobody. Szło się i szło. Ani domu, człowieka. Nic. Bukowe ostępy, wąwozy, kotliny, połoniny. Zakola Sanu, dzikiej, porywistej rzeki. Szumi woda po kamieniach. Jeleń susami popędził po zboczu. Parłem uparcie pod górę. Czułem się wolny i lekki. Ziemia niczyja. Przeszła przez nią nawałnica krwawej wojny, wysiedlono ludzi. Pozostała górska, leśna dzikość. Rozległe łąsiny połonin. Widok rozległy i oszałamiający Najwyższe góry. Halicz, Tarnica. Dalej Gorgany. Jeszcze dalej kryje się Czarnohora w sienie mgły. Wspiąłem się na wielki, omszały kamień i zwijając dłonie w trąbkę, zawołałem: — A hoj! A hoj! Był to moment uniesienia. Minął. Przyszła niedobra myśl. Patrzyłem przecież w kierunku wschodnim. Znajdowałem się kilometr od granicy. Dalej już tamta strona. Żłudny smak swobody! Dalej graniczne zasieki, strażnice, kulomioty wycelowane w tę stronę. To wszystko było ukryte w pozornej pustce. Na pewno widzą mnie doskonale. Obserwują. Uniesienie zgasło bez śladu. Ociężałe ruszyłem w powrotną drogę ku zachodowi. Pozory. Same tylko pozory. Jeszcze morze. Lubiłem jeździć na wybrzeże. Siadałem na brzegu i oglądałem statki stojące na redzie. Przymykałem oczy i płynąłem trampem, tankierem, frachtowcem gdzieś w nieznanne. Szum fal, zapach jodu, gnijących wodorostów. Nędzny to bilans. Czy można być wolnym człowiekiem? Podanie o paszport i odmawiają z przyczyn określonych w artykule 4, punkt 1, paragraf jeszcze jakiś. Popłyniesz tym frachtowcem przez nieznanne morze, opłyniesz nieznanne lądy! Garb pochyla plecy, mózg pełen czadu. Nie wstydę się tego wcale. Sieroce rozrzewnienie dopada nawet w późnym wieku męskim.

Tak. Intuicja to właściwość bardzo zawodna. Powrót do niedawnego pobytu w więzieniu. Przewodniczka z jednej celi do drugiej. Tam często przenoszą. O niewiadomej porze dnia i godzinie. Uchylają się drzwi celi i klawisz oznajmia: — Spakujcie się!

Pakowałem się pospiesznie. Koc, miska, poduszka, cały skromny dobytek więźnia zwinąłem w tobół. Serce biło przyśpieszonym rytmem. Zawsze kołające nadzieja. Może to na wolność?

Wyprowadzono mnie w porze poobiedniej i znalazłem się samotny w celi po drugiej stronie korytarza na tym samym piętrze. Musiały tu przebywać kobiety, gdyż w strefie kibla i umywalki zachował się strzęp kotary. Nowa cela była gorsza od poprzedniej. Za oknem budynek gospodarczy i dochodził stamtąd natargczywy nieustanny szum. Jakiś agregat. Wentylator, chłodnia.

Dalej widniał więzienny mur z wieżyczką strażniczą. Za murem rząd kamienic, zamieszkałych przez wolnych ludzi. Widoczne najwyższe piętra. Balkony, wietrzą pościel, mający jakaś sylwetka. Kobieta, mężczyzna. Przed wieczornym apelem przybył drugi więzień. Też przeniesiony z innej celi. Na imię miał Robert.

— Mówi się na mnie Robi — powiedział.

Przebywał tutaj dwa miesiące dłużej. Oskarżony o przestępstwa gospodarcze. Był jednym z trzydziestu uczestników rozgłębionej afery budowlanej. Chodziliśmy po celi na cztery kroki między piętrowymi pryzcami i Robi opowiadał o swojej matce, której nigdy nie widział, zmarła bowiem przy połogu, o swoim ojcu, który zginął podczas wojny, o trzech żonach, teściach i szwagrze wariacie. Opowiadał o przeżyciach wesołych i smutnych z jednakowym spokojem, zabarwionym lekkim cynizmem człowieka doświadczonego i na wiele przygotowanego. Kompanem w niedoli okazał się znakomitym. Obdarzony był imponującymi zdolnościami manualnymi i sporządzał popielniczki z miękkiej blaszki po paście do zębów, noże do krajania chleba, palniki z puszek, opatrzone knotami z prześcieradła, paliwem był smalec lub margaryna. Gotowaliśmy na takim palniku herbatę, odsmażaliśmy kluski z obiadu i potrawa ta miała smak naprawdę domowy. Trzeciego dnia Robi pociął na niewielkie pasemka kawałek koca służący do froterki, pasemkami tymi podbił metalowe nogi stołków, co pozwalało przesuwac je bez denerwującego zgrzytu. Potrafił łagodzić dokuczliwość więziennego życia, a nawet osiągać pewien komfort. Mógłbym wymienić jeszcze wiele jego osiągnięć. Igły i szydła z drutu, karty do gry z pocztówek, kostki do domina z roztopionego plastyku i krzyżyki z drzewa, odłupywanego z blatu stołu, podnoszące na duchu ludzi religij-

nych. Jego talenty dziwiły mnie chwilami. Takie umiejętności przecież osiągnane są tylko przez starych więźniów. Robi siedział już przed laty i dawne doświadczenia odżywały w potrzebie. Tak to wytłumaczył. Przypadliśmy sobie do gustu i chętnie ze sobą rozmawialiśmy. Wspominałem swój zamierzchły termin więzienny na Geśiówce, Robi zaś wyrok sprzed dziesięciu laty za fałszerstwo dolarów. Był także pierwszym słuchaczem moich historyjek, które pisywałem dla zabicia czasu. Szanował tę pracę — zabawę — sposób przeciw nudzie i kiedy tylko zaczynałem pisać, usuwał się gdzieś w kąt. Wyręczał mnie wtedy w pracach porządkowych. Zapewniał warunki konieczne do pisarskiej pracy. Wieczorami po zgaszeniu światła graliśmy w inteligencję. Wymienialiśmy według alfabetu nazwy miast, gór i rzek, krain, sławnych uczonych, polityków, wodzów. Robi erudycję miał rozległą w tym zakresie i walczyliśmy o prymat w tej grze. W międzyczasie do naszej celi przybyło jeszcze dwóch więźniów, młody matematyk i działacz Solidarności z kombinatu metalurgicznego ze Śląska, oni jednak nie dawali nam rady. Najbardziej polubiłem te ostatnie, przedsenne opowieści Robiego o jego życiu na wolności. O miłostkach i hulankach. O tym jak popijali w pewnym motelu nad jeziorem i jednego z nich nasza ułańska fantazja: wierzchem na wypożyczonym od wieśniaka koniu wjechał do knajpy.

Zaistniało coś między nami, co nieczęsto zdarza się mężczyznom w wieku dojrzałym. Coś co można nazwać początkiem przyjaźni. Rozumieliśmy się już bez słów i szanowaliśmy swoje potrzeby ciszy, samotności, głębokiego zamyślenia. Robi często zapadał w letarg. Siedział na łóżku i wystawiał twarz do okienka, przez które docierały po obiedzie promienie słońca. Plażą nazywał ten czas i przyrywał oczy. Twarz stawała się surowa, zamknięta i postarzała. Kiedy indziej znów wdrapywał się na stołek pod okienkiem i stał tak długi czas. Ocknąwszy się, poczynął karmić okruchami chleba gołębie. Przylatywały od razu trzepotliwym stadkiem. Wśród nich Robi wyróżniał trzy swoje ulubione. Przemawiał do nich trzepotliwym, gruchającym głosem. Kanciasy, Czarnuszek, Agresor. Tak się nazywały. Poznawały swego karmiciela. Czarnuszek zbierał okruchy z jego dłoni. Agresor pozwalał się gładzić po czubatym łebku.

Czemu to mnie nie dziwiło. Tak krótko jest tutaj i tak oswoił te więzienne ptaki? Przedtem siedział w celi po tej samej stronie korytarza, tylko piętro niżej. Mógł więc.

Wzruszała mnie ta ludzko-ptasia przyjaźń i cytowałem starą piosenkę „Przyleciał do mnie na kraty przyjaciel mój szary, skrzydlaty, spojrzął na nędzne me szaty, odleciał w dal...”. Robi nie

znał tej piosenki. W czasach jego więziennych doświadczeń wypadła już z żelaznego repertuaru.

Czasem i ja zapadałem w krainę marzeń. Siadałem pod ścianą, głowę wspierałem na łokciach i myśli wybiegały poza grube mury i kraty. Były wolne jak gołębie.

Na spacerniaku obserwowaliśmy nikłą przyrodę i liczyliśmy roślinki wychodzące z niegościnniej, żuźlowatej ziemi.

Robi bywał często na przesłuchaniach. Po powrocie stawiał sobie pasjansy.

— Wychodzi mi wolność — śmiał się nieco sztucznie lub nic nie mówić.

Przebywaliśmy razem dwa miesiące i zażyłość utrwałała się bez żadnych konfliktów. Byliśmy wobec siebie otwarci, unikaliśmy jednak nadmiernej wylewności. W tym pawilonie śledczym MSW panowało powszechne przekonanie o obecności „ucha” w każdej celi. Dotychczasowa praktyka potwierdzała tę zasadę bez wyjątków. Kto z nas czterech pełni tę rolę? Przychodziło nieraz do pytania. Nigdy jednak moje podejrzenie nie padło na Robiego. Jego opuszczałem w tym skrytym myśleniu. Może robotnik z kombinatu? Za bardzo gadatliwy, aż prowokacyjny w mówieniu. Żywa tuba podziemnego ruchu oporu. Podejrzenia wobec niego szybko wygasły. Młody matematyk? Miałem o nim doskonałą opinię z wolności. Samego siebie wykluczałem.

Czyżby wśród nas nie było takiego? Czyżbym w ten sposób sam siebie oszukiwał i wskazywał na Robiego? Kryminalny. Grozi mu duży wyrok. Kryminalni w takich opresjach nie po czuwają się do żadnej solidarności. Wydają się nawzajem. Może w naszej celi nie ma w ogóle „ucha”?

Taką ewentualność też brałem pod uwagę. Wszyscy jesteśmy tacy sami, na wszystkich postawili krzyżyk.

To było kumoterstwo uczuć. Wykluczałem Robiego z pola podejrzeń. Po wyjściu na wolność od ludzi, którzy przede mną przebywali w śledczym pawilonie, dowiedziałem się całej prawdy o Robim. Od dwóch prawie lat był mieszkańcem tego pawilonu. Często zmieniał cele. Serdeczny, koleżeński. Idealny kompan do siedzenia. Podsyłany do politycznych. Ucho. Wszyscy zgodnie stwierdzali. Diabli wzięli narodziny przyjaźni. Wspomnienie od razu sparszywiało. Co wywęszył? O czym donosił? A może tylko pozorował swą gorliwość wobec mocodawców? Intuicja w praktycznym zastosowaniu! Nie przydała się na nic w małym, zamkniętym świecie naszej celi.

A czego mogli doświadczyć w swym życiu trzej moi przyjaciele? Lata powojenne i stalinizm to dla nich tylko historia.

Bezpieka i jej sposoby. Coś tam kołatało się im po głowach. Dopiero osobiste doświadczenie prowadzi do wiedzy najważniejszej.

Aż któryś z nich znajdzie się w pułapce. Załamie się? Czy się nie załamie? Może się załamać. Wytrawny fachowiec wiele potrafi osiągnąć. Przekonać, uspokoić, usunąć rozterki. Cóż oni mogą jemu zrobić?

Tak pomyśleli moi Judasze. Nic takiego okropnego mu nie zrobią. Przesłuchania, rewizje. Nawet jak go zamkną. Posiedzi niezbyt długo. Długo nie będzie siedział. Kiedyś już siedział. Odświeży sobie wrażenia. Wzbogaci swą wiedzę. W ostatniej książce przewidywał taką możliwość. Odsiadkę za pisanie. Otrzyma ten luksus. Posiedzi. Popatrzy. Same zyski. Nowa książka gotowa.

Mogli tak rozumować. Zazdrość, niechęć. Pisze co chce. Przekładają go na obce języki. Same fawory. Chwałą, nagradzają. Tworzy sobie rozgłos, glorię. Puszy się jak paw tą wolnością. Syty bydlak. Żadnych kosztów nie ponosi.

Mogli tak. Dlaczego nie. Bezpieka podsunęła im usprawiedliwienie. Sztuka podłego dialogu musi być przez nich opanowana. Dorzucili trochę szantażu. Nic straszego mu nie zrobią. Pomyśleli moi Judasze.

Zaraz, zaraz! Skąd ta pewność? Gładko i ochoczo popędziłem tym szlakiem zdrady. Specjalnie został wytyczony ten szlak. Ci macherzy od pomówień, prowokacji i kłamstwa cieszą się teraz i zacierają ręce. Wpadł ptaszek w nasze sidła i miota się na oślep. Połamiemy mu skrzydełka. Będzie podejrzewał swoich najbliższych. Sparaliżowany nieufnością. To sukces. Ofiara złapała przynętę. Podrobiony list przyniósł upragnione owoce. Może nawet pisać mu się odechce?

Co przekazywał o mnie Robi? Ciekawe. Czy mówię przez sen, co najbardziej dokucza mi w tiumnie, jakie mam słabości, upodobania, co lubię, czego nie znoszę. Sam pewnie też wiele mu dostarczyłem materiału. Te nasze rozmowy... Ci z wolności mogą dokonać znacznie więcej. Mogą znakomicie przygotować rozpoznanie wstępne. Bezpieka wkracza do akcji. Idą jak w masło. O, kurwa! O czym ja myślę. Oszałała ćma miota się przy lampie.

Jak ten nieszczęsny Jurek, fanatyk wyjazdu za granicę. Może to już choroba. Kiedyś w barze Praha przysiadł się do Jurka pijaczek. Liczył na bratnią duszę.

— Może flaszkę zmontujemy, panie kolego?

Jurek był pewien. To tajniak. Tajniak albo prowokator. Uciekał jak od ognia.

Jak to właściwie jest? Kiedy rozpada się człowiek i słabość bierze górę nad siłą?

Cela pierwsza. Jeszcze bez Robiego. Jest nas trzech.

Rajdowiec. Spodziewa się najgorszego. Osławiona C.I.A., szpiegostwo, takie ma zarzuty. Drugi o wyglądzie ascetycznego mnicha. Brodaty, gorejące oczy, mówi miękkim, melodyjnym głosem. Pracował na kierowniczym stanowisku w eksporcie.

— Łapówki — powiada i bagatelizuje swoje kłopoty, choć śledztwo trwa przeszło rok.

Który z tych dwóch jest „uchem”? Rajdowiec czy łapówkarz? Może jeden i drugi. Dreszczyk podniecenia. Cela o powierzchni 9 m² najwyżej. Trzech ludzi. Dwóch może być na usłuchach resortu. Co oni myśleli o mnie? Mijały tygodnie. Aż przyszedł taki dzień wiosenny. Ten dzień włókł się wolniej niż inne. Próbowałem pisać listy. Nie szło. Myśli nędzne, przydeptane. Powtarzała się uporczywa wizja długiego pobytu. Wyrok, transport. Przewożą do innego więzienia. Prawdopodobnie Barczewo.

Zapadałem coraz głębiej w beznadzieję. Wiosenny widok z okna ranił oczy. Zieleniły się bzy przed szpitalnym pawilonem. Po apelu rozmawialiśmy o dalekich podróżach. Najciekawiej opowiadał łapówkarz. Słuchałem nieuważnie.

Będę podróżował. Tak sobie myślałem. Okratowanym pościągłem z więzienia do więzienia. Długo nie mogłem zasnąć. Oni już spali. Męką tej nocy stała się koszmarna wizja. Zrazu tylko w zarodku. Nieśmiało kiełkowała. Potem rozrastała się coraz bardziej. Natrętnie oblaźła głowę. Oto ta scena: ci z MSW stwarzają dramatyczną alternatywę. Obraz kiczowaty. Poraził jednak swym prostackim kusicielstwem. Przychodzi wysokiej rangi oficer. Pułkownik. Szef gabinetu ministra. Zgrzyt klucza w drzwiach i wywołują na korytarz. Prowadzą przez kolejne kraty. Podwórce. Samochód. Wiozą do swego ministerstwa. Po drodze wolność. Ulica, dziewczyny. Gmach ministerstwa. Tam gabinet: dywany, palmy. Stare obrazy na ścianach. Sam minister. Generał broni. Wysoko parszywa moja wyobraźnia ustawiła tę scenę. Generał jest ujmującym, postawnym mężczyzną o jasnej, otwartej twarzy. Widziałem go raz w telewizji. Kawa, kruche ciasteczka, dobre papierosy. Po udręce więziennej celi szczególnie słodki kontrast. Wreszcie pada ta kluczowa propozycja. Wyjdę na wolność. Jutro, dziś, natychmiast! Jeden tylko warunek. Przez rok mam nic nie pisać.

— To znaczy.. — uśmiechnął się łagodnie generał. — Tak dalece nie ingerujemy w sferę absolutnie suwerenną. Jedynie żaden z pańskich utworów nie ukaże się nigdzie drukiem. Tego przecież może pan dopilnować, prawda?

Jedyny warunek i wolność stoi przede mną otworem.

Długo w noc znajdowałem się w gabinecie generała. Zgodziłem się. Wyznaję ze wstydem. Zgodziłem się!

Otwierają bramę. Wspaniały, upragniony zgrzyt. Wychodzę na wolność.

Zdrada odbyła się w tak ciasnym pomieszczeniu. W tłoku jednej osoby. Parszywa noc. Czy można się dziwić biednym, osaczonym druhom?

Który z nich spełnia funkcję strażnika mego życia?

Czyśmś go zmusili. Choćby wizją więziennego życia. Obrazem jego udręk, tych krat, zaryglowanych drzwi, brzęku kluczy, stukotu kroków, martwoty przerywanej kilkoma powtarzającymi się ciągle zawołaniami. Może działa w dobrej wierze. Nie za gorliwie czuwa nade mną. Robi też mógł donosić ulgowo, po koleżeńsku. Patrzy przez palce na moje nieczne czyny. Skąpo informuje „Kuma”. W łagrze tak nazywali enkawudystę. Usprawiedliwia swą funkcję wieloma względami. Łatwo się można wytłumaczyć. Musi. Tak go cisną. Coś za coś. Kapuje. Tylko pozornie. Właściwie ratuje. Nie wytrzymał. Ustąpił. Ponadto skończyła się już czerwona inkwizycja. Nie rozrywają ciała. Nie przypalają żelazem. Nie palą na stosie. Pomęczą się trochę Mareczek. Ale nie za bardzo. Wytrzyma. Może sam zacznie kapować. Nie mam do was żalu, serdeczni druhowie... Kto wie? My wszyscy popsowani. Tak było powiedziane u Babla. Tata i syn złapali syfa. Tata chce przespać się z mamą. Syn czuwa i powiada: — Tata nie rusz mamy, my oba popsowani!

Zapalam kolejnego papierosa. Już kac od tego palenia. Żółć podchodzi do ust. Oganiam się z trudem od tych trujących oparów. Gdzie tu kat, gdzie ofiara?

Na powrót czyszczę do połysku moich sponiewieranych przyjaciół. Jaśniej szlachetnym blaskiem. W odsiecz jeszcze przychodzi pamięć.

— Idioto! — mówię do siebie. — Niesłusznie posądziłem Januszka! Te notesy z zebrań zarządu sam dawno temu zniszczyłem.

Tak można bez końca. Nareszcie telefon. Siostra. Rozmawiamy o naszej ciotce. Zmarła nagle. Nie ma ulubionej ciotki. Nie zaznała zbyt długo upragnionej emerytury. Czekają nas przykre czynności. Likwidacja mieszkania. Szafy pełne ubrań. Szufłady pełne listów, notatek, bibelotów, haftów. Całe jej życie. Ustalamy termin wyjazdu. Szwagier o zwyczajach starych ludzi. Chowają gdzieś w trudnych do ustalenia miejscach swoje oszczędności.

— A jak tam miewa się ministrowa? — zapytałem siostrę z udanym zainteresowaniem.

Ministrowa. Nasza niewyczerpana kopalnia. Siostry koleżanka biurowa. Żona dygnitarza. W chwilach niekontrolowanego gadulstwa z uwielbieniem opowiada o swym mężu.

Siostra podjęła temat ochoczo. Opowieść o ostatnich przypadkach ministra. Pośliznął się na marmurowych schodach swego ministerstwa. Potłukł się dotkliwie. Złamał sobie nos, posiniaczył ciało. Zapakowali go do szpitala. Długo tam nie leżał. Akurat miała odbyć się narada z udziałem premiera. Potłuczony minister zwłókł się z łóżka, wypisał na własną odpowiedzialność z lecznicy i pospieszył na naradę. Wyglądał jak prawdziwy bojownik. Oklejony plastrami, ze złamanym nosem.

— Taki oddany swej pracy! — mówiła ministrowa i łyzy w oczach.

— Kretynka! — śmiała się siostra, kończąc rozmowę. — Przez te wszystkie lata niczego się nie nauczyła, niczego nie rozumiała!

Już końca nie słuchałem. Charakterystyczny odpływ myśli w wiadomym kierunku.

Ten Januszek ostatnio zmęczony, wymięty. Inteligencja, żywiość umysłu, chłonność i zapał, wszystko to wyciekło z niego jak z dziurawego naczynia. Zgasł. Po ciężkich, niewdzięcznych obowiązkach przyszła reakcja. Zepsuty, porzucony na śmietniku manekin. Niedawno zaprezentował w rozmowie skrajny pesymizm. Zapytałem go o najbliższe zamiary. Machnął ze zniechęceniem ręką. W nic nie wierzy. Niczego się nie spodziewa.

A B.?... To bluszczowaty pieszczoch. Baśniowy świat przyjemności i przygód wykrzesać chce z naszej szarzyzny. Wygodny sybaryta. Dramaturg, reżyser i aktor w jednej osobie. Co on wydrukował dotychczas? Dwa opowiadanka z dzieciństwa, szkic o zakłamanym krytyku. Marginalne sprawy. Ciągłe coś zaczyna, fragmenty, pomysły. Zaczyna i nie kończy. Czaruje i zwodzi. Roztacza tęczową aureę. Czy wierność, stałość i odporność na przeciwieństwa nie są zupełnie obcymi dla niego pojęciami? Pycha i przeświadczenie o swojej wyjątkowości. I fizycznie zmienił się w ostatnich czasach. Dotychczasowa czystość twarzy uległa jakiemuś zabrudzeniu, wzrok zmacony, umykający. Chowa oczy, obawia się ich niedobrej czytelności?

Ten G., referent wścibskiej nudy. Niezmordowana ciekawość. Co piszesz, możesz przeczytać kawałek? Czy ta natrętna ciekawość nie jest czasem podszyta czymś podejrzanym?

Januszek to prawy i wypróbowany chłopak. Ten list przecież. Dopiero teraz sobie przypomniałem! Podczas mojej nieobecności

ktoś przyniósł list. Odebrał J. Oddał po moim powrocie. Mógł nie oddać. Im od razu... Ten list zabrali podczas rewizji. Potraktowali jako ważny dowód rzeczowy.

B., choć bawidamek i egoista, to rąbnie on niebawem tęga książkę. Pracowity, dociekliwy szperacz w prasie dawnych lat. Zbiera, notuje. Bada zapomniane procesy, odkrywa ich istotę. Galernik pióra. Ile fragmentów już przeczytał, ostrych, wspaniałych. Te opisy redakcji, życia dziennikarskiego. Te opowiadania z dzieciństwa w czasach stalinizmu, uniwersyteckie przypadki. Świetny szkic odsłaniający całą ohydę i poddaństwo czołowego krytyka, który tyle lat ubierał się w szaty jedyne go sprawiedliwego w Sodomie. Powoli rodzi się wielka księga. Spowiedź dziecięcia wieku. Także w realnych sytuacjach sprawdzał się B. Kiedyś uprzedzono nas o mającej nastąpić rewizji i oczyściliśmy dom. B. dzwigał wypchane książkami torby. Przechowywał maszynopisy, służył w każdej potrzebie. Żaden tam bluszcz, stalowa lina!...

Ten Trzeci czyli B. przyciśnięty przez bezpiekę, zdobył się na niemałą odwagę. Nie pozwolił zrobić z siebie kapusia. Dotkliwe koszty tej odmowy. Ile jeszcze drobniejszych przykładów jego uczciwości.

Czytywałem mu nieraz świeżo napisane opowiadania z Raportu.

— Mam jeszcze kilka — powiadałem z przechwałą. Wskazywałem na stosik zapisanego papieru.

Mógł ich uprzedzić. Mogli wpaść i zabrać. Czy to mało dowodów?

Tydzień temu spotkałem Zdzisia Gotzmana. Swojak z bardzo dawnych lat. Weteran sutenerstwa i temu podobnych zajęć.

Gadu, gadu i Zdzisiu pyta: — A jak tam na Mokotowie?

— Normalnie.

— Siedziałem tam w '48 roku — mówi.

— Za co?

— Byłem wtedy w ORMO. Za szantaże...

— Dużo kapusiów? — jeszcze zapytał.

— Pewnie — odparłem.

Wypaliliśmy po papierosie i rozstaliśmy się wkrótce.

Więzienie. Kapusie. Normalne życie. I tak w kółko. Ja siedziałem. Oni będą siedzieć. Znowu ten natrętny, azjatycki obrazek. Siedzą przy ognisku obszarpańcy. Grzeją się po bratersku. Tulą się do siebie. Tajga wokół nich i śnieg. Przełamują się chlebem jak opłatkiem.

— *Grisza...* mówi jeden do drugiego — *ja тебе скажу адін siekriet*. Sprzedałem ciebie! Bij, zabij!

Ten Grisza, sowiecki poddany zadomowił się w mojej duszy. Co tam jeszcze zebrało się w tych mrocznych, nigdy nie wietrzonych piwnicach duszy? Co tam się dzieje?

Dziecko w sklepie spożywczym. Opowiadała Jola. W drodze do sklepu samoobsługowego zauważyła przed sobą malutką postać z wielką torbą. Dziecko. Szło wlokąc torbę po śniegu. Biała przestrzeń i malutka postać. Zarejestrowała ten obraz. W sklepie o nim zapomniała. Stała w kolejce do kasy. Posłyszała szelest za sobą. Obejrzała się machinalnie. To samo dziecko. Stało za nią. Kilkuletnie. Dziewczynka, chłopczyk. Nie wiadomo. Stało tak cierpliwie i grzecznie. W kasie płacono za mleko i dżem w słoiku. Podało jeszcze kartkę na masło. Masła nie było.

— Pokora tego dziecka — mówi Jola. — I powaga. Bez uśmiechu. Przeróżające!

— Przesadzasz — przerwałem jej wtedy. — Grzeczne dziecko wyręcza rodziców.

— To jest początek niewolnictwa! — obstawała przy swoim Jola.

Wczoraj sam byłem świadkiem zastanawiającego zdarzenia w podziemnym przejściu przy dworcu. W tym zatłoczonym Hadesie posłyszałem tupot kroków i okrzyk: — Stój! Stój!

Przebiegł chłopak z torbą. Za nim drugi. Gonił go. Potrafił mnie nawet. Zabawiają się szczeniaki. Tak sobie pomyślałem. Na schodach jeden dopadł drugiego. Chwycił go za rękę. Dyszeli obaj. To nie była zabawa.

— Dowód! — jeden warknął do drugiego.

Zabrał mu dowód osobisty i poprowadził przed sobą. Tajniak.

— Popatrz pan! Jeden podobny do drugiego — powiedział mężczyzna w kapeluszu. Stał obok mnie i też patrzył.

— Gonili się. Chłopaki. Zabawa. A to wcale nie tak... — popatrzył na mnie i umilkł. Był w moim wieku, nieogolony, z teczką.

Ja na niego też. Tak samo byliśmy podobni do siebie. Zwykli przechodnie. No tak. Rozstaliśmy się w milczeniu.

Kim był chłopak z torbą? Złodziejasek? Kolporter tajnej bibuły? Zwykły obrazek z wielkiego miasta. Dlaczego dziecko skojarzyło mi się z tą pogonią? Chłopczyk, dziewczynka. Niech będzie chłopczyk. Wyrasta. Zakupy, szkoła. Kołowrót codzienności. Buntuje się. Już jest chłopakiem z torbą. Co niesie w tej torbie?

— Kobiety też mogą ci podsylać — kiedyś zażartowała złośliwie Jola.

Nie boję się kapusiów w kobiecej postaci. Usposobienie mam

raczej tureckiego paszy. Harem, odaliski. Rozmowy z kobietami, owszem ale tylko w sferze żartów i zalotów, mogą być jeszcze obsceniczne wulgarności. Nigdy poważnie. Taką mam naturę. W pawilonie śledczym patrzyłem na panią major, strażniczkę lektury akt sprawy. Kształtna, ładna blondyna. Szerokie kości policzkowe, wydatne usta. Wyobrażałem sobie seans rozkoszy z tą powabną kobietą. Mogłaby przesłuchiwać przy tym. Proszę bardzo! Nie dam się złapać na żaden haczyk. Pani major ściąga bluzkę. Także z tą drugą w welwetowych spodniach. Ten krzaczasty rozkrok... Jedni marzą o filmowych gwiazdach w łóżku. Inni z klucznicami...

Jola patrzyła na mnie z pogardliwym wyrazem twarzy. Jakby czytała w moich sekretach. Tak dobrze się znamy. To niedobrze. Przegrana pozycja podczas przesłuchania. Spojrzałem na zegarek. Dosyć!

Gacek domaga się jedzenia. Biedak, męczennik, cztery operacje. Ale koty chyba nie mają pamięci. Żyją terażniejszością. Gackowi może być lepiej. Jestem znużony. Ołowiana głowa, mięśnie też obolałe, jakbym dźwigał ciężary, łąził kilometrami po manowcach.

Wysunąłem szufladę biurka i odnalazłem te zielone kostki do domina z oczkami, wypełnionymi pastą do zębów. Prezent od Robiego, kumpla z Mokotowa. Wysoki, czarne faliste włosy, nieco zadarty nos, bystre oczy i kąpiący uśmiešek. Jego ruchliwe ręce. Wiecznie coś robił. Szydłem reperował podeszwę trepka, cerował dziury na łokciach swetra. Wyga pawilonu śledczego.

Pogrzechotałem w dłoni kostkami. Sześć oczek to najwyższa stawka. Otworzyłem dłoń. Cztery oczka.

Leżę już na tapczanie. Dla poprawy samopoczucia zmieniłem pościel. Szeleści. Zapach świeżości, wiatru. Pościel w domu dzieciństwa suszyliśmy na sznurach rozwieszonych w ogrodzie między drzewami. Zaczynam czytać biografię Hogartha. Pracowity malarz. Twórca sztychów z życia codziennego Londynu. Zapobiegliwie dbał o swoje interesy. Ogłaszał w prasie reklamowe informacje o aukcjach i proskrypcjach swych rycin, sztychów. Szukał protekcji na wykonanie malowideł w kościołach. To było życie normalne. Wrogowie, przyjaciele. Sława, pieniądze. Opis jego cyklu o rozpustniku. Myśli błakają się gdzie indziej. Lektura nie wciąga. Roztargnionym wzrokiem omiatam stosik książek przy tapczanie. „W oczach zachodu”. „Płomień”. Nadzieńda Mandelsztam. Cała ta piętrowa gra Razumowa, naiwny Haldin. Nieczajew, Żelabow, Parnaska? Jeżow, tajniacy nasyłani do Mandelsztama. Występowali jako młodzi poeci, wielbiciele.

Tak tam było. Roi się od zdrady, prowokacji. Trucizna, trucizna. Ratuje, panie Hogarth! Cofnąłem dłoń. Sięgała już pożądliwie po jedną z tych książek.

Powrót do Hogartha. Jeszcze nitrozepam, cała pastylka. Ci trzej to wypróbowana gwardia. Zdali egzamin w ciężkich czasach. Takie czasy to najlepsza próba. Wzruszyłem się. Rodzinny sentymentalizm. Jeszcze chwila i łza zakręci się w oku.

A może jest Ten Czwarty? Ten, którego w ogóle nie brałem pod uwagę. Pytanie nie było dramatyczne. Pozbawione borującej świadomości natarczywości. To nitrozepam. Nareszcie spokojnie, błogo i sennie. Następnego dnia telefon B. Proponował spacer brzegiem Wisły po obiedzie. Bardzo chętnie.

ZAKON KAWALERÓW MAZOWIECKICH

Sterczał na rozstajnych drogach i pięścią donikąd wygrażał. Wyglądał jak badył wetknięty w błoto. Kołysał się i dygotał. Nocą bezsennością udręczony. Szarym świtem znalazł się na tym rozdrożu. Dalej nie wędrował. Może dawno temu. Ale już zapomniał.

Kapota namiękle, stopy w glinę się zapadały. Boża Męka pod daszkiem schowana. Chrystus z krzyża na niego spoglądał. Nie czuł jednak boskiego wzroku. Łeb goły, strąkami włosów oblepiony, nisko opuścił i koleiny przed sobą widział. Krętym szlakiem prowadziły wśród pól. Zanikały w ciemności.

Tak stał na rozstaju i mamrotał. Raz głośniejsze, raz ciszej. Złóżenie i lament. Jedno mieszało się z drugim.

Sam jak kościotrup wyglądał. Brzuch do krzyża przysechł, twarz w pięść skurczona, a oczy ledwo się tliły w głębokich zapadliskach. Wiek daremnie próbować odgadnąć. Mógł być młody, mógł być stary. Po drugiej już był stronie i tak sterczał na tym deszczu. Drzewa bez liści, wiatr go zginał, ziąb przenikał; nieprzerwanie mamlął ustami. Modlitwą bez końca płynęły słowa. Wygrażał światu. Przeklinał świat. Człowiekowi życie pasuje jak pięść do oka. Męczy się boskie stworzenie, skamla psim głosem i o zmiłowanie prosi. Nic sobie pomóc nie może. Aż nogi wypręży, życie czknie w nim po raz ostatni, zbijają trumnę. Czy źle powiedziane? Są ciepłe kraje, bajkowe wyspy. Ale mało kto tam dociera, dalekość przeszkadza i siły brak. Marzenia się wloką jak mary, chciałbym przy dźwiękach gitary pomarzyć o tobie, mój śnie... Pęka struna, głos się załamie i nawet pieśni swej sekretnej nie zdąży dośpiewać człowiek do końca.

Ten widok. Domki szare i ospowate. Gnojówka na targowi-

cy. Szczury się tam ciskają. Skamle pies. Człowieczego ciepła szuka. Paszół won! Ogon podkulił i ucieka. Ponura, wisielcza pora. Deszcz siąpi. Błoto kłaska. Nawet kury się pochowały. I kogut nie zapieje. Smętnie i płasko. Tak po horyzont. Drzewa gołe, jesienne. Badyle w błoto powtykane. Deszcz pada bez ustanku. Deszczowa brednia świat spowija. Już tydzień tak. Lato nie było lepsze. Też padało. Stronami chmury się obrywały. Gnił w polu urodzaj.

Wątroba człowiekowi gnije. Bez skrzydeł nie da rady lepiej żyć. A kto ma skrzydła? Ptak tylko. Wzniesie się taki drań ponad ziemię i polecą gdzie chce. Zobaczy co innego, jakimś pięknym obrazem oko nacieszy. Może te ciepłe kraje, bajkowe wyspy zobaczy. Gościem ptak na ziemi. Taki Bóg porządek poustawił. Człowieka w gnój wgniół. Nijakiej ulgi mu nie daje. Dławi.

Wóz drabiniasty drogą się toczy. Chłop rogożą okryty, łbem ciężko kołysze. Drzemka go zmogła. Koń idzie stępa, też łeb opuścił. Gdzieś jadą. Do Anielinka. Modły... Na Budy Mdzewskie, Barłogi czy Podczachy, może dalej.

Dziad z zaułka wychynął i poczłapał na kosturze wsparty. Ledwo nogi od ziemi odrywał. A szedł gdzieś. Rozpłynął się w mokrej szarudze. Tak się ludzie jak wszy rozlążą. Nosi ich. To tu, to tam...

Jego już nie nosi. Stanie gdzie bądź i stoi. Stać może do wieczora albo dłużej. Miary czasu już nie posiada. Niepotrzebna mu ona. Dni i noc to dla niego jeden kłęb. Płot obalony za sobą namacał. Wsparł się ciężko. Śliskie, mokre sztachety jak dotknięcie gada. Wszystko mu jedno. Gad czy człowiek. Skamieniały już był i serce ledwo mu się odzywało.

Coś znowu w szarudze zamajaczyło. Sylwetki jakieś nieforemne. Baby w chustę omotane. Podążyły na poranne nabożeństwo. Kościół dla nich przytuliskiem ulubionym. W pierś wyschniętą się biją, żebraczym okiem w Matkę Najświętszą wpatrzone. Łaski u niego szukają, Boga przebłagać pragną. Spokój wiekuisty, raj, wieczne odpoczywanie, racz nam dać, Panie, za wodzą cierpliwie...

Wiatr zawył mocniej i blacha na kościelnej wieży zazgrzytała. Sama wieża już chwilami z ciemności wyłaziła. Pokazywała się i zanikała. Świt przedzierał się przez nieboskłon. Ale chmury grube jak brudna wata napływały wciąż ze wszystkich stron i blade przebłyski rodzącego się dnia ginęły zaraz. Dzień szykował się podobny do nocy. Światła nie będzie za wiele i ktoś obcy, przybyły z innych stron, niełatwo mógłby powiedzieć: noc to czy dzień?

Tylko naród tutejszy nie zastanawia się nad tym od dawna. Pory dnia zatraciły swą odrębność, pory roku też sobie podobne, lato szare jak jesień, jesień i zima jednakowe, przepojone uporczywymi deszczami co siąpią i siąpią, wiatry zrywają się nieoczekiwane, a zimą potrafi wybuchnąć burza z piorunami i wygląda to jak latem, kiedy czarne niebo rozrywają złoto-niebieskie błyskawice. Tęczy nie było od lat, zapodziała się gdzieś bez śladu piękna tęcza, która po ciepłym deszczu łukiem niebotycznym ozdabiała niebo i łagodnymi kolorami zmęczone oczy cieszyła. Nic już od dawna oczu nie cieszy, odwykły one od pięknych widoków i najchętniej nisko pełzają, drogę jedynie przed sobą omiatając.

Pogarbieni ludzie, z jeszcze niżej pochylonymi głowami, ciężkim, niezgrabnym chodem tę ziemię płaską przemierzają.

Budził się więc dzień. Zaczynała się ślepa, ludzka krzątanina. Mężczyźni z uliczek się wynurzali. Pokurczeni i niezgrabni. Wiatr deszczem w gęby im pluł. Błoto nogi wciągało. Przedzierali się mozolnie. I w tej pomroce jak cienie wyglądali. Bezszelstne zjawy z nagłą objawione. A ich cielesność jedynie ciamkanie błota pod ciężkimi stopami zwiastowało. Po chwili zaś ochryple, bełkotliwe głosy dały się słyszeć. Pierwsze, ludzkie głosy tego ranka. Ciemność, deszcz i błoto przeklinały. Klątwa szafowały obficie. Ten czas najgorszy ludzi dopadł. Czas między nocą a dniem, kiedy jedno z drugim się miesza, mara z jawą, męka pijanej nocy z torturą trzeźwości, która jak hydra dopada i dusić zaczyna.

Gdzieś coś zawyło. Może to syrena jakaś, sygnał z innego świata. A może złudzenie słuchu wyostrożonego monotonna cisza? Czy też podświadome pragnienie głosu jakiegoś, który ten błotnisty chaos przeniknie?

Więc tak z zaułków się wynurzali i do wodopoju swego ostatkiem sił śpieszyli. Drogę swą krzyżową przemierzając, jedno mieli tylko pragnienie które najsłabszych nawet podtrzymywało. Rzężąc i charcząc, złorzecząc i płacząc, brnęli do swego celu uparcie. Wierzyli przecież w cudowne zmartwychwstanie. Czar opilstwa jak bajkowe krainy, wyspy dalekie. Uroda błotniska szpetotę ich równiny okraja i ogrody Semiramidy mnożyć się będą przed przekrwionymi, zaropiałymi oczyma. Same oczy też urody, światła i siły nieznaną po trzeźwemu nabiorą. Oczy te jak szlachetne kamienie będą, przeróżne topazy, agaty i szmaragdy w głębinach gór pochowane.

Pędziła ta głodna gorzały wataha, owce bez pasterza, wilki bez zębów, ludzie bez woli i pamięci. Paszcze chciwie rozwarte mamrot wydawały, charczenie i skowyt, głosy ni ludzkie ni zwierzęce, płacz niewiniątek, bluźnierstwa zatwardziałyich złoczyńców,

starców jęć przedśmiertny; wszystko to mieszało się i zniekształcało, wznosiło się do samego nieba, opadało nagle i w szurczy pisk przechodziło. Wszystko to pokraczne jakieś i niewydarzone, chore i monstrialne, wiezło w kneblach tego czegoś, co na dnie duszy spoczywa i tak jest schowane, że nigdy chyba wypowiedzieć się nie da.

Podążali do gospody mazowieccy kawalerowie. Zakon taki. Tej ziemi nieodrodni synowie. Gorzałkowy cycek w oczach im rósł, olbrzymiał i nabrzmiwał. Wargi obwisłe same się w ciasny ryj do tego cycka składały. Na razie tylko powietrze ssać mogły. Ale już wyobrażenie zbawczego smaku targało pustymi trzewiami. Podeszli pod drzwi gospody i stanęli. Suka wychudła tutaj już przywarowała. Sutki miała długie i puste. Oszczeniła się niedawno i na resztkach jadła zerowała. Była bezpieczna. Schowała się na widok ludzi za węgiel budynku i znajomego zgrzytu klucza w drzwiach wyczekiwała. Gospoda była jeszcze zamknięta.

Bezlitosnym ślimakiem płynął czas. Niby ten deszcz co drobno siąpił, sekundy składały się w minuty, z nich wolno lepiła się godzina. Stali w swojej kompanii i czekali. Byli w zakonu wyborowym regimencie czyli straży przedniej, która zawsze na plac boju pierwsza rusza. Najczęściej przy tym pada. Co pewien czas jakiegoś z nich ubywało. Prawem wojny są takie ubytki. Luka jednak wnet się wypełniała. Następny ochotnik do tej awangardy przybywał. Tak i dziś. Jednego znów zabrakło. W tym czekaniu rozciągliwym modlitwę za spokój jego duszy odmówili. Nie żalowali go przesadnie. Wolny już przecież, skrzydeł dostanie i popłynie sobie przestworzem nieskończonym. W torturze czekania tak sobie zgodnie pomyśleli. Wtedy blacha na kościelnej wieży znów zagrzecotała przeraźliwie. Głowy z trudem unieśli. Ale nic nie zobaczyli.

To diabeł na kościelnej wieży przycupnął i śmiał się z nich do rozpuku. Śmiał się i czekał. Dawno temu przecież wziął w pacht ich zbłąkane dusze. Śmiał się i szydził z ich złudzeń naiwnych. Prędzej czy później te dusze biedne do saka swego piekielnego zabierze. A tam, gdzie je trzymać będzie, mowy być nie może o skrzydłach żadnych i przestworzu wspaniałym. Wszak jego królestwo zaprzeczeniem jest wolności.

Zanikł diabelski chichot blachy i cisza zapanowała. Głodna wataha cierpliwie oblegała gospodę. Mazowieccy kawalerowie. Wiek tu nieważny. Od synka do dziada. Swego przeznaczenia nie wybiera człowiek. Samo ono jego dopadnie. Tak w górze zostało napisane. Wspólnym przeznaczeniem oni naznaczeni. Ogień trzewia przepala, rozum czadem zmacony. Kiedy przyjdzie wreszcie ten upragniony czas i skrzydeł człowiek dostanie! Jak

orzeł z wysokości na marność życia zacznie spozierać. Bajkowe krainy przestrzenie swe gościnnie otworzą. Siła ogromna wyschnięte mięśnie wypełni. Szczęścia trzos złotymi talarami posypie się bez umiaru.

Tak to wygląda. Rodzi się człowiek. Z początku jak robak z brzucha wyłazi. Wrzeszczy i mleka pragnie. Tak jak szczenię z suczego pomiotu do życia się rwie. Biały, babski cyc mlekiem wezbrany jego ostoją jedyną. Dojrzewa i męźnieje. Świata się uczyć zaczyna. Zagadki rozpoznaje. Słowem, tą ludzką bronią najważniejszą władać zaczyna. Wyrażalne i niewyrażalne nazwać pragnie. Marzenia męczyć go zaczynają. Obrazami chaotycznymi wypełniają głowę. Piękno miesza się z brzydotą. Występek z prawością. Nocami przyrodnej wilgoci prześcieradło znaczy. Za dnia młoda krzepa go rozsadza, drzewa z korzeniami wyrwać pragnie i kamienie pudowe przenosić. Tej młodości szkołą jest wojsko albo więzienie. Tam uczyć będą moresu i stadnego życia. Batożyć zaczną za nieokiełznane porywy. Potem baba, dzieciaki, siwizna włosy oprószy i ciężar jakiś do ziemi przygniatać zacznie. Labiryntem grząskim ścieżki się poplączą, ciemnica osaczy, światło pełga zwodniczym ognikiem, raz tu, raz tam pojawia się z nagłą, niby te zjawy, co w głębiny wędrowców wciągają. Gdzie się podziało Słowo, co kagankiem w krainie ciemności miało być? Gdzie podział się Bóg? Dlaczego Szatan tyle swych pułapek pozostawiał i nikt pomocnej ręki do nikogo nie wyciąga. Nocami tak do księżycy wyją. Gorzała każdy ból koi. Wypróbowana ona przez pokolenia. Znieczulać potrafi i jątrzyć. Usypiać i budzić. Fajerwerkiem wybuchać lub zapalać się łagodnym ognikiem.

Wpatrywali się mazowieccy kawalerowie we wrota swojej świątyni. Na razie były one szczelnie zawarte. Wspólnym omotani sznurem. Choć sami rozmaici przecież. Czyści i plugawi. Mądrzy i głupcy. Jedni wolę życia zachowali jeszcze. W innych tliła się ona już tylko. Weseli i milkliwi. Pokurczeni i prości. Posługują się bełkotem do kilku dźwięków sprowadzonym lub bogatą, ludzką jeszcze mową.

Pojaśniało trochę. Dzień pokazywał się nad tą równiną bepańską. Pastuch, kretyn z wielką głową wodą wypełnioną, stado krów gdzieś gnał. Bryzgi błota im spod kopyt szły. Porykiwały smętnie. Głodna żywina, wpadnięte boki pałakami żeber oznaczone. Kretyn kijem gwoździami najeżonym krowy po zadach okładał. Coś w jego głowie wodnistej zagłębić się musiało, nagle zatrzymał się i zawył zwierzęcym głosem. Krowy też się zatrzymały. Opuściły rogate łby i czekały na swego pana. Kretyn jałówek jedną dopadł i zмагаć się zaczął z nią wściekle. Cofała się

przed ludzką furią, aż na przednie nogi padła, za chwilę całkiem już w błocie zaległa. Kretyn wyciągnął ze spodni fallusa nabrzmiałego, co niczym maczuga mu sterczał i w krwi zad zaczął go wypychać. Jałówka ogonem zagnojonym po gębie go smagała. W zażartym znoju do zada wczepiony, gibał się i gibał na ugiętych nogach, pojękiwał chrapliwie. Opadł wreszcie na krowi zad, obwisły i pusty. Zaległ jak łachman jakiś. Uspokojenie go naszło. Nieruchome krowy otaczały go kręgiem i patrzyły swymi pięknymi oczyma bez wyrazu. Miarowo poruszały zuchwami. Sielski obraz. Ziemia i jej zwierzęta mlekodajne. Dźwignął się pastuch, kretyn z wielką głową. Zagdakał coś głosem ni ludzkim, ni ptasim. Kolczastym kijem jałówkę do powstania zmusił. Stado ruszyło ociężałym truchtem. Pognał gdzieś żywinę chudą. Pędził na rzeź czy gdzie indziej. Rozdroże z Bożą Męką minął. Zaraz rozplynął się w błocie i deszczu. Zjawa, której wcale nie było. Omam z oparów powstały. Kto to wie? Stał Kościej jak martwy pień drzewa. Głową niemrawo poruszył. Za stadem krów wzrokiem pustym potoczył. Oczy dłonią osłonił. Mocniej do płotu przywarł. Dygotał. Zimnica nim targała. Ognia domagał się zamierający żywot. Ale był cierpliwy. Z bydłą pokorą ten dopust znosił. Noc jeszcze nad nim panowała. Długich godzin złe wspomnienie. Czaszka to czerep lichy. Trzeszczy i pęka. Miesza się w niej i gotuje. Diabeł tam palenisko rozniecił. Swój alembik warzy. Jego trucizny do żył przenikają. Gorączka wątpia pali. Wzrok zanika. Serce bić ustaje. Kiedy wreszcie kres tych mąk nastanie? Niektórzy na cud jakowys czekają.

Zapłaczę Matka Boska rzewnymi łzami. Obraz poczerniały ze starości, co lata całe niemo wisiął, ożyje z nagła i oczy Matki wypełnią się łzami, ciurkiem one pociekną. Nad losem ludzkim zapłaczę Maryja. Hyr pójdzie po ludziach. Podmucha potężny poruszy zdrętwiałe mrowie. Tłumy pątników ciągnąć zaczną do świętego obrazu. Baby wota znosić będą. Najtwardsze serca nie oprą się temu wzruszeniu. Żałość jakaś najdzie. Zamyślenie uroczyste.

Budzi się nadzieja od pokoleń przekazywana jak hostia.

— Nadchodzi już! — powiadają starcy.

Nad horyzontem nieśmiało wstanie tęcza. Może krew się nawet pokaże. Wypłynie z ziemi, obfita i nagła jak podskórne wody.

Kościej po bożym świecie popatrzył. Nic nie było widać. Deszcz ziemię w bajoro zamienił. Od płotu odstał. Poczłapał niezdatnym krokiem. Wiatr nim pomiatał. Chwiał się i potykał. Podążył do gospody. Pozdrawiać go zaczęli już z daleka. Krok jego ślamazarnym wzrokiem towarzyszyli. Ucieszyli się wyraźnie.

Nie zmieniał się od lat. Zimą czy latem wystawał na rozstaju. Czy przez całą noc tam był? Czy o świcie przybył? Nic o nim nie było wiadome. Od lat był po prostu. Tak i dziś. Zamamrotał i stanął wśród nich. Dobry to znak. Gospodę wnet otworzą. Zawsze w sam czas przybywał. Aż trzeci raz blacha na kościelnej wieży zaklekotała i rozwarła swe wrota czeluść upragniona. Rażno tam wkroczyli. Gospoda była pusta i zimna niby kościół przed pierwszym nabożeństwem. Zasiedli pod oknem. Szkło na szynkwasie pobłyskiwało. Czekali na szczęśliwe losu zrządzenie. Wpatrywali się w butelki. Raj w nich zakłęty. Oczekiwanie nerwy szarpało. Parowali wciąż pijacką, złą nocą. Dawniej modlitwą złe moce odganiano. Już tych świętych zakłęb zabrakło. Pozapominali ludzie i swą właściwość zatraciły. A bywają takie noce, że włos się jeży i ciało zimny pot oblewa. W snach groza dławi, podchodzą maskary przeróżne, paszcze gadów i smoków mają, kły szczerzą, siarą piekielną zieją i chichot upiorny zewsząd się rozlega. Gdzie się podziały te sny piękne i czyste jak górskie strumienie, zielonych łąk bujne dywany?

Oczy głodne w butelki zatapiali. Światło stamtąd szło. Szarfarka życiodajnego płynu w tych butelkach na siedem kłódek dla nich zawartego, ciężarna baba, rosła i szeroka jak piec, pazury sobie krwawym lakierem smarowała. Kto jej brzucha przyczyną? Mąż, co w dalekich stronach przebywa? Czy ktoś inny? Deszcz spływał po szybach. Przerzedzała się ciemnica. Domy wokół targowicy pokracznie rozsiadłe. Kościół nad tą niską zabudową królował. Płaski krajobraz. Łysa równina. Ten widok chandrą przejmował. Szamotników zacieklej wielu tu bywało. Rwali się do innych widoków. Krzyk ich daleko niósł się po równinie. Szybko oni Bogu swego ducha szalonego oddali. Ciasną gromadą stół obsiedli. Strwożona, zaszczuta trzoda. Przemokłe kapoty parowały, smród niemytych ciał, oddechy chrapliwe i ptasi trzepot rąk. W ciasnocie lepiej im było. Zawsze to rażniej czuć obok siebie człowieka podobną nocą wymęczonego.

Szeptem sny sobie przepowiadali. Bywają sny jak życie samo. Oto jednemu z nich zdarzyło się w nocnych majakach, że żone swą zakatował. Tłukł ją drągiem żelaznym i krwawa miazga jej ciała prześladowała go po obudzeniu. Patrzył na swoje ręce. Były to ręce oprawcy przecież. Krwi na nich szukał.

— To jakiś znak — mamrotał i czoło marszczył w mozolnym wysiłku przeniknięcia nocnej tajemnicy.

Inny z komendantem miejscowego posterunku miał zwadę. Butna gęba komendanta tym razem rozpaczliwym strachem wykrzywiona. Był to sen pełen triumfu i ze smakiem to nocne wdziało wspominał.

Natomiast najmłodszy z nich sen miał do wieku przynależny. Starucha obmierzła, co wódką handluje, rozkoszą mu służyła. To próchno odrażające obejmowało go czule, a on obracał nią w miłośnym zapamiętaniu. Sen ten wstrętnym wspomnieniem ciążył i ciągle rozedrgany rozkoszą głoś starej baby w uszach mu dzwonił.

Stękali i wzdychali pospołu. Nikt z nich po prawdzie nie wiedział, co snem było, a co jawą być może. Spokoju nie dawała ta noc dręczycielka. Wszyscy oni gorzały na gwałt potrzebowali.

Prawda święta w pijackim zakonie zawarta powiada, że tyle tylko człowieczego szczęścia, ile wypić potrafi. Pić trzeba bez ustanku. Czas ucieka. Ten nakaz pośpiechu z doświadczeń wynika. Pierwszy pokos kostuchy w młodym wieku dopada zakonnych giermków. Drugi w czas męskiej dojrzałości chwyta. Ostatni zaś termin w półwiecze życia przypada. Dłużej uchować się to już cudowne zrządzenie opatrności. Starcy, co w jakichś górach dalekich żyją. Takich starców jako świętych szanować należy. Kościej był jednym z nich. Samą swą obecnością nadziei przydawał niektórym. Kiedyś był tu jeszcze jeden taki. Mieszkał w Duchowiznie. Ale nie ma go już. Prawda w gorzale zawarta rozmaitych wędrowców przygania. Takich, co księgi przeróżne czytali i słowem kłamiwym faszerowali się jak indyki. Także takich, co do majątku doszli, oko bystre i umysł ostry mając. A i takich spotkać można, co władzę posiadali i knutem ludzkie grzbiety znaczyli. Kręte są ścieżki przeznaczenia. Z różnych stron i przyczyn odechcenie przychodzi. Różnymi drogami do gospody podążają wędrowcy. Równość tutaj panuje i nikt na żadne wywyższenie liczyć nie może. Jednakowo przecież paluchy każdemu dygocą i twarz sinego nabiera koloru. Tylko miara odporności niejednakowa bywa. Wcześniej lub później dusza pęknąć może i słaby się człowiek stanie. Zdarza się wtedy, że koszmar nocy w dzień się przedłuża i noc już na stałe nad życiem zapanuje. Rankiem czy w południe to dopaść może. Rozpacz, której wyrazić nie sposób. Topór kata, co nad udręczoną zawisa głową. Świat męki i zbrodni. Mrowie robaków w ohydzie swej nie do opisanania, co tylko piekła znamieniem być mogą.

Akurat o jednym takim wspomnieli.

— Z samego rana to się stało. Piany na ustach dostał i pobiegł do wychodka. Szwagier za nim w sam czas i odciął go od linki...

— Będzie powtarzał — ktoś dodał i westchnął.

Pokiwali głowami.

A upiorność nadpsutych obłędem czy zwyrodnieniem przepojonych plemników! Z tego dzieci się rodzą, karty i potwory.

Epileptyczne podrygi nożyn dziecięcych, chorobą utajoną zniekształconych. Małpi grymas twarzy, ślina co cieknie z wiecznie rozchylonych ust, bełkot. W barłogach domostw na równinie rozsiadłych leżą takie dzieci i skarżą się na swój los żałośny. Niektóre jeszcze spoczywają w brzuchach swych matek nasieniem męskim naznaczonych. I jak na pośmiewisko pęta się przy każdym takim poczwarnym stworzeniu wieczna potrzeba miłości. Tuła się ona po zakamarkach duszy niby piękny klejnot porzucony na śmietniku. Katują więc mężczyźni swoje kobiety, winiąc je za nieudane potomstwo i często z tych domostw na równinie wrzask i lament rozlega się nocami.

— Podobnie... — któryś zaczął rozwlekle — niedaleko stąd urodził się dzieciak z ryjem dzikiej świni... Warczy i kły mu rosną...

Oczy w ciemność za oknem zatopili. Kiedy wreszcie ustanie ten czad trujący, co dusze udręka przepaja?

Człapie ktoś przez targowicę. Ugina się pod ciężarem jakimś ponad siły. Głos jego słyhać. Bluźni. Zła krew go zalewa. Zanikł gdzieś. Wynurzy się anioł z pomroki deszczowej czy nie? Człowiek człowiekowi napitku nie odmówi. Sumienie na taką twardość serca nie pozwala.

Bufetowa głowę kudłatą w mnóstwo loków utrefioną opuściła na ladę. Drzemie sobie smacznie, ścierwo niehumanne. Cicho było i pusto, deszcz, co w dach dzwonił, do snu ją kołysał. Nad nią rząd butelek półkę zdobił. Szafarką ona zmartwychwstania człowieczego. Jeden ruch jej grubej dłoni w złote pierścionki ozdobionej odmianę losu spowodować potrafi.

Powoli gospoda się zapełniała. Złazili się ludzie. Gwar zaczął ożywiać pustą do niedawna izbę. W taki dzień zimny i dżdżysty naród do tego przytuliska ciągnie. Gorzała przeziębienie rozgonić potrafi i smutek, co duszę rozsada, da radę stłumić. Także do interesów używana bywa. Dobra ona i wypróbowana na wszystko. Miejsc już wkrótce zabrakło i pili na stojąco ludzie. Tak do nocy w tej świątyni nieustające odbywać się będzie nabożeństwo.

Bufetowa wyrwana ostatecznie z błogostanu drzemki, krzątała się chyżo i polewała do szklanek z niebywałą zrećnością. Ci gołcy od stolika pod oknem, co groszem przecież nie śmierdzieli, popatrywać zaczęli czujnie po ludziach. Wyglądali jak ogary, co zdobycz już wietrzą. Szczęście objawiło się niespodzianie. Zaszedł tu pewien rolnik, co plony z tej marnej ziemi pracowicie wyciska i z zyskiem sprzedaje. Od świtu chandra go nękała i miejsca sobie na bożym świecie znaleźć nie mógł. Portfel za

pazuchą miał wypchany, po ludziach łypnął ślepiami i od razu sobie wierny dwór znalazł, druhów na życie i śmierć oddanych, trefnisiów i błaznów gotowych do każdej dla niego posługi. Do tych pod oknem się przysiadł. Strugą popłynęła gorzałka. Od świtu na tę chwilę czekali. Dobroczyńca wspaniały wtykał pieńiądze w tłuste łapy bufetowej i wołał: — Polewaj! Polewaj!

Też mu się od razu lepiej zrobiło. Wigoru dostał i krzepy. Ranny strach, co śmiercią mu śmierdział, pierzchł bez śladu. Obmacywał wzrokiem cycatą i dupiąstą postać bufetowej. Miękkie obfitości jej ciała liczne zapowiadały widoki. Wymarzonym maticznikiem dla chłopca są takie rozległe powaby.

Kurzyło się ludziom z łbów coraz bardziej. Wymachiwali pięściami i złorzeczyli. Modlili się i śpiewali. Czasem wilcza zajadłość nimi miotała. Wybuchła zwada. Dwóch jednego dopadło. Okładali go po gębie. Krwią zaczął broczyć. Padł. Wzięli go pod obcasy. Ledwo ich inni oderwali. Ochłonęli i sami nie wiedzieli, w czym była tej zajadłości przyczyna.

— Zawołam komendanta! — darła się piskliwie bufetowa.

— Diabeł tu musowo bobruje — odezwał się jeden taki bystrooki, gorzały dopiero co odpił kapkę. — Tylko skąd on nasłany? — Czoło tarł, popatrywał po kątach i naraz poczuł się nieswojo jakoś. Zastuchał się. Diabeł przedstawił mu się wschodni. Kopytami wystukiwał kozaka. Oczy miał skośne, małe i okrutne, rogi swe pod papachą skrywał i żądny był ludzkiej krwi niesłychanie.

Przeżegnał się śpiesznie.

— Kacap — wymamrotał. Czym prędzej po kielicha sięgnął. Do sąsiada przepił.

Diabeł być musiał tutaj na pewno. Tak sobie patrzył i widział, jak po próżnicy ludzie swe siły tracą. Miał rozkosz dla swych zimnych, nieludzkich oczu. A nasyciwszy się widokiem tej mierzwy do życia sztucznie zbudzonej, wziął sprawę w swoje ręce.

Nawet sami nie wiedzieli, jak to się stało. Tak pijąc i hałasując, mimochodem spojrzeli w okno i twarze im spochmurniały od razu, a oczy płochliwe się stały i niespokojne. Gdzie się tak zapatrzeli? Co tam widzieli? Te ich oczy jak zające nagonką pod strzał zagonione... Naprzeciw karczmy budynek nieduży sobie przycupnął. Schodki do drzwi prowadziły i kraty w oknach sterczały. Posterunek tutaj się mieścił. Trzej milicjanci w nim osadzeni, mają baczenie nad całą okolicą. Dwaj o świcie na motory siedli i pojechali gdzieś. Podejrzanych wyłapywać, świadków cisnąć. Niezbadane są ich służbowe szlaki. Tylko komendant na miejscu pozostał. Komendant Biały. Pałować lubi niesłycha-

nie ten drań. Nieraz bywało: z posterunku wyskoczył, złością tryskał jak buhaj i ciężkim galopem do gospody szarżował. Pałę po drodze przysposobił, wpadał do karczmy i obracać swą maczugą zaczynał. Kogo popadnie i gdzie popadnie sprzętem tym łoł. Rozgrzewał się komendant Biały w ten sposób. Krew do szybkiego obiegu doprowadzał. Wymłócił pałą i nawet do aresztu nie ciągnął. Ślady tylko na ciele pozostawały. Czyli pamięć o wiecznym czuwaniu.

W dzieciństwie komendant Biały był pastuszkciem. Pamiętają starzy ludzie. Stada krów pilnował i od świtu do nocy podążał za żywiną po łąkach i wądołach.

Nieraz zimnica mu się za lichą przyrodziwewę wciskała. Taka dola jego. Więc gdy tak przemarzał nieborak do szpiku kości, to wtedy chwycił za kij swój sękaty gwoździami najeżony i krowie zady okładać nim zaczynał. Młócił z zapałem i ciepłota wystygłe ciało napełniała. Tak po wygonach z bydełkiem harcując, do wieku odpowiedniego doszedł. Z wioski poszedł wojskową służbę odslugiwać. Po wojsku zaś do milicyjnej szkoły skusili go werbownicy. Stamtąd w rodzinne strony z powrotem nastął. Ale łąkowego bractwa często gęsto pojawiają się czerwone pręgi, które powoli sinieją, żeby przeszedłszy z sinizny w żółć, zaniknąć zupełnie mniej więcej po tygodniu.

Oto czart niepokój w biesiadnej izbie zasiał. Patrzyli w okno i odrętwienie ich naszło. Niektórzy pomacali się ostrożnie po grzbiecie i wspomnienie poczuli. Bo często ślad zanikał, a obolałość pozostawała długi czas. Umiał bić ten drań.

Czym prędzej po kielichy sięgnęli. Chociaż pełne były. Bogu dzięki!



Komendant Biały przez muchy został obudzony. Bzykanie podniosły nieznośne te ostatnie, jesienne muchy. Otworzył jedno oko. Otworzył drugie oko. Klej, co powieki zalepiał, przetał kułakiem. Poruszył odrętwiałą ręką i sięgnął po butelkę z oranżadą. Była ciepła, mdła i uszedł z niej wszelki gaz. Oczy na powrót powlekły się mgłą. Był jeszcze w błogiej krainie snu. Bufetowa królową jego snu. Raz była pod nim, raz nad nim. Rozkoszy mu dawała moc.

— Jezuniu najśodszy!!! — pojękiwała ta bladź słodkodupa. Przycisnął krocze. Nabrzmiało ono niebywale. Zawstydził się. O żonce swej ślubnej pomyślał. Była dziewicą jak ją wziął. Czyli z błoną. Inaczej to sobie wyobrażał. Wejdiesz i ta błona pęknie z hukiem niby świński pęcherz powietrzem wypełniony. Nic ta-

kiego nie nastąpiło. Tylko krew skąpo poznażyła kalesony. Rozkosz z bufetową pierzchła wreszcie. Rozejrzał się po dyzurce. Godło nad biurkiem. Pas z pistoletem wisiał na gwoździu. Dźwignął się z twardej kozetki, pokrytej wyłysiałym pluszem. Jęknęły sprężyny. Krocze już było w porządku. Zagapił się w okno. Ten widok znajomy. Pusta targowica. Deszcz siąpił uporczywie. Naprzeciw gospoda. Dym szedł z komina. Zbudziła się już do życia. Pod nazwą Rokola ona.

— Rokola? — zastanowił się. — Ki czort to znaczy?

Nikt nie wiedział, skąd ta nazwa wzięła początek. Nawet najstarsi ludzie i nauczyciel.

— Ponazywane to wszystko — ziewnął.

Patrzył na gospodę. Pewno już tam siedzą. Oni wcześniej ze swoich legowisk wyłażą. Widział rabów swoich jak trzymając się oburącz za popękane czerepy łbów, wstają i jęczą. Ubierają się z trudem. Rozlatane palce zapiąć portek nie potrafią. Zapalają pierwsze sporciaki. Od smrodliwego dymu płuca im roznosić zaczyna. Podążają do gospody. Jak psy wierne od świtu tam warują. A teraz siedzą i na los szczęścia czekają. Może już uśmiechnęło się do nich szczęście i piją.

— Swołocz — zamruczał.

Ale bez złości to powiedział. Pieszczotliwie raczej. Jego to trzoda przecież. Po pałę z kozetki sięgnął. Przytroczył ją do pasa. Tą pałą nieraz garbował ich niewolnicze grzbiety. Uśmiechnął się po ojcowsku. Był jak surowy i troskliwy zarazem pasterz dla swojej trzody. Ziewnął przeciągle i wzrok mu zmętniał. Odretwiałość zdradziecką falą go naszła. Targowica gnojem zawalona. Chuda suka akurat przebiegała. Puste cycki zwisały jej do ziemi. Wybiegła z gospody. Ktoś za nią wrzeszczał. Domki dookoła. Między tą zabudową przestrzeń szara się otwierała. Mazowiecka równina. Całunem chmur to wszystko spowite.

Nawet bufetowa, ten promyk słoneczny jego przebudzenia, poczwara mu się wydała. Tylu ją chłopów heblowało przez te lata, miętosili i gmerali, ona tak samo stękała z rozkoszy.

— *Bładź pastajemnaja* — powiedział ponuro.

Białą pałę pogładził. Pomłócić by nią, zły humor odegnąć. Tego i tamtego psiegosyna po grzbiecie przeciągnąć.

Wyprostował się z trudem. Przeszedł po dyzurce. Zasiadł za biurkiem. Pod przyciskiem w kształcie rakiety wystrzelającej w kosmos, papiery urzędowe starannie ułożone. Urzędowe i tajne. Lubił to słowo — tajne! Powagi i siły przydawało. Odsunął przycisk i dokumenty począł przeglądać. Mózg w swoje koleiny wskoczył. Na pierwszym miejscu referat wojewódzkiego szefa

powielaczem odbity. Wykrywalność przestępstw ma sierżant Biały najlepszą. Stalowe oczy szefa w niego z uznaniem były skierowane. Za wzór dla innych go postawił na odprawie. Tak wspominając odruchowo nogi pod biurkiem ściągnął i obcasami przybił. Gotów był do wszystkiego. Myśl o awansie nie była mu obca. Umysł zaczął wreszcie prawidłowo pracować. Jeżeli awans dostanie i na inną placówkę przeniosą? Trzeba wtedy życie od nowa zaczynać. Obcy teren przenikać. Informatorów wychowywać. Zmarszczył czoło i zadumał się nad tym okazałym plikiem papierów tłustymi literami zadrukowanym. Następnym punktem odprawy były bieżące zadania. Czujność wzmóc. Takie polecenie dali. Wróg łeb swój gadzi podnosi. Mącić i knować zaczyna. Rok był zły. Urodzaj marny i zakłócenia w postaci klęsk żywiołowych życie uprzykrzały. Wróg z przyrody korzysta i znów szepty jakieś i pomruki przez naród przechodzą. Na coś czekają. Za czymś się oglądają. Dawne czasy wspominają. Tęczy nie było od lat. Tak powiadają. Obcy pieniądz w tym ważną odgrywać może rolę. I człowiek tutejszemu życiu obcy. Jak znaleźć takiego człowieka? Pojawił się już raz i zniknął bez śladu. Pieczęć złowróżbną na murze pozostawił i niby zjawa rozplynął się w ciemności. Komendant Biały ogarnął czujną pamięcią swoje nieduże państwko. Naród tu raczej przyziemny i mętnymi sprawami głowy sobie nie zaprzęta. Chociaż!!! Kilka razy zwróciły jego uwagę jakieś uśmiechy, spojrzenia i rozmowy na jego widok z nagłą urywane. Informatorów należy przycisnąć, inwigilację wzmóc, w ten sposób słówko tu zasłyszane do tam zasłyszanego złożyć.

Szufładę biurka kluczykiem otworzył i po liście informatorów postanowił sięgnąć. Na tym sekretnym dokumencie pudełko z warcabami sobie stało. Szachownicę bezwiednie rozłożył i pionki zaczął ustawiać. Grać to lubił. Wygrywał przeważnie. Może pograć samemu ze sobą? Ale kto ma wygrać. Lewa ręka czy prawa. Jak sprawiedliwie umiejętność na dwie strony podzielić. Nie wiedzieć co czyni lewa, gdy jest się prawą ręką. Tak samo na odwrót. Lewej nie powinny być znane zamiary prawej. Od tego trudnego do rozstrzygnięcia zagadnienia oderwał go warkot motoru.

Pod postereunek ciągnik podjeżdżał. Za nim przyczepa węglem załadowana czubiasto. Opał na zimę przywieźli.

Okno uchylił i polecenie wydał węglarzom. Niech zwałą przy piwnicznych okienkach.

— Tylko po lewej stronie! — huknął gromko.

— Tak jest! — odpowiedzieli jednocześnie ci dwaj szubrawcy i zgięli się w pijanych, niezgrabnych ukłonach. Pamięć i łaskę komendanta zaskarbić sobie pragnęli.

Robotę swoją wykonali w szybkich abugach i wkrótce węgiel hańdą zalegał przy okienkach. A z prawej strony, tam, gdzie areszt się znajdował, pewien zatrzymany wyciągał przez kraty ręce i o papierosy zebrał. Był to znany w okolicy kurołap i gwałciciel podlotków. Węglarze przecząco poruszyli głowami i tylko westchnęli na znak współczucia dla aresztanckiego losu. Z góry przecież czuwał stróż surowy.

Odjechał ciągnik. Komendant Biały warcaby zagarnął i na powrót do szuflady biurka wsunął. O informatorach zapomniał. Węgłem należało się zająć. Ludzie do tego byli potrzebni. Po krótkim namyśle obciągnął pas i pogładził białą pałę do niego przytroczoną. Ludzie byli.

— *Swołocz* — powiedział pieszczotliwie.



Pijaństwem buzuwała gospoda i ludzie zmartwychwstali wreszcie. Sok życia wypełnił obwisłe, sflaczałe pęcherze. Zaczęły nabierać one kształtów wyniosłych i wspaniałych. Szczęście w butelkach zakłęte polało się ognistą strugą. A jego szafarka, bufetowa, miła się stała i usłużna. Uwijała się niby sarenka w tym kłębowisku. Tu podążała, tam podążała, stoły butelkami krasiała.

Czart znowu popuścił cugli i siódme niebo przed ludźmi się otwierało. Całun szarugi, co wszystko dotąd ponuro spowijał, pierzchł bez śladu i nocne czady precz wyparowały. Jaki piękny jest ten świat! Siedzieli junacy, rozparci i butni, pokrzykiwali i śmiali się hucznie, niedbałymi gestami przywoływali bufetową, poszcypywali i gładzili ją po dupie szerokiej pod siedem fajerek zastawnej. Otrząsała się ona z tych łap nachalnych bez złości, w oparach alkoholowego oszustwa pięknnością dnia stała się naraz. Jej sucza próżność potrzebowała tego uznania, srom wiecznie głodny czekał na palanta zadzierzystego, co rozkosz w tym bajorze miłości spowoduje.

— Marzanno ty nasza!!! — wołał jeden taki, co kiedyś palec lubił tam wsadzać.

Fundatorów nie brakowało. Co raz trzaskały drzwi. Magne-
sem dla ludzi ta świątynia życiodajna. Szaruga i deszcz wypchały ich do ciepłego przytuliska. Mogli wybierać jak w ulegalkach mazowieccy kawalerowie. Każdy z przybylców wygadać się pragnął, pochwalić czy uzalić. Jeden ponury, zębami zgrzyta, coś bredzi, moja wina, skowycze, wielka wina, karę boską sobie przepowiada, mąk piekielnych udrękę widzi, łaski i wybaczenia pragnie. Precz z takim krukiem cmentarnym! Dość własnych nieszczęść mają,

cudzego jeszcze wysłuchiwać. Za kołnierz nudziarza i won!!!
 Drugi się przysiadł, ten znów wesołek, facecjami każdy szkopek
 krasi, gębę ma jak słońce i śmiech tubalny. Siedzą, chleją, lulki
 palą. Znienacka wpijają się sobie w usta, gryzą wargi i policzki
 obśliniają. Chrypią i wyją, przeszłość parszywą sobaczą, zemsty
 dozgonne komuś przysięgają. Serce matki, ryczą przez łyzy, gdzie
 jesteś mateczko ma jedyna, zagubionymi sierotami się czują, to
 znów wybrańcami fortuny, którym życie łask i dobrodziejstw nie
 szczydziło. Przysięgi i klątwy rodzą się obficie. Od przyjaźni do
 nienawiści tylko jeden krok. Wałą się po łąkach i palce w ślipia
 wypychają. Rozhulała się gospoda. Kłębi się w niej i wiruje. Te
 gospody! Wrzące źródła na tej równinie urody pozbawionej.
 Przytknąć zapałkę i buchną ogromnym płomieniem.

Zaniął zimny, smutny świat za oknem. Kłęby dymu wiszą
 pod sufitem. Życie w mgłę spowite. Chwilami nierealne wyda-
 wać się mogło. Brednia jakaś! Pęknie niby pęcherz nadmiernie
 powietrzem wypełniony.

— Po środku dróg wszelakich nasza ojczyzna marniutka leży!
 — zawył ktoś beznadzieją przepojony. — Tratują ją bydłeta!

Ale ostatni to był głos rozpaczy. Radość królowała i życia
 ochota. Coraz wyżej w przestworza wznosili się ludzie. Już
 obce krainy i dalekie wyspy śmiałych podróżników wabiły. Da-
 lekość niedostępną być przestawała. Niedługo skrzydeł dostaną,
 wzbiją się ponad tym marnym padołem i w nieznanne polecą.
 Nieustraszeni zdobywcy do piękna i słońca dążyć będą. Zakłęci
 rycerze zbudzili się w swych kamiennych sarkofagach, wieka stu-
 pudowe unoszą i w bój ruszają. Huczał głos wielkiego dzwonu.
 Ostatnich śpiących budził i nawoływał swym dźwiękiem śpiżo-
 wym, przyczystym. Niezdobyte wierzchołki, niedostępne bogac-
 twa głębin, cała ta nieskończoność marzeń i zapatrzeń, bliska się
 stała i dziecinnie łatwa. Siłę swą człowieczą poczuli. Co dzień
 tak po nocnej klęsce słabi i poniżeni, dźwigają się z klęczek i
 falanga za falangą w bój rusza. Bez śladu strachu ruszają na-
 przeciw kostuchy, która czarnymi oczodołami ziejie i kosą chrzęści.
 Oto jeden z tych niezłomnych śmiałków wyprężył się dumnie,
 twarz mu posiniała i oczy z orbit wylażyły. Przechylił się nad sto-
 łem i ręce przed siebie wyciągnął. Wyglądał jak rycerz przystę-
 pujący do pojedynku. Charkot straszny z ust mu się wydobył.
 Ciałem jego siła wraza zamotała. Skurczył się i głową z łuskotem
 na stół opadł. Podskoczyli i pod ręce go ujęli. Unieśli to ciało
 bezwładne i w oczy zaglądać mu zaczęli. Martwy już czy jeszcze
 żywy?

Padają w morderczym boju zakonu rycerze. Śmierć towarzy-
 szy jak cień. Jej żniwo obfite niezwykle. Jednak dłoń szklanic

z gorzałą nie popuści do końca. Wolność tu skarbem najważniejszym i w jej imieniu ten bój śmiertelny toczą.

— Ni Boga ni Pana! — ktoś zawołał z mocą.

Wolność niczym nieokiełznana. Uczucie to bliskie sferze cudów. Pęta i wszelkie kneble precz odrzucone. Błuznią więc i największe świętości bezczeszczą. Nikt nie da rady tych rabów niedawnych batogiem zagnać z powrotem w pokorną trzodę. Pękły wszelkie tamy. Pieśń huczy dzika. Jakże wysoko wzniosł się człowiek. Ta równina grząska i jałowa, niczym step bujny się rozpościera. Urodą nagle objawioną i przestrzenią nieskończoną porywa. A oni, mazowieccy kawalerowie jak kozacy z wieków zamierzchłych, wnet swą Sicz opuszczą i popędzą na podbój nieznanych ziem, brankę brać, łup zdobywać, wraz z sióła palić... Ruszają skrzydlaci władcy świata bez granic.

— Ni Boga ni Pana! — ochoczo pokrzykiwali i wszystkie ziemskie i nadziemskie potęgi pospołu wzywali.

Jednak, jak powiedziano wyżej, czart przecież czuwał. Nie wiadomo jak się zwał, Mefisto, Belzebub, Asmodeusz czy Lucyfer. Nie wiadomo, który drań został w te strony wysłany. Czuwał jednak nieubłaganie i wcale nie miał zamiaru ludziom folgować. Na razie bawił się jeszcze ich pychą i rozpasanym mniemaniem o swojej wolności. Ale już szykował się do uderzenia. Zapomnieli ludzie o jego potędze i to go złościć zaczynało.

Butelka pełna wódki sama z siebie na podłogę spadła. W drebiezgi rozbiło się szkło. Pozłorzeczyli trochę i zaraz o tym zapomnieli. W krótki czas potem blacha na szynkwasię zadzwoniła z niczego, jakby ktoś pięścią rąbnął i zarazem zachichotał. Bufetowa swój łeb kudłaty uniosła i głupawo rozchyliła usta. Nikt poza nią na ten odgłos uwagi nie zwrócił. Dalej kłębili się ludzie z ogromną energią i te czy inne niespodziewane zakłócenia nastroju im nie psuły.

Kościej, on jeden w całej ciżbie, niespokojny naraz się stał. Szyję wyciągnął i w drzwi się zapatrzył. Może miał on swoje czułki? Akurat najmłodszy z kawalerów za wyschniętą rękę go chwycił i powtarzał natarczywie: — Stary, prawda to, że koń podwójnie widzi i dlatego człowiek wydaje mu się olbrzymem?

Wtedy to drzwi z hukiem się rozwarły i w progu stanął zwalisty chłop w gołęxim mundurze. Jednym buciorem tupnął, drugim tupnął. Błoto pocałował omiatać. Powoli przesuwał ślepiami i każdego nimi macnął. Kłujące miał spojrzenie i uważne.

Zachichła wrzawa, co przed chwilą jeszcze wydawała się nie do opanowania. Szklanice do wypicia uniesione powoli na stół opadły i z ust już żaden głos nie wychynał. Strach był w ludziach. Każdy z nich pomyślał, że to po niego przyszedł komendant Biały.

Wyglądał jak spasiony kocur. Hipnotyzował swoje myszy. One oddech wstrzymywały. Ciągłe tkwił w progu, nieruchomy i groźny. Nogi rozkraczył, pas mundur opinał, pałka biała do boku przytroczona. Każdego ta biała maczuga bolesnym przypomnieniem smagneła. Cisza martwa zapanowała i słychać było ten deszcz uporczywy, co w szyby dzwonił.

Tak patrząc na ludzi musiał mieć szatan nie lada uciechę. W najwyższe sfery wolności ich wpędził i raptem walnął obuchem. Znaleźli się na czworakach. Biedne raby, znów pełzali jak co dnia.

Komendant Biały nozdrzami lekko poruszył i wciągnął do płuc to ciężkie powietrze, złożone ze smrodów kapusty, gorzały, piwa i parującej odzieży. Skrzywił się ze wstrętem. Oczy w kose szczeliny zwęził i tak patrzył a patrzył. Szynekwas i bufetową spojrzaniem swym omijał. Wreszcie mocnym, służbowym krokiem w głąb sali postąpił. Pochylił się nad stołem przez sam kwiat kawalerstwa obsiadły i pupilów swych we władanie zagarnął. Znieruchomieli. Oczy ich wiernym, psim odzewem mu odpowiadały. Czekali w napięciu. Nie wiedzieli bowiem, co zechce od nich pan wszechwładny.

— *Rebiata!* — huknął Komendant Biały.

Wstali od razu. W karnym pogotowiu czekali na dalsze jego słowa. Psi los na wszystko przygotował ich od lat. Daremna jest rzeczą wierząc przeciw ościeniowi. Gdzie to zostało powiedziane? W księgach największych mądrości takie słowa być tylko mogą. Nie czytali tych ksiąg. Mieli to we krwi.

— Werbunek robię... — ciągnął już powolnie Komendant Biały. Sycił się ich trwożliwym wyczekiwaniem.

— Werbunek robię, do ciężkiej, społecznej roboty... Który chce przystąpić na ochotnika? — zakończył głosem przypominającym cios pałą.

W tej samej chwili twarze jego poddanych rozluźniły się i uszło napięcie z wybałuszonych ślepiów. Uśmiechali się serdecznie i potakiwać zaczęli gorliwie. Palili się wprost do ochotniczego zaciągu. Nie ma nic lepszego jak los swój niepewny poznać, chociaż na najbliższe godziny.

— No to migiem! — rzekł Komendant Biały.

Kościeja wzrokiem ominął.

— Ty, dziadygo, niezdatny jesteś! — burknął. Tego dziada zawsze wzrokiem omijał. Taki jakiś był.

Ale Kościej powstał z trudem. Chwiał się i coś mamrotał. Swą szklaneczkę ze stołu podjął i odpił powolnymi łykami. Ostatnie krople wytrząsał na podłogę.

Komendant uczynił wojskowy obrót przez ramię i ruszył do

drzwi. Oni ławą za nim. Porzucili stoły zastawione. Porzucili fundatorów swych. Tak szczęście kończy się znienacka.

Bnęli przez targowicę. Trzymali się w pewnej odległości za komendantem. Prawo dystansu znali przecież doskonale.

Łłoto ciamkało pod stopami. Deszcz sobie popadywał. Szaro było i paskudnie.

Zaprowadził ich komendant Biały na podwórze za posterunkiem. Czarny diament hałdą olbrzymią tam zalegał.

Zawrzała robota. Za łopaty i kosze chwycili. Nikt tu się nie migał. Każdy chciał na uznanie zasłużyć. Każdy wiedział przecież, że w kartotece jest zapisany i łatwo może zamienić nocleg we własnej chałupie na aresztanckie, twarde łożo. Nawet kurołap gwałcił ręce z okratowanego okienka wyciągał i do roboty się rwał.

Prześcigali się więc w pośpiechu i sił wcale nie oszczędzali.

— Ruszaj się! Ruszaj się! — sami siebie poganiali bez pardonu.

Jeden z nich, stękając z wysiłku i zapierając się, wpełznął do piwnicznego okienka wielką bryłę węgla. Wyprostował grzbiet, otarł pot, co mu oczy zalewał i wielkie czarne ptaki nad sobą zobaczył. Przysiadł ze strachu. Całe stado wyleciało z trzepotem skrzydeł zza posterunku i zaraz zanikło gdzieś. Ale nikomu o tym nie powiedział.

— Zwid — wyśmieją kamraci.

W dłonie popluł i ze zdwojoną mocą zabrał się do roboty.

Komendant Biały dłonie za pas wsunął i był zadowolony.

Starali się jego chłopcy. Uciecha brała z tego widoku. Lubił posłuch i szacunek mieć. Być może pomyślał nawet o pracy jako sposobie reedukacji skutecznym, który ludzi z samego dna upadku wyciąga. Pot i wysiłek brudne dusze krynicznym strumieniem zmywa. Bo pot im naprawdę oczy zalewał, a czarny pył wdzierał się do płuc. Charczeli i dyszeli. Nienawistne pragnienia cisnęły się na usta. Niejeden złorzeczył szeptem. Ale nie ustawiali. Skąd tyle krzepy w tych mięśniach sflaczałych lub do kości całkiem przyschniętych? Może z nawyku, co w każdym głęboko zakorzeniony. Od pokoleń przecież grzbiety pod rozmaitymi panami zginali. Takie sobacze szczęście tu panuje. A ongiś podobno krajna wolności to była. Historia tak powiada. Może starożytna bajda to tylko. Kto to potwierdzić potrafi? Śladu po bujnym, szczęśliwym życiu nie pozostało. Dlaczego milczy ta sponiewierana ziemia i tylko ludzie wyją?

Kościej z rozstajów ustami mamlał i ręce przed siebie wyciągnął. Zadzierał też głowę. W górę patrzył. Co on tam widział? Nad ziemią wisiało czarne, deszczowe niebo. Patrzył w

górze i czekał. Może z chmur nisko nawisłych próbował odczytać jakąś odmianę. Ze znaków przeróżnych na niebie i ziemi przyszłość przewidywać można. Żył tak długo i tyle widział. Mógł się nauczyć jasnowidzenia. Otaczały go kłęby węglowego pyłu. Raz w nich zanikał, a raz pokazywał się wyraźnie. Jego wychudzone ciało było jak suchy kawał drewna przygotowany na stos. Cierpliwie towarzyszył swoim druhom. Stał przy nich i czuwał. Tempo nie słabło ani przez chwilę i węglowa hałda malała w oczach. Akuratny był ten zimowy fasunek dla posterunku. Miało i kamienia brak. Wysokiej jakości węgiel. Antracyt. Przez władzę dla władzy przydzielony.

— Migiem, *rebiata!!!* — pokrzykiwał komendant Biały.

Dla fasonu to czynił. Uwijali się przecież gorliwie. Z wysiłku bździli cuchnaco.

Skończyli ten czyn społeczny po dwóch godzinach bez mała. Wprowadził ich komendant Biały do swojej dyżurki. Zasiadł za biurkiem. Oni stali przed nim i czekali. Znow niespokojne myśli leęły się w zmęczonych głowach. Po trzech minutach według ręcznego zegarka marki Zorza wyciągnął urzędowe papiery spod przycisku w kształcie kosmicznej rakiety i zaczął tymi słowy:

— Wróg nie śpi, to jest stwierdzone, nie śpi nigdy, gad przekłety! — huknął dłonią na płask w biurko. — Kombinuje gdzie by tu przysmrodzić, zapaskudzić, popsuć. W najczulsze miejsce lubi uderzać.

Przytaknęli jednocześnie. A pod powiekami złe błyski schowali. Były one wyrazem pragnień najtajniejszych. Przycisnąć drania za słabiznę właśnie! Czyli w najczulsze miejsce uderzyć.

Komendant Biały papiery pogładził i dalej mówił tak:

— Są pewne dane niezbite, że wrogie elementy łeb zaczynają podnosić. Władzy chcą w budowie jutra prawidłowego przeszkodzić. Zarazę rozmaitą sieją — z ustami w ryj złożonymi niemy przez chwilę pozostał. Słów odpowiednich poszukiwał.

— Ludzie narzekają, rozbrykałi się, psie syny, tęczy, bredzą, dawno nie było! — wlepił w nich kogucie, zaciętrzewione oczy.

Cały czas potakiwali. Czuł ich uległość. Pasowała mu ona. Podobnie było wczoraj, kiedy z bufetowej zlązł. Na służbowej kozetce ulgę sobie zrobił. Leżało to ścierwo oddane i kwiczące. Wstał, spodnie zapiął i cały świat miał u stóp.

Zerknął na kozetkę wyłysiałym pluszem pokrytą. Wyłaziły z niej sprężyny. Z trudem oderwał wzrok od wspomnień.

— Znaczy, uważać macie na siebie i innych! O wszystkim w szybkim terminie meldować! Na razie wolni jesteście!

W progu pokłonili mu się jeszcze ostatni raz i po schodkach żwawo zbiegli.

Deszcz padał uporczywie. Pociemniało. Nastąpiła najgorsza pora. Noc zaczynała przesłaniać ziemię. Tą porą człowieka coś kłuć i uwierać zaczyna. Bywa nawet tak, że ciężarne baby pozbywają się niechcianego, kielkującego w nich życia. I łasica zakrada się wtedy do kurnika. Lubi ona świeżą krew. Wynurzają się źli ludzie.

Tak i teraz. Młaśnięcie błota posłyszeli. Zduszony szept. Zastłuchali się trwożliwie. Ale nic więcej nie usłyszeli.

To dwaj tacy skradali się w pobliżu targowicy. Podążali manowcami, omijali ścieżki. Bogactwo cudze ich zwabiło? Czy zemsta krwawa ich krokami powoduje?

Zło rodzi się tą porą. Niepokój podchodzi zewsząd. Coś w środku ssać zaczyna. Wampiry piją ludzką krew.

Nie wiedzieli gdzie podziąć się biedni wygnańcy. Rozglądali się światła jakiegoś poszukując. Dokuczało pragnienie.

— Może do Kulawego i za gardło tego dziada! — nadzieję nagłą przywoływał najmłodszy z nich.

Kulawy w swojej drewnianej nodze majątek trzyma. Siedzi na barłogu, czerwony kikut mu sterczy i gmera pluchami w wydrażonym drewnie pełnym pieniędzy.

Ale do niczego nie byli zdadni. Jeden z drugim westchnął. Jeden z drugim zamlaskał. Czadu gorzałkowego w nich zbrakło. Wyparował ten czad. Najmłodszy też skapcaniał i więcej się nie odezwał.

Powlekli się błotnistą drogą. Cisza głucha ich otaczała. Mostek na strudze zajączkał przegniłymi belkami. Minęli Bieustny Las. Ten las to kilkanaście ledwie drzew, nagich i cienkich jak piszczele. Jeszcze parę chałup. Nieoświetlone, martwe.

Miasteczko jest nieduże. Wnet na szczerym polu się znaleźli. Cmentarny mur czerniał opodal. Łonem Matki ten cmentarz nazywany. Przytulić się i zasnąć na wieki. Stanęli pod murem i papierosy zakurzyli.

Tam za murem w zapadłej mogiłce suka miała swoje legowisko. Oddech ona wstrzymała. Do jej sutków cztery szczenięta przywarły. Cmokały i popiskiwały. Suka uszy nastawiła i przywarowała ze zjeżonym grzbietem. Bała się ludzi okropnie.

Ale oni tylko słyszeli szelest blaszanych wieńców na krzyżach. Daleko w ciemnicy coś zarzęziło okropnie. Ktoś kogoś dopadł i wali siekierą z siłą ogromną? Rozłupany czerep, gasnące ślepie i zamierający głos Boga wzywa... Gdzie podziął się ten pastuch, kretyn z wielką głową? Czy ta jałówka, kochanka jego luba, pod nóż już poszła? Ludzka dusza jak ta jałówka pod nożem zdycha.

Pełne udręki oczy w Kościeja wlepili.

— Stary, powiedz coś!!! — najmłodszy zapalczywie za kaptę go chwycił.

Zwlekali przed nocą i kupy się trzymali. Raźniej im było. Oddechy swoje czuli.

Suka pełzając między mogiłami od muru się oddalała. Szczenięta swoje w zębach przносиła. W chaszczce co dawne groby zarosły przносиła swoje potomstwo. Grzbiet miała jak grzebień zjeżony i bronić była miotu gotowa.



Komendant Biały w okno się gapił. Za oknem ciemnica. Wsiąkała w ciemnicę hołota zapijaczona, co węgiel do piwnicy mu wrzucała.

Opustoszała targowica. Gasną światła. Zamykają już gospodę.

Chwyciła go tęsknota. Za jakąś podróżą w nieznane, cholera wie gdzie! Za odmianą losu nagła. Pastuchem będąc, często w wysokie, pogodne niebo głowę zadzierał. A tam płynęły białe, malutkie chmurki. Tak płynęły i płynęły. Ciężka ta tęsknota i dławiała. Najchętniej w taki czas wychodzi z posterunku. Coś go wypycha i każe iść. W noc idzie i wzdycha. Pijacy gdzieś w ciemności się snują. Robactwo, co po tej ziemi się rozlało. Okradają kogoś, biją. A niech tam. Ciamka błoto pod stopami. Zapada się człowiek. Nogi ciężko wyciągać. Dochodzi do cmentarza. Łonem Matki cmentarz nazywają. Opiera się o mur. Postoi tak trochę i w powrotną rusza drogę.

Tak było tydzień temu. Wraczał od cmentarza. Deszcz padał jak dzisiaj. Doszedł do targowicy. Ktoś stał pod budynkiem posterunku. Pędzel w kubie maczał i płynnym ruchem przesuwiał nim po murze. Widział go od tyłu. Wysoki, postawny chłop. Ruchy miał pełne starannego spokoju. Nie wyglądał na malarza. Malarze chwieją się przeważnie, niezgrabni i niechlujni, wiecznie pijani partacze.

Na frontowej ścianie pędzlem coś znaczył. Czarne krechy wyrastały na murze. Dobrze oświetlone to było miejsce. Jakby nie tylko od żarówki, która nad drzwiami w drucianej koszulce jest zamocowana. Jakby dużo więcej watów ta żarówka dostała.

Parę ostrożnych kroków postąpił komendant Biały. Miał tego osobnika w pełnym widoku. Nigdy takiego tu nie widział. Bardzo jasny. Cały w tym świetle skąpany, co nie wiadomo skąd brało początek. Bardzo młody. Tych młodych znał wszystkich. Podobni oni do siebie. Ten nie podobny do nich wcale. Prosty i smukły. Wyraźnie z innej był gliny.

Mieć takiego syna! Myśl nieoczekiwana wystrzeliła mu w głowie. Urodziwy i w robocie swojej akuratny. Równym rytmem pędzła rysunek swój ciągnął.

Był to stary symbol. P — litera w kotwicę wpleciona. Wyraziście i mocno na murze zakwitła. W oczy biła. Oczy swymi szponami szarpała. Zdumiał się komendant Biały. W dzieciństwie często kotwice na murach widział. Zewsząd mury obłaziły. Za dnia zeskrobywane zajadle, nocą znów się pojawiały. Od lat zanikły one zupełnie. Niepodległość przecież narastała. I znów pokazywać się zaczęła?

Kotwica z literą złączona jak drapieżny orzeł wyglądała. Szpony i skrzydła rozpostarła. Zaraz szarpać zacznie. Skrzydłami zatrzepocze, oczy wydziobie...

Ocknął się komendant Biały. Przystąpił do obowiązku.

— Stój! — wykrzyknął zduszonym głosem. Wyskoczył z ukrycia. Rozdygotaną dłonią pistolet z kabury wyszarpywać zaczął.

— Stój, bo strzelam!!!

Ciemno było przed nim. Tylko żarówka nad drzwiami rzucała skąpe światło. Młodzieniec zniknął bez śladu. Nawet kroków nie posłyszał komendant Biały. Oświetlił latarką mur. Kotwica pozostała. Przesunął po niej palcem. Farba palec mu zapaskudziła.

Tydzień już komendant Biały swoich ludzi w teren wysyła. Na żaden ślad dotąd nie natrafili.

Za oknem ciemno, że oko wykol. Usiadł na pluszowej kanapce. Opadła mu głowa. Zapadł w płytki, zły sen. Zerwał się naraz i powiódł wokół nieprzytomnym, przerażonym wzrokiem.



Toczyła się błotnistą drogą udręczona wataha. Ludzka mierzwa w gnoju utyłłana. Człapali niemrawo. Łby ciężko zwiesili i brnęli przed siebie mozolnie. Nie było już żadnej nadziei. Żeby chociaż księżyc w taką noc. Zimny, blade krążek. Nic.

Z powrotem dotarli na targowicę. Najmłodszy, co wyrwał do przodu najzwawiej, cofnął się gwałtownie i oczy dłonią przesłonił. Zakwilił dziecięcym głosem. Wszyscy za nim stanęli jak wryci. Serca im dęba stanęły. Światłość nagła w oczy uderzyła i grzbiety wyprostowała. Zapatrzyli się w górę. Oddychać nawet nie śmieli.

Światłość niebiańska na ziemię spływała. Cała targowica w niej była skąpana. Wraz z tą światłością postać nadludzka w górze się objawiła. Z nieba na ziemię zstępowała. Niezwykłej czystości

to było zjawisko. Łagodność i siła zarazem. Groza biła z tej postaci uskrzydłonej nad ziemię swój lot zniżającej. Głowa w świetlistą zdobną była aureolę. Niby w koronę ze szczerego złota. Jarzyła się blaskiem szlachetnym. Piękna była niewymownie. A światło, które tę postać nadprzyrodzoną otaczało, płynęło gdzieś spoza chmur nisko nad ziemią nawisłych. Noc to światło precz przeganiało. Dzień pogodny czyniło. Archanioł zstępował na ziemię. Skrzydlaty niebios posłaniec. Spowity był w szatę bielszą od mleka, nieskalaną ziemskim brudem. Miecz gorejący co krwawym blaskiem bił, oburącz dzierżył w mocarnych dłoniach. Unosił ponad siebie i do ciosu sposobił.

— Patrzcie!!! — zdołał jeszcze wykrztusić najmłodszy i na ziemię tym razem wskazał.

Mąciło się w głowach. Głowy czadu pełne. Oczom swym przez chwilę nie wierzyli.

Komendant Biały w gnojówkę wdeptany, niczym robak pełzał. Wił się ohydnie i oczy osłaniał. Strach go w ziemię wgniatał.

Głos jego cienki posłyszeli. Psią rozpaczą nabrzmiały.

Zaraz szum porywisty ogromnych anielskich skrzydeł głos jego zagłuszył. Zniżał swój lot Archanioł i ponad nimi skrzydła rozpostarł. W cieniu anielskich skrzydeł się znaleźli. Czuli boskie tchnienie. Rozpalone twarze im chłodziło i spokój dotąd nieznanym w zagonionych duszach zagościł. Słowa modlitw dawno zapomnianych sobie przypomnieli. Wracały one na usta z łatwością.

Niebiański przybysz swym mieczem gorejącym wypali chwasty wszelakie, co tę ziemię zarosły. Sąd to będzie za żywot ludzki zmarnowany, gorzałą zadzumiiony i beznadziejny. Za całe to istnienie złem i podłością przepojone. Za wszystkie te pokolenia, co do światła daremnie dążąc, zapadały się w ciemność. Za głód i wojny. Za lichotę i poczwarność wszelkich poczyniń. Za te wytrzebione lasy, piękne drzewa cięte bez umiaru. Za te rzeki zatrute, pełne zdechłych ryb. Za te opary, co ziemię czadem trującym otaczają i życie dławią. Za cały ten ciężar przeklęty, co ludzi w niewolników zamienia, duszę im odbierając i zwierzęcy los gotując. Nic nie uchowa się w tej światłości sprawiedliwej. Wszystko policzone będzie.

Tak stali wyprostowani i oczu nie osłaniali. Siła na nich z wysokości spływała. Moc oczyszczająca w tym była. Poczuli odwagę i wiarę. Zrzucali swe niewolnicze pęta. Boskie zjawisko chłoneli. I nie było ani śladu czarciej obecności. Nic nie czało się w ukryciu. Nic nie chichotało złowrogo.

Czekali na Archanioła. Stopami już ziemi dotykał i jego ogromna postać wieżę kościoła przesłaniała.

Święto Zmartwychwstania dźać się zaczynało na tej targowicy w gnoju utopionej, pośród domków szpetnych i niskich.

Leżał jak łachman komendant Biały. Nie budził już żadnego strachu i nienawiści. Marny człowiek. Marnością swego życia porażony. Wnet o nim zapomnieli. Ręce ponad głowy wyciągnęli i czekali. Czuli już dotyk boskiego zjawiska. Żłota aureola w oczach im się odbijała. Tak patrzyli i patrzyli. Aż siły im w ślepiach zbrakło. Załzawiły się one i obraz począł zanikać. Oślepli. Zanikł obraz zupełnie. Całunem szczelnym oczy się pokryły. Ciemność wokół nich zapanowała. Nawet mizernego światełka zabrakło. Świecek albo kaganka. Ani śladu boskiego działania. Ręce po omacku wyciągnęli. Deszcz siąpił nieprzerwanie. Dotykali się nawzajem. Chwycił ich zwierzęcy strach. Włosy zjeżył i serca trzepotać zaczęły. Co to było? Co to będzie? Spływał cud z nieba czy tylko w ich oczach załagał się zwodniczo? Kurczyć się zaczęli na powrót i garbić. Mali się stali i nędzni jak zawsze. Szczury w stadko stłoczone. Jeszcze oczy przecierali. Tego światła wciąż pragnęli. Nic nie zobaczyli. Czarna noc świat zakrywała. Pusta targowica. Jedno tylko oko na nich patrzyło. Żółte oko posterunku w ciemność wybałuszone. Małe, mętne światło przez kraty przeświecało. Magiczne oko tej nocy. Rzucili się do uciezki. Strach im sił dodał. Rozbiegli się po zaułkach i bramach. Pochowali się w swych komyszach. Przywarli do barłogów. Modły do nieba wznosili. O sen rychły i zapomnienie. Niektórzy do bab swych się garnęli, żywym ciepłem strach odgonić pragnąc. Nadsłuchiwali trwożliwie. Idzie ktoś? Zapuka do drzwi. Latarką oślepi i wyłazić z wyra każe.

Widziało wracało. Archanioł zstępował z mieczem ognistym. Nadludzkiej postaci i pięknego oblicza. Czyste kryniczne oczy każdego z nich przenikały. Przewracali się na swych barłogach. Prawda to czy zwid chorego umysłu, majaki zamąconej wyobraźni? Pozostał Kościej na targowicy. Ni to świętek ni człowiek. Drzewo piorunem wypalone, co ludzki przybrało kształt. Nogi w gnojowisku szeroko rozkraczył i tak stał. Pierzchnęli w cztery świata strony jego kamraci. A on pozostał. Czy widział nadal to światło nadziejskie? Nie oślepl? Ustami bezdźwięcznie poruszał. Czekał samotnie. Czuł w sobie i dokoła siebie dziwne, niepojęte poruszenie. Deszcz padał strugami, to znów ustawał z nagła. Raz ciepło nachodziło, a raz zimnica trupia przenikała. Czarne, niskie niebo błyskawicami rozszczępione. Pokazywały się gwiazdy. Klejnoty nieboskłon zdobyły. To znów zanikały zupełnie. Zmagało się Dobro ze Złem. W sobie to czuł. Życie z niego odchodziło i wracało pienistą strugą. Głosy chórów niebiańskich mieszały się z pomrukiem podziemnych mocy.

Tak stał i nogi mu pod uciskiem potężnym dygotać i chwiać się zaczęły. Stękał i grzbiet w pałąk mu się wygiął. Siłował się z czymś. Gnioło go i złamać chciało. Ręce wyciągnął i do uścisku rozpostarł. Głowę pochylił i kark mu zwęzłał grubymi żyłami. Kogo widział? Kto się do niego zbliżał? Stęknął strasznie i w gnojowisko padł. Paluchami błoto miesił. Stopami ziemię orał. Ciałem jego wyschniętym konwulsyjny dreszcz przebiegł. Zacichł. Pękło mu serce cudu wytrzymać niezdolne czy zaległ snem opoja bez miary utrudzonego. Znieruchomiał. Wtedy z ciemności wynurzyła się suka cmentarna i lizać zaczęła to ciało w gnojowicy utopione.

ROZMOWA

Wstąpił na najwyższy stopień masywnych, kamiennych schodów.

Jeszcze ostatnie spojrzenie na świat zewnętrzny.

Dziewczynka z tornistrem. Podobna do jego córki. Kolejka starych ludzi przed sklepem. Samochód-chłodnia. Dwaj w kombinezonach z torbami. Gołe gałęzie pobliskiego drzewa obsiadły wrony. Niebo. Bardzo chiwe spojrzenie.

Pchnął drzwi i wszedł do wnętrza gmachu. Zagroził mu drogę wartownik w czapce z paskiem pod brodą. Okazał wezwanie. Za barierką na stoliku telefon. Wartownik podniósł słuchawkę, wykręcił krótki numer. Coś mówił.

— Poczekajcie — rzekł.

W przedsionku ława. Usiadł. Przed nim na ścianie czerwone płótno z białymi, papierowymi literami. Litery składały się w słowa: Myśl przekuwaj w czyn.

Wyżej godło państwowe.

W kącie popielniczka na wysokiej nóżce. Pełno w niej pokurczonych niedopałków. Jeden tlił się jeszcze. Wpatrzył się w nikły dymek płynący w górę.

Czekał niedługo.

— Pan pozwoli ze mną — powiedział wąsaty młodzieniec w skórzanej kurtce i spłowiałych, wypranych dżinsach, który pojawił się przed barierką. Wąsy miał bardzo obfite i po sarmacku opadające w dół.

— Winda popsuta — dodał i poprowadził go reprezentacyjnymi schodami, pokrytymi rdzawego koloru sukniem.

Znaleźli się w długim korytarzu na drugim piętrze.

Stanęli przed drzwiami z tabliczką oznaczoną numerem 34.

Młody człowiek uprzejmym gestem wskazał na krzesło. Zawrócił i zaraz zniknął za sąsiednimi drzwiami.

Panował tutaj ruch. Trzaskały drzwi. Wchodzili i wychodzili. Przeważnie mężczyźni.

Doświadczonym okiem omiatał ich twarze i sylwetki.

Bez trudności odróżniał pracowników od interesantów. Zaznaczała się wyraźna odmienność w zachowaniu i wyglądzie jednych i drugich. Pozornie tacy sami. Jednak coś ich odróżniało. Oczy, ruchy... Nie umiał tego sprecyzować, nieuchwytność różnicy męczyła go nawet. Przypominał sobie rozmaitych, z którymi miał osobistą styczność. Był bowiem człowiekiem doświadczonym w tym zakresie. Uśmiechnął się blade. Nie znajdował się w najlepszym stanie ducha. Czuł się zmęczony i choć nadal głośno protestował na nieśmiałe sugestie żony, skłonnej widzieć ich dalszą egzystencję w innej części świata, to jednak w skrytości nocnych rozmyślań coraz częściej przyznawał jej rację.

Zatruta atmosfera w instytucie, ograniczone możliwości pracy badawczej, skarłałe wszystko, jałowe i bez perspektyw.

Te listy od kolegów, którzy wyemigrowali, jeszcze bardziej przypominały mu o szansie innego życia. Jątrzyły wprost. Złe samopoczucie pogłębiały komplikacje w życiu osobistym, też w zasadzie skutek tej pamiętnej nocy grudniowej.

Ukrywając się w gościnnych mieszkaniach, poznał dziewczynę i nie był to przelotny romans, trwał nadal, męczył, przeszkadzał (miał przecież żonę i ukochaną córeczkę), powodował napięcie i chorobliwą podzielność. Powodem udręk jego serca stała się osoba bardzo młoda i ten banalny fakt przeważał na niekorzyść żony.

Przyszłość nie zapowiadała zmiany na lepsze pod żadnym względem. Nie czuł się wcale herosem. Czy starczy mu sił? Idiotyczne pytanie. Począł nerwowo przetrząsać kieszenie. Nie znalazł papierosów. Gwałtownie zapragnął być dziarski i silny.

„Tak trzymać!” — określił to pragnienie terminem z zeglarskiego słownika.

Spojrzał na zegarek. Minęło pół godziny. Oni stosują ten zabieg dosyć często. Wzywają i każą wyczekiwać na korytarzu. Liczą na niepokój tych pytań rodzących się podczas czekania. Po co wezwali? O co będą pytać? Co wiedzą? Nie odczuwał szczególnego podniecenia. Raczej rutynowe zastanowienie.

Korytarzem podążał stary człowiek. Rozglądał się niepewnie po drzwiach. Porównywał numery na tabliczkach z papierem, który ścisnął w dłoni. Szukał właściwych drzwi.

Z przeciwnej strony minął go otyły osobnik w pikowanej kurtce. Ten szedł bardzo pewnie.

Wśród wezwanych mogą też być konfidenti, szpicle. W jaki

sposób rozpoznać takiego? Stary nie jest szpiclem. Ale ten w pikowanej kurtce może nim być. Szpicle oczy mają jak kieszonkowcy. Rozlatane, myszkujące.

Jakim ciasnym torem płynie jego myślenie. Nędza tego myślenia! W tej chwili był całkowicie zgodny z żoną.

— Wyjedźmy z tego bagna! — tak powiedziała wczoraj, kiedy powiadomił ją o wezwaniu.

Wyprostował się na krześle. Tak gwałtownie, że przechodzący akurat pracownik wojewódzkiego urzędu spraw wewnętrznych przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

Poczuł się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. Sam wobec siebie zakłopotany.

Drzwi opatrzone tabliczką z numerem 34 otworzyły się szeroko. W nich cywil. Poznał go od razu. Dobry znajomy. Stały oficer śledczy. Piastunem nazwał go na swój prywatny użytek.

Szerokim gestem został zaproszony do pokoju.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział oficer. — Niestety, nie wyrobiłem się z pewną niecierpiącą zwłoki pisaniną. Pan wybacz, doktorze!

Od początku znajomości z upodobaniem używał jego tytułu naukowego. Snobizm, kompleks, obłudne ugrzecznienie?

Stał naprzeciw i wzrost, masywna postura tego oficera przytłaczały go tak jak zawsze. Czuł się jeszcze mniejszy i bardziej wątpy. Denerwujący kontrast.

Oficer wskazał mu krzesło i poczekał aż usiądzie pierwszy, dopiero wtedy sam zasiadł za biurkiem.

— Zapali pan — przesunął w jego stronę paczkę Ekstra-Mocnych z filtrem.

Odmówił i takim samym ruchem odsunął paczkę w przeciwną stronę.

— Pozwoliłem sobie oderwać pana od zajęć w instytucie... — oficer wystukał delikatny takt w blat biurka.

Dłonie miał silne, białe, palce długie o krótko obciętych paznokciach, owłosione przeguby w niebieskich, nieskazitelnie czystych mankietach koszuli. Niewątpliwie był elegantem. Ubrał się z gustem. Dziś tweedowa marynarka koloru brązowego, koszula jasnoniebieska w nieco ciemniejsze prążki, krawat brązowy, kołnierzyk na guziki, rogi kołnierzyków najmodniejsze, zaokrąglone.

Zastanowił się nad pochodzeniem tego ubioru. Nie mógł być krajowy. Zagraniczny. Czy oficer sam wyjeżdża? Czy przywożą mu koledzy z innych służb? Pamiętał doskonale inne jego marynarki, bluzy, efektowny golf w malinowym kolorze. Tamtej zimy kilka razy miał malinowy golf na sobie.

— Jak tam leci w instytucie? — posłyszał dźwięczny baryton oficera. — Macie trochę kłopotów. Obciążli fundusz dewizowy... No i z wymianą stypendialną marniutko.

Od dawna wykazywał zainteresowanie jego pracą i najwyraźniej musiał posiadać wykształcenie typu ścisłego, nieźle znał problematykę i strukturę tej placówki naukowej.

— *A propos...* — dodał oficer — już dostarczyli wam te komputerki. Udane cacka, prawda? Nie będziecie tracili czasu na podstawowe operacje obliczeniowe.

Spojrzał na niego ze swoistym uznaniem. Zorientowany na bieżąco. Musi mieć swoich ludzi w instytucie. Od razu pomyślał o nowym laborancie. Nie miał do niego zaufania.

— Czy tak jak zwykle będzie pan odmawiał wszelkich odpowiedzi? — oficer roześmiał się, pokazując w tym szerokim uśmiechu białe, zdrowe uzębienie.

Przystojny. Wysoki, barczysty o pociągłej, śniadej twarzy z silnym, sinawo wygolonym zarostem, włosy czarne, gładko zaczesane w przedziałek, brwi także czarne, zrosnięte nad nosem podkreślały intensywny kolor niebieskich oczu. Muszą za nim przepadać blondynki. Po raz któryś z zazdrością zarejestrował to ucieśnienie męskiej urody. Powodzenie u kobiet było bowiem jego pragnieniem nieziszczonym.

— Jeszcze nie wiem — odparł. — Zanurzam się w przeszłość.

Była to prawda. Już od momentu wejścia do pokoju nr 34 przebywał jednocześnie tu i tam. Owa dwoistość intensywniała nieodparcie. Wtedy przebywał na parterze i prowadzono go na pierwsze piętro. Przez miesiąc ten sam oficer odbywał z nim codzienną rozmowę, często miewali nawet dwa posiedzenia, rano i po obiedzie. Tam w więzieniu nazwał go swoim piastunem. Zgrzyt klucza w drzwiach celi i profos wywoływał go na korytarz, mówiąc krótko: — Do śledzia!

Milcząca droga na górę. Piastun już czekał. Uprzejmym gestem wskazywał krzesło. Padały wstępne pytania. — Nazwisko, imię, imię ojca, nazwisko panięskie matki, wiek, zawód. Rozpoczęła się merytoryczna faza przesłuchania. Odmawiał odpowiedzi. Jeszcze na wolności przecież został pouczony przez ludzi doświadczonych o najlepszej formie obrony przed indagacją.

Po prostu milczeć.

Oficer śledczy cierpliwie zadawał kolejne pytania. Czas między pytaniami wypełniał treścią pomocniczą. Sugerował, jak wiele oni wiedzą. Podkreślał, że milczenie podejrzanego, jego uparta odmowa zeznań jest zwykłą dziecinadą; przecież w ten sposób pogarsza swoją sytuację. Wyjaśnił mu dobroczynną rolę artykułu 57 kk. Roztaczał przed nim ponurą wizję lat spędzonych w wię-

zieniu, lat jałowych i zmarnowanych. Zapalał się tą wizją przyszłości, żałował jego zdrowia, talentów, nerwów, nadmieniał o trudnościach adaptacyjnych do życia w stanie izolacji, zawieszając głos w nabrzmiałym troską pytaniu: — I na co panu to wszystko, doktorze?

Milczał. Choć sam równie plastycznie wyobrażał sobie te więzienne dni, miesiące, a może i dłużej. Chował dłonie pod stół, żeby ukryć nerwowy dygot palców.

Oficer ostentacyjnie odkładał papiery, starał się nawiązać z nim swobodą konwersację. Standardowy, goły pokój przesłuchań miał wtedy w intencji funkcjonariusza SB stać się przyjemną kawiarenką, siedzą przy stoliku dwaj druhowie, popijają i gwarzą; rzeczywiście włączył do kontaktu grzałkę i parzył herbatę. Jednakże wszystkie te zmiany konwencji były nieustającym przesłuchaniem, wyraźnym lub zakamuflowanym, jednoznacznym lub aluzyjnym.

Drażnił i kusił wolnością, opowiadał o *weekend*'ach, które spędzał w górach, jeżdżąc na nartach i zażywając kąpeli słonecznej na Hali Kondratowej i Ornaku.

Opalony, rozpięta koszula odsłaniała jego krzepką muskulaturę, wyglądał jakby zjawił się tutaj w więziennych murach prosto z malowniczego schroniska, schowanego pośród pokrytych czapami śniegu świerków, gdzie na polance z widokiem na wyniosłe wierzchołki gór wygrzewają się na leżakach narciarze, a wśród nich przechadza się leniwie wielki owczarek podhalański. Tak to sobie wyobrażał, mając w pamięci bardzo dawny, zimowy pobyt w schronisku na Hali Gąsienicowej.

Oficer opowiadał także o interesujących spektaklach filmowych i teatralnych. Zapewne wieczorami wybierał się do kina czy teatru ze swoją dziewczyną, narzeczoną, koleżanką, żoną. Widział ją jako roślą, zmysłową blondynkę. Z przyjemnością słuchał sugestywnego streszczenia filmu „Poszukiwacze zaginionej arki”; w tej opowieści poczuł smak egzotyki, przygód i odkryć z podróżniczych powieści dzieciństwa.

Pewnego razu oficer śledczy zwierzył mu się ze swoich kolei losu, nim zawędrował do pracy w resorcie spraw wewnętrznych. Był sportowcem, grał wyczynowo w water-polo. Opowiadał o jakimś międzynarodowym meczu, ostatniej decydującej bramce. Chwalił sobie to sportowe życie, zniżył głos: — I boki nieźle, dolarowe diety, coś kupić, przywieźć, sprzedać, wie pan jak to jest.

Szukał po omacku jakiejś więzi, chciał stworzyć pozory intymnych zwierzeń. Ta nadmierna szczerłość budziła w nim reakcję odwrotną do intencji śledczego.

Chociaż miewał chwile słabości i wtedy powtarzał sobie: — Trzymać się! Nie pęknąć! Boże, żebym nie pękł! — całkiem dziecinnie zwracał się do sił nadprzyrodzonych, modląc się o przyływ odporności, która pozwoli mu przeżyć wszystko z podniesionym czołem. Toteż podczas tych rozmów poza protokołem odzywał się skąpo, najchętniej monosylabami.

— Ależ mruk z pana! — zniecierpliwił się kiedyś oficer. — We wszystkim wietrzy pan podstęp.

— Przecież prowadzi pan przesłuchanie — odparł.

Tamten roześmiał się. Ale jego oczy nie śmiały się wcale. Oczy najczęściej nie brały udziału w zmiennych grymasach twarzy. Nieruchome, skupione. Czuwały.

Oficer śledczy potrafił zaskoczyć go gwałtowną zmianą nastroju: przechodził z życzliwej pogawędki w zimną oficjalność.

— Nastąpiła istotna zmiana w materiale dowodowym pańskiej sprawy — rzucił mimochodem. Zebrał papiery, włożył do teczki, którą zabrał ze sobą i wyszedł z pokoju.

Oświadczył tak na wstępie przesłuchania w pewien poniedziałek i nie wzywano go na górę przez kilka dni.

Innym znów razem uderzył pięścią w stół, mięśnie na gładko wygolonych, sinawych policzkach zwarły mu się w twarde guzy.

— Za bardzo pan sobie pozwala — ołowianym wzrokiem wpatrzył się w niego. — Chyba zmienimy metody.

Dłonie oficera spoczywały ułożone równo na stole.

Silne, szerokie dłonie. Leżały spokojnie, wyczekująco. Były groźne.

Pomyślał wtedy z ulgą, że oni przecież nie stosują tak jak dawniej tortur fizycznych, okrutnych metod przymusu. Bólu bał się zawsze. Wdzięczny był losowi za humanitaryzację w tej dziedzinie. Przyszła wątpliwość. Kto to wie?...

Teraz też zerknął na te białe, duże dłonie. Leżały na białej w leniwym spoczynku. W nich koncentrowała się siła. Czekała na sygnał. Z trudem oderwał od nich spojrzenie. Skierował w stronę okna. Było przesłonięte gęstą firanką.

— Zbyt wiele pan sobie przypomina — oficer trafnie odczytał jego zamyślenie. — Ulega pan łatwym emocjom. Uprzedzenia, animozje... Zapewne negatywna ocena mojej osoby, czy tak? — roześmiał się znów, tłok olśniewających zębów. — A przecież jestem tylko fachowcem. Właśnie fachowcem. Jeżeli postępowałem tak a nie inaczej, to tego wymagali ode mnie przełożeni, postępowanie moje stanowiło sposób realizacji przydzielonego mi zadania. Tego co było, doktorze, a nie jest... Warto obarczać sobie pamięć niepotrzebnym bagażem? Popadać w obsesyjne rozpamiętywanie? Jest pan wszakże racjonalistą, nauki ścisłe i tak

dalej. Zmienił się czas, znaleźliśmy się w nowej sytuacji. Można to chyba nazwać poszukiwaniem normalizacji, wyjściem naprzeciw postulatam społeczeństwa. Konkludując: nie jesteśmy wcale tak daleko od siebie.

— W więzieniu byliśmy najbliżej — nie mógł powstrzymać się od ironii.

— Jednej bronimy sprawy, tylko z różnych punktów widzenia... — oficer śledczy ciągnął spokojnie, wcale nie zrażony jego złośliwym sztychem. — Być może potrafię to zrozumieć, przykre doświadczenia, wyrok, rozmaite dolegliwości, nagonka, pozostają trwałe ślady. Wysoce stresowa sytuacja. Jednakże... — podsunął mu paczkę papierosów.

Już od kilku miesięcy ze względu na dolegliwości zdrowotne próbował się odzwyczaić od palenia i nie nosił ze sobą papierosów. Skusił się i zapalił.

Dym był mocny, ostro wchodził w płuca, narkotyczna rozkosz. Wraz z dymem Ekstra-Mocnego poczuł przypływ energii i postanowił przerwać oficerowi ten wywód.

— Jednej bronimy sprawy... — podjął jego słowa. — Nastawiony jest pan niebywale patriotycznie. Rozmawiamy jak Polak z Polakiem, tak to się nazywa, prawda? Narodowa idylla, kochajmy się rodacy, nic nas nie dzieli, przeciwnie, wszystko łączy. Stawialiśmy opór zaborcom, okupantowi, Stalin nie dał nam rady... A pan, choć zatrudniony w wiadomym resorcie, też pragnie tego samego co ja, inni, po prostu jest pan z nami!...

Oficer potakiwał mu cały czas głową; był to mechaniczny ruch głowy — sens jego wypowiedzi najwidoczniej nie obchodził tamtego wcale.

Urwał swą szyderczą tyradę, zły na siebie za tę absurdalną chęć polemiki: wezwany został tutaj w charakterze z góry wykluczającym sens jakiegokolwiek dyskusji. Rozdrażniła go ta niekontrolowana skłonność do mówienia, sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem i osobistym doświadczeniem. Jak na człowieka trzydziesto- pięcioletniego posiadał przecież bogatą kombatancą przeszłość.

Niedawno zapraszali go koledzy do wzięcia udziału w pielgrzymce na Jasną Górę. Miała to być pielgrzymka więźniów politycznych, kombatantów właśnie. Nie chciał żadnej martyrologii. Wydawała mu się patetyczną, pustą pozą. Odmówił. Potraktowali go jako apostatę. Uśmiechnął się, widząc znów pełne świętego oburzenia miny kolegów.

Oficer śledczy wsparł się rękoma o biurko, pochylony do przodu, wpatrywał się w niego z zainteresowaniem.

— Ja tylko do swoich myśli — wyjaśnił. — Sekretnych.

— Ach, tak... — tamten zgodził się uprzejmie, zapalił papierosa. — Panie doktorze... — zaczął.

Ten styl! Wykwintna konwersacja dwóch równorzędnych partnerów. Patrząc na tego dobrze ułożonego i tak ujmująco grzecznego człowieka za biurkiem, zobaczył go równocześnie w tamtej niezapomnianej scenie rewizji w swoim mieszkaniu.

Przyszli całą sforą i zabrali się do skrupulatnego bebeszenia jego regałów, biurka, szaf, kubłem do śmieci też się zajęli z taką samą gorliwością. Oficer kierował akcją, zasiadł za stołem i uśmiechnął się ze zrozumieniem do niego, leżącego wtedy w łóżku.

— Grypa? Tak, w tym roku szaleje epidemia jakiegoś wirusa. Zaczyna się przeważnie od gardła. Sam przeleżałem kilka dni... — mówiąc spoglądał na swoich ludzi przekładających stopy papierów i książek. — Jeszcze tam! — wskazał im zapomnianą stertę starych gazet i maszynopisów w kącie obok kaloryfera.

Zainteresował się jego podręczną półką nad łóżkiem, pełną specjalistycznych książek z zakresu fizyki. Były przeważnie obcojęzyczne i okazało się, że oficer dosyć biegle czyta po angielsku. Wyciągnął z ciasnego rzędu tom szkiców o fizykach XX wieku. Wpierw przejrzał pod kątem fachowym, sprawdzając czy między kartkami nie ma jakichś ukrytych papierów. Zatrzymał palec na rozdziale poświęconym Heisenbergowi. Interesowała go postawa moralna wielkiego uczonego podczas wojny. Pozostał przecież w hitlerowskich Niemczech.

On na swym madejowym łożu, zakatarzony i kaszlący, otoczony przez krzątających się pracowicie tajniaków, zapomniał o tych okolicznościach i wdał się w długi wywód o Heisenbergu, Wernerze von Braun i innych niemieckich uczonych.

Oficer słuchał bardzo uważnie, wtrącał uwagi świadczące o rozeznanii w tym przedmiocie.

Tak to trwało długi czas i nagle przykrym wstrząsem dla niego stał się ów kulminacyjny moment, kiedy polecono mu wstać z łóżka i przygotować się do opuszczenia mieszkania.

— Pojedzie pan z nami — oświadczył oficer. Wstał i osłaniając się wstydliwie, począł naciągać kalesony.

— Chwileczkę — oficer podszedł do niego i obmacał go sprawnie. Nakazał mu kucnąć i widząc jego zaskoczoną minę, przygiął mu lekko grzbiet i zaszedł od tyłu.

— Zsunąć kalesony — rzucił zimnym, bezosobowym głosem. Ściągając zażółcone w kroczu kalesony i przykulając chude, owłosione nogi, doznał poczucia ohydneho, poniżającego obnażenia. Ta fachowa perfekcja z jaką oficer przygiął mu grzbiet i stanął-

szy za nim na szeroko rozstawionych nogach, barczysty i elegancy, przesuwał dłońmi po plecach i przenikliwym wzrokiem sondował jego kościsty, wypięty zadek — pozostała dla niego najważniejszym doświadczeniem. W więzieniu nieraz o tym myślał (przejdziem od Heisenberga do dupy nazwał ten problem) i idąc pierwszy raz na przesłuchanie doznał niemałego zaskoczenia na widok tego samego oficera, siedzącego za stołem. Wkrótce przyzwyczylił się do niego i mówił o nim obojętnie i poufale jak wszyscy więźniowie: — Mój śledź.

Więc powróciła tamta scena z całą naturalistyczną wyrazistością i odpowiedział oficerowi na jego uważne, przenikliwe spojrzenie równie zimnymi, nieprzejednanymi oczyma.

Mocowali się chwilę i pojedynek pozostał nierozstrzygnięty, sygnał telefonu i oficer szybko podniósł słuchawkę, rzucając energiczne: — Tak! Słucham! — zaraz zmienił mu się głos; ciepły, miękki: — A, to ty!... Skąd! Niepotrzebnie się niepokoisz... Po prostu mogę później... Oczywiście, kupiłem. Taką jak chciałaś... Na pewno! Do zobaczenia, babuniu!!!

Odłożył słuchawkę i rzucił na niego krótkie, nieco spłoszone spojrzenie; zapatrzył się w okno, sięgnął po papierosa. Fala zainteresowania tym człowiekiem po drugiej stronie biurka. Jaki on jest? Czuły wobec babuni. Głos miał ciepły, troskliwy; uspokajał i koił tym głosem. Babunia! Matka, teściowa lub babcia po prostu. Babcia i wnuk.

— No więc... — oficer na powrót ukwił w niego spojrzenie — nasza rozmowa ma charakter bardzo ciężki. Duży opór, uprzedzenia z pana strony, doktorze...

— Owszem — przyznał. — Intuicja nie zawodzi pana, poruczniku.

— Kapitanie — poprawił go tamten łagodnie.

— Awansowano pana, gratuluję!

Oficer skłonił lekko głowę.

— Cały czas myślę o tych przeszkodach w naszym dialogu... — podjął temat. — Jak je usunąć? Jak przekonać pana? Zanim pan wyolbrzymia niektóre zdarzenia. Podparł głowę łokciem; wyglądał na człowieka autentycznie zafrasowanego. — Wyrobił pan sobie fałszywy wizerunek pracownika resortu. Pretorianie, żelazna kohorta, prawda? Tymczasem my wykonujemy tylko polecenia. Rozkaz, rozumie pan?

Potrafił zrozumieć to wyjaśnienie. Nawet dać temu wiarę. Już chciał przytaknąć. Zreflektował się w ostatniej chwili i pozostał z twarzą zamkniętą niby szczelna puszka, chroniąc się przed

erozyjnym działaniem czynników zewnętrznych. Ale w myśli zakiełkowało to ziarno.

Rzesza młodych i starych ludzi, zatrudnionych w wielu urządach spraw wewnętrznych na terenie kraju; w dyskretnych komórkach przedsiębiorstw i biur, w imponującym kompleksie gmachów i ministerstwa w stolicy. Jakimi motywami kierują się w swoim myśleniu? Wyższą koniecznością, racją stanu, ślepą wiarą, jedyną w ich mniemaniu szansą bytu Polski.

Jakiej Polski? Półkolonii, wasala, republiki przynależnej do związku wielu republik. Mówią tym samym językiem, tu się urodzili, mają swą przeszłość, rodziców, pamięć. Są przecież z nas. Czyżby więc zatracili już zdolność wolnego myślenia i myśl nadrzędna, sterująca stając się automatycznie rozkazem do wykonania bez cienia wątpliwości. A może są to najgorsi spośród nas, ludzie bez wiary i nadziei, wychowani w tym trującym przekonaniu od zarania i pracując w potężnym resorcie utwierdzają swe przekonanie o jedynej możliwej wolności w zniewolonym świecie. Wywyższeni zaszczytną służbą, pyszną się swą rolą, batożąc niesforną czerń poddaną ich pieczy. Może... Nie chciał ulegać kolejnym dogmatycznego osądu, pragnął być wolny i pozbawiony uprzedzeń w swojej analizie. Jakim człowiekiem wreszcie jest oficer po drugiej stronie biurka? Może tylko służbistą, gorliwym służbistą przez lata pracy wciągniętym w tryby maszyny MSW; poza sferą obowiązków jest niezłym człowiekiem, wolnomyślnym na swój prywatny użytek. Myśli i ocenia podobnie jak on, inni. Ta optymistyczna refleksja wydała mu się prawdopodobna. Przecież śledczy bywał nieraz po ludzku życzliwy. W więzieniu na przykład zgodził się wziąć od niego kartkę imiennową dla matki. Pragnął w ten sposób skrócić długi proceder wysyłania korespondencji za mury. Śledczy słowa dotrzymał i kartka po dwóch dniach dotarła do adresatki.

— Rozumiem... — westchnął oficer. — Nie ma pan do mnie zaufania. Jednak okoliczności są zupełnie odmienne, nie przebywa pan tutaj w charakterze podejrzanego, nie prowadzę żadnego przesłuchania, nie zadaję pytań, ani nie zapisuję pańskich odpowiedzi. Widzi pan więc, doktorze, że staram się wszystkie okoliczności brać pod uwagę. Nie tylko rację jednej strony, także drugiej. Posiadam wyobraźnię, nie jestem mechanicznym robotem. Żyję, widzę, mam wątpliwości, rozterki, wyciągam samodzielne wnioski. Toteż wydaje mi się, że szczypta dobrej woli z dwóch stron... — To zdanie przerwał telefon. Szybko podniósł słuchawkę.

— Tak. Tak. Tak jest! — Aż użył zastanawiających słów.

— Wczoraj już zaczął popuszczać... Popuści, popuści do końca! Z tamtej strony linii buchnął donośny śmiech. Oficer odpowiedział takim samym śmiechem. Koniec rozmowy.

A jemu ten śmiech skojarzył się z pożegnaniem wolności.

Pierwszą noc spędził w piwnicy milicyjnej komendy. Przyjechali po niego w południe. Oficer z drugim pracownikiem SB. Oficer był w modnie skrojonym, sukienym płaszczu koloru zielonego, buty miał czarne z cholewkami na wysokim obcasie, emanował męską świeżością, tężyzną. Silnie odczuł ten kontrast — sam wymięty, brudny i nieogolony po nocy przemęczonej na deskach piwnicznej celi.

Wyprowadzili go na podwórze. Tu stał samochód.

— Rączki proszę — powiedział oficer.

Nim zastanowił się, o co tamtemu idzie, już na przegubach poczuł chłodny, śliski metal kajdanek. Równocześnie oficer ziewnął szeroko, zatrzeszczały mu szczęki od tego zdrowego odruchu organizmu, popatrzył w górę na niebieskie, zimowe niebo, tupnął butem, zachrzęścił śnieg; ziewnął jeszcze raz i złościąc butem śnieg zwrócił się do swego towarzysza: — Dobre warunki. Zjechałoby się na deskach z jakiejś górki, nie?

Wepchnęli go do samochodu. Wzięli między siebie jak w kleszcze.

Wielka chęć na papierosa. Kusząca paczka Ekstra-Mocnych na biurku. Wcisnął dłonie w kieszenie marynarki.

Miał już dosyć tej mętnej, wyczerpującej rozmowy. Sprężył się na krześle i rozpoczął dobitnie.

— Prowadzimy rozmowę zupełnie bezprzedmiotową. Właściwie jednoznacznie pozbawioną sensu. Żeby to stwierdzenie uzasadnić, będę operował truizmami. Przepraszam, to konieczne. Pewne elementarne pojęcia muszą być powiedziane dla jasności sprawy. Dla wykazania podstawowej różnicy. Różnicy, obawiam się, nie do zniwelowania. O jakim tu partnerstwie może być mowa? Co pan sobą reprezentuje? Służbę bezpieczeństwa. Służbę, która z tak wielką gorliwością stara się wykazać, że wszelkie działania opozycji demokratycznej to robota zdrajców, zgoła agentów na obcym żołdzie. Służba bezpieczeństwa to szlachetna, czysta racja narodu, opoka jego egzystencji, a my to wichrzyciele, najemnicy, brudna piana i nic więcej. Jaki więc może być dialog między nami? Pan z niewzruszonym spokojem swego służbowego sumienia i ja! Przemoc przecież nie interesuje się takimi mrzonkami jak prawda, sprawiedliwość, dążenia większości, rewindykacje utraconych praw itp. Dlatego nie mam najmniejszej ochoty na tę fikcyjną dyskusję. Nie widzę żadnego powodu.

Absolutnie. Zamknęliście mnie w więzieniu, zostałem wypuszczony na podstawie amnestii i proszę powiedzieć konkretnie, w jakim celu otrzymałem wezwanie na dziś do wojewódzkiego urzędu spraw wewnętrznych... — zaschło mu w gardle, tracił impet. — Ponadto nie mam czasu. Pracuję, jak panu wiadomo... — wymownie spojrzął na zegarek.

Tamten również popatrzył na swój elektroniczny zegarek na metalowym pasku.

— Też pracuję. Tylko inaczej. — Przygładził czarne, gładko zaczesane włosy, błyszcząły intensywnie; musiał czymś smarować. — A więc... — zmienił ton, sucho i oficjalnie — otrzymał pan wezwanie w celu przeprowadzenia rozmowy ostrzegawczej. Wiemy doskonale, że nie zaprzestał pan kontaktów z podziemiem politycznym. Obserwujemy, czekamy. To na marginesie. Tym razem rozchodzi się o dzień 11 listopada, czyli rocznicę odzyskania niepodległości. Mamy sygnały o zaplanowanych uroczystościach, msza w katedrze, pochód pod pomnik, wiece, przemówienia. Taki instruktaż podany został w waszym piśmie, prawda? Radzę panu, doktorze, trzymać się od tego z daleka. Tym bardziej, że amnestia, z której dobrodziejstwa pan skorzystał przed kilkoma miesiącami, jest warunkowa. Warunkowa! — powtórzył z naciskiem.

— Jestem człowiekiem wolnym — oświadczył. — Przynajmniej, wbrew pana przypuszczeniom, takim się czuję i będę czynił to, co uważam za stosowne!

Twarz oficera nadal jaśniała w sympatycznym uśmiechu. Był to uśmiech jak grymas, oczy pozostały bez uśmiechu, szklano-niebieskie, zimne i pochłaniające. Jedyne skurcz palców na gazowej zapalniczce marki Ronson uszedł jego kontroli — silnie zacisnął palce na tym metalowym przedmiocie.

— Gdyby to ode mnie zależało... — obracał w palcach zapalniczkę — to topiłbym was w dole z niegaszonym wapnem. Jak kocięta — dodał równym głosem bez śladu wzburzenia. — Ale niech pan się nie obawia, doktorze. Nie tak łatwo dają się ponosić emocjom — uśmiechnął się szeroko, błysk zębów jak reklama pasty w amerykańskim, kolorowym tygodniku. — Jestem zdyscyplinowanym pracownikiem resortu... Oczywiście, jeżeli otrzymam takie zadanie... — nie dokończył i popatrzył na niego z powagą. Głębiny ciemnoniebieskich oczu. Nie wytrzymał tego spojrzenia. Opuścił głowę.

Nader plastycznie wyobraził sobie, jak oficer chwyta go silnymi rękoma, pobrzękuje metalowa bransoletka zegarka na przebiegu lewej dłoni; chwyta go więc i ciska z rozmachem w prze-

paść ziejącą śmiertelną bielą wapna. W ostatnim momencie obraz tej twarzy ujmującej, urodziwej, twarzy stuprocentowego mężczyzny o szerokich, mięsistych ustach, kwadratowym podbródku, wydatnym nosie i czarnych brwiach zrośniętych nad szklanymi oczyma.

— To tyle na dziś — posłyszał głos oficera śledczego. — Uprzedziłem pana o ewentualnych konsekwencjach i jeszcze raz powtarzam: nie radzę inspirować niepokojów w mieście. Samą swą obecnością. Dodam prywatnie — jego głos nabrał cieplej barwy. — Najlepiej wyjechać sobie gdzieś. 11-ty to niedziela, zatem sobota jest wolna, można wyskoczyć na *weekend*. W górach o tej porze...

— To wszystko? — przerwał mu porywczo.

Tamten flegmatycznie skinął głową.

Wstał, odsuwając z hałasem krzesło.

Oficer również wstał.

— Jeżeli pan zechce, to mogę podrzucić do instytutu — poprawił krawat, strzepnął jakiś pyłek z rękawa marynarki. — Jadę w tym samym kierunku.

Jego milczenie potraktował jako zgodę na swą propozycję. Poprowadził go korytarzem wojewódzkiego urzędu spraw wewnętrznych. Schodami w dół.

Mijali ich młodzi, rośli mężczyźni. Niektórzy z nich pozdrawiali oficera poufnym: — Cześć! Na niego zaś rzucali krótkie, uważne spojrzenia.

Wszyscy mieli jednakowe oczy. Zimne, nieprzeniknione, rejestrujące z fotograficzną ścisłością żywe i martwe obiekty na drodze.

W bramie wyjściowej oficer coś powiedział ściszym głosem do wartownika w milicyjnym mundurze.

Przepuścił ich bez słowa.

Wsiadli do Poloneza, stojącego na parkingu w rzędzie innych służbowych wozów.

Oficer płynnym, nonszalanckim ruchem jednej dłoni obracał kierownicę, druga spoczywała na drążku biegów. Prowadził pewnie i szybko. Zainteresował się Mercedeseem z zagraniczną rejestracją, który sunął po sąsiednim pasie.

— To maszyna! — rzekł. — Marzenie! Lubię samochody. A pan?

Nie usłyszał pytania. Siedział z opuszczoną głową. Pograżony w chaotycznej gonitwie myśli.

Otaczała go gęsta, nieprzenikniona ciemność.

Jechał Polonezem, rozparty na miękkim siedzeniu, funkcjonariusz resortu podwoził go życzliwie do miejsca pracy.

Jazda ofiary z katem.

— Dół z wapnem — wymamrotał.

Oficer popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział i zatrzymał samochód przy krawężniku chodnika.

Nieopodał budynek instytutu.

Wysiadł. Przez chwilę nie wiedział jak się zachować, podziękować, powiedzieć — do widzenia; skinął w milczeniu głową. Stał i patrzył za odjeżdżającym Polonezem.

G L O B U S

Z okna był widok na długi budynek kryty falistą blachą. Za budynkiem las. Nad lasem zachodzące słońce. W słońcu dach budynku lśnił srebrzyście.

— Oglądać najlepiej za dnia — powiedziała jego żona. Już chciała tam prowadzić.

Powstrzymał ją gniewnym gestem ręki.

— Niekiepski ten Adaś... — uporczywie wracał do tego tematu. — Nie moja rzecz oceniać. Ja idę w innej branży! — zaśmiał się chrapliwie. — A on bojownik o wolność, prawdę, ideały, czy jak to się mówi... Ale niekiepski!

Podniósł się raptownie z fotela. Począł przemierzać przestrzeń od kominka do ściany, gdzie zawieszony był obraz Kossaka przedstawiający scenę z powstania styczniowego. Chodził jak drapieźnik w klatce po tym swoim salonie. Chód miał sprężysty, nerwowy. Korpus nieco wysunięty do przodu i głowa pochylona, jakby za chwilę miał strzelić osławionym bykiem. Kroków nie było słychać, tonęły w puszystym, grubym dywanie.

— Te listy tak im ładuje seriami — grzbietem dłoni trącił okulary w cieniutkiej złotej oprawie. Okulary były zawsze jak zasłona dymna; brali go za frajera, niezgułę. — Ten list z Mokotowa, co to generała, ministra bezpieki wyzwał! Siedzi za kratami i ani myśli się poddać. Atakuje! I jak te grypsy wysyła! Długie, kupa papieru... Ale takiemu to i niejeden klawisz się nie oprze.

Jego żona, Danką, oszołomiona tym potokiem pochwał dla nieznanego więźnia, ani brata, ani współnika, wodziła za nim wzrokiem.

— Krew musi ich zalewać!... Poznałem ja ich dobrze.

Chodził coraz szybciej. Chód był więzienny.

Przystanął. Wsparł się o kominek z ciosanego piaskowca.

Wyliniały już nasz rozbójnik. Lata mijają nieubłaganie. Siwizna na skroniach, łysina ogarnęła czszkę. Ale jeszcze umięśniony, żyłasty, byczy kark, bez brzucha.

Tak stojąc przy kominku, pochylił się nagle i chwycił moje ramię jak w cęgi twardymi palcami.

— Też kiedyś niekiepski byłem. Nikt nie dał rady mnie złamać!

Siadł w fotelu. Przymknął oczy. Całun wspomnień. To wyraźne.

Danka patrzy uważnie na męża. Pragnie z nim cofnąć się wstecz.

— Pamiętasz? — powiedział przeciągle. — To było w 1947 roku. Po tej zabawie u Wedla...

Przytaknęła natychmiast. Jej blada, chora twarz odmłodziła. Oboje pograżyli się w zamierzczłym czasie. Zabawa u Wedla. Miasto po tej stronie Wisły. Z tamtej strony pozostało wielkie wysypisko gruzów. Cmentarz. Tutaj zachowały się mury. To prawobrzeżne miasto miało szczęście pod tym względem. Zyli tu od początku. On na Brzeskiej w samym sercu Pragi, kipiącej geszeftami, szmugłem, konspiracją, całą tą niez mordowaną, okupacyjną żywotnością. Ona kilka ulic dalej. Wskrziesić Pragę tamtych lat! Już to czynią, prześcigając się w szczegółach. Ta zwarta, czynszowa zabudowa Targowej, Stalowej, Wileńskiej, Kamiennej, Małej, Szwedzkiej, Grodzieńskiej. Te podwórza — studnie bez słońca, białe smukłe figurki Matki Boskiej, szopy, stajnie, gołębniki, składy węgla, paszy, piwnice pełne trefnego towaru. Tu melina kolejowych złodziei, tam podziemna drukarnia. Tu warzą samogon, tam produkują gazety. Brukowane kocimi łbami jezdnie, rynsztoki z tęczami kolorów. Drewniane, wiejskie domki z okiennicami, pamiętające ubiegły wiek. Żółty budynek nocnego lokalu pod poetycką nazwą „Oaza”. Kłębowski bazaru Różyckiego. Dworce wypluwające co dzień tysiące rolników sprzedających płody ziemi i dokonujących tu na Pradze niezbędnych zakupów. Knajpy żulików i paserów, robociarzy i wozaków. Te ciemne, śmierdzące wnętrza, gdzie pobłyskuje młym blaskiem cynowy szynkwias i ślepy harmonista przygrywa rzewnie do wypitki. Sekretne gabinety z pluszowymi kanapami, przeznaczone do rozkoszy i podejranych transakcji. Szumiące ule kawiarni, szepty i rozbiegane spojrzenia. Postoje dorożek i ryksz. Cebulaste kopuły cerkwi. Fałszywy gotyk św. Floriana. Kolorowe reklamy maszyn firmy Singer, kawy Enrilo i spirytualiów Baczewskiego. Rozległa, cuchnąca krwią i padliną rzeźnia przy wiślanym kanale. Grupki mężczyzn, wiecznie wystających w bramach. Oto Praga. Miasto po prawej stronie Wisły.

Cały ten rdzeń zachował się do dzisiaj, choć coraz bardziej kurczy się, rozpada, schwytywany w obręcz i rozrywany przez kolumny nowych bloków i wieżowców. Mimo to pozwala jeszcze wyobraźni wskrzesić tamten czas. Ową kipiel życia zaraz po wyzwoleniu. Tu przecież w porównaniu z cmentarzem, który pozostał z Warszawy, było miasto. Tutaj mostem pontonowym, korzystając z pierwszej konnej komunikacji i rozklekotanych ciężarówek z demobilu, do których naganiacze zachęcali pasażerów wołając: — Jeszcze dwie damy i odjeżdżamy! — przeprawiali się ludzie z tamtej strony rzeki, żeby nacieszyć się widokiem ocalałych domów, ulic, przypomnieć sobie w ten sposób obraz tamtej strony przed pożogą. Praga buchała wolnością i nadzieją. Bo mimo obcych żołnierzy w burch szynelach i czapach z czerwonymi gwiazdami, mimo obcej choć słowiańskiej mowy i przykrych reminiscencji jeszcze z zaborów, istniała jednak nadzieja i ludziom roily się po głowach kolorowe miraże przyszłości. Przecież po tylu latach okupacyjnego koszmaru nie może być gorzej. To złowieszcze „gorzej” nie było już na miarę ludzkiej wytrzymałości sięgającej dna. Więc na tych praskich ulicach, w ciemnych bramach i podwórzach, w szynkach przesyconych smrodem piwa i kapusty, ludzie odnajdowali się po latach rozłąki, padali sobie w ramiona, wznosili toasty za lepszą przyszłość, przysięgali dożgonną przyjaźń, równie często wróg napotykał wroga; wybuchała nienawiść, brali się za łyby, tryskała posoka. Było to życie bujne i gwałtowne, rozlało się niby lawa, rozerwawszy skorupę wojennych lat.

Ludzie wykazywali niebywałą inwencję i energię. Eldorado interesów i możliwości, działania brudne i czyste, nieoczekiwane fortuny i równie nagłe upadki. Wyjeżdżali, wracali. Jedni opuszczali kraj na zawsze, inni powracali z tułaczki, jeszcze inni tkwili w stanie nieokreślonego zawieszenia, rozglądając się i sondując możliwości, szansę, perspektywę, wróżyli z nieba i gwiazd, realizm mieszał się z fantazją. A niebo wcale nie było czyste, ciężkie chmury nadciągały od wschodu. Ciągle jednak panowała wiara w zachodnią cywilizację i naszą do niej przynależność. Pokrzepiano się nadzieją w misję Ameryki i śpiewano z impetem — „Ameryka, Ameryka! To jest słynne U.S.A.!” — chociaż piwnice urzędu bezpieczeństwa na ulicy Cyryla i Metodego oraz komendy milicji na Sierakowskiego pełne były aresztantów, a nieopodal w Rembertowie wyrósł wielki obóz ogrodzony kolczastym drutem i zgromadzono tam kilka tysięcy akowców, wyłapanych przez Czerwoną Armię wyzwalającą ziemie polskie. Pod druty podchodziły kobiety i próbowały pertraktować z wartownikami, dźwigały węzłki z jedzeniem, ciepłą odzież dla swych synów, mężów.

Niekiedy błagania kończyły się pomyślnie. Ważną rolę odgrywał spirytus.

— Spirt — mówili ze smakiem czerwonoarmiści i doprowadzali do drutów aresztantów. Dochodziło wtedy do scen bolesnych i rozdzierających, ostatnie słowa i spojrzenia. Wkrótce akowcy zostali wywiezieni towarowymi pociągami w głąb Rosji.

Nocami więc dobijano się do drzwi, okrzyki po polsku i rosyjsku, wywlekali ludzi prosto ze snu, oślepiali latarkami, wykrecali ręce i gnali do gmachu bezpieki lub do starego, carskiego więzienia na ulicy 11 Listopada, zwanego „Toledo”. Już pojawiła się awangarda nowej władzy, młodzieńcy w białych koszulach z czerwonymi krawatami, zetwuemowcy, którzy gromadząc się w pobliżu kościołów, konkurowali z uroczystościami religijnymi, śpiewając gromko swe rewolucyjne, komunistyczne pieśni. Patrzone na nich w posępnym milczeniu. Inni młodzi ludzie, ubrani pół-wojskowo, buty z cholewami i bryczesy z materiału w tzw. pepitę, chętnie nosili także bluzy zachodnich armii typu battle-dress, za pasem lub w kieszeni często skrywali krótką broń; wilkiem popatrywali na zetwuemowców, milicjantów i ormowców, również uzbrojonych i patrolujących miasto w kilkusobowych grupach. Nieraz bywały to spotkania rówieśników z tego samego podwórza, ulicy, szkoły. Nieraz dochodziło między nimi do zbrojnego starcia, padały strzały i świt odsłaniał czyjeś ciało leżące jak łachman na bruku. Bywały to widoki pospolite i ludzie nie dziwili się temu zbyt, sprawdzali jedynie, czy to nie jakiś znajomy, nie daj Boże, brat, przyjaciel; zaraz przyśpieszali kroku i oddalali się czym prędzej. Najkorzystniej bowiem było mało wiedzieć, a już konieczne skąpo mówić, tej wiedzy zostali nauczeni przez Niemca i nadal jej potrzebowali.

W tak intensywnej i pełnej sprzeczności atmosferze lat 45-47 hartował swą młodość wyrostek z Brzeskiej ulicy, przezwany Globusem. Genezy tego przezwiska trudno dociec. Na pewno wzięło początek w latach okupacji. Prawdopodobnie wykazywał się polotem i pomysłowością. O takim mówi się: — globus u niego pracuje. Jego głowa spełniała jeszcze inną funkcję. Już od chłopięcych lat specjalizował się w uderzeniu tzw. „bykiem” i to też zapewne było przyczyną przezwiska.

W wilczym świecie wychowywał się mały Globus. Przebiegłość, siła, okrucieństwo i cynizm stanowiły podstawowe prawa tamtejszego dekalogu. Słabsi odpadali, nie wytrzymywali tych twardych reguł gry, często ginęli. Globus natomiast doskonale sobie dawał radę w dżungli praskiej ulicy. Podczas okupacji handlował papierosami, roznosił po bazarze samogon, jeździł na wieś po osławioną i opiewaną w piosenkach rąbankę, nieraz strzelali

za nim banszuce, żandarmi, wymykał się z łapanek na handlowych placach Pragi, kluczył niby mały drapieżnik po znanych sobie matecznikach, rozpoznawał nieomylnym instynktem wrogów i przyjaciół, charakterniaków i kapusiów. Nader wczesnie oswoił swoje oczy i serce ze śmiercią, nieraz widział uliczne egzekucje, okrutne sceny tropienia Żydów; cały ten kalejdoskop odston, gdzie życie nagle stawało się śmiercią — był jego chłopięcą codziennością. Po wyzwoleniu jego talenty rozwijały się nadal z intensywnością właściwą dla wieku dojrzewającego młodzieńca. Wnet dostosował się do nowej rzeczywistości, z przebiegłą mądrością wygi wdał się w interesy związane z UNRRA i przez jego ręce przechodziły na bazar Różyckiego atrakcyjne, amerykańskie towary. Wkrótce więc zaczął wodzić rej wśród rówieśników ze swojej ulicy. Uznawano jego przewagi i doznał odurzającego czaru sławy. Jego sława, powodowana przede wszystkim siłą, poczęła promieniować coraz dalej, ogarniając całą Pragę i przenosząc się również na drugą stronę Wisły.

W pamiętnym roku 1947 Globus osiągnął swoiste apogeum.

Wspomina on sam. Dopowiada Danka. Ona, wiarna towarzyska jego życia, zmagazynowała w swojej pamięci drobiazgową wiedzę o wyczynach męża, gęstą i nasyconą nastrojem tamtych lat i ładunkiem emocji wcale nie zwietrzałych z upływem czasu. Ona nawet pamięta tego psa Reksia, kudłatego kundla z podwórza domu na Brzeskiej. Reksio był bejszalski i codziennie wczesnym rankiem wybierał się pod bramę rzeźni na ulicy Krowiej. Tam zaś groźnie warcząc lub przymilnie skomląc domagał się ochłapów. Zнали go rzeźnicy i konwojenci, doceniali jego zaradność i hojnie fasowali mu flaki, kości. Miał swoje kryjówki w pobliżu, zakopywał zdobycz. Dawał sobie radę w swoim psim życiu. Pewnego dnia znikł z podwórza domu na Brzeskiej i nie pokazał się już więcej.

— Zatlukli go źli ludzie — mówi Danka.

— Zginął w pojedynku z innym psem — Globus jest innego zdania. — Słabszy był i padł.

Nie było dnia, żeby Globus nie stoczył jakiejś bójki.

— Tak się układało — wyznaje skromnie.

A koronacja na najlepszego z najlepszych nastąpiła jesienią na zabawie u Wedla.

Te sobotnie zabawy w przyfabrycznym domu Wedla. Bawiła się młodzież i dorośli, robotnicy z praskich i grochowskich fabryk, złodzieje, handlarze z bazaru, żulia z okolicy, z Marek, Ząbek, Zacisza, Kobyłki. W przerwach między tańcami wychodziły splecione w uścisku pary przed dom, nieopodal jezioro kamionkow-

skie, kumkały żaby, jarzyły się ogniki papierosów, z góry tysy czyli księżyc patrzył z pobłażaniem na ludzi.

— To były czasy — wzdycha Danka, zapewne przypomina sobie pierwsze pocałunki ze swoim chłopcem.

Na sobotniej zabawie u Wedla zderzył się Globus z tym drugim. Pojedynek ten musiał nastąpić, był nieodzowną konsekwencją biegu wydarzeń.

Dotychczas ten drugi był kozakiem nad kozakami i do niego należało pierwszeństwo. Trzydziestoletni, mocarny piaskarz, Antek czy Franek, uprawiał ten tradycyjny, wiślany fach wymagający nielada krzepy, ciągnął złoty piasek z dna królowej polskich rzek. Bywali wtedy jeszcze piaskarze, chłopcy gotowe do bitki i wypitki; nieraz latem czy ciepłą jesienią po sobotniej wypłacie oświetlało ich niedzielne słońce leżących pokotem na brzegu rzeki, przecierali oczy, charcząc i plując dźwigali się z ziemi i patrzyli na budzący się dzień.

Pojedynek Globusa z Piaskarzem nastąpił w charakterystycznej atmosferze zabawy; tańczący tłumek na parkiecie, gromady mężczyzn oblegają bufet z wyszynkiem, nagle taneczne pary znikają jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, bufet pustoszeje, orkiestra gra niezmordowanie, krąg mężczyzn otacza przestrzeń, która staje się ringiem. Stoją naprzeciw siebie ci dwaj. Piaskarz, ogromny, atletyczny chłop, weteran wielu bójek, pogromca Sztajera, Majchra i innych sławnych rycerzy pięści. Przed nim Globus, szczupły, sprężysty młodzik o nerwowych ruchach drapieżcy. Sprawiał wrażenie łatwej ofiary dla swego przeciwnika. W dodatku wzrok miał słaby i od dzieciństwa nosił okulary, co czyniło go prawie bezbronnym w kontraście z groźnym gigantem wiślanych piaskarzy. Ale znany był już powszechnie jego błyskawiczny ruch ręki, kiedy ściągał okulary, równocześnie z tym ruchem druga ręka natychmiast wchodziła do akcji, którą zwykle wieńczyło piorunujące uderzenie głową. Globus cios głową wyprowadzał niesłychany, zwalali się przeciwnicy niby drzewa wyrwane z korzeniami. Żeby nie popaść w nadmierne upojenie tą walką, opisywania wymiany ciosów i uników, kiedy w wielkiej sali domu Wedla panowała zakłęta cisza, przejdziemy od razu do finału:

Zresztą tego domaga się sam Globus, 55-letni dziś mężczyzna; nie wdaje się w szczegóły, krótko i rzeczowo przedstawia swą młodzieńczą chwałę, zwycięstwo nad przeciwnikiem.

Danka obficie dorzuca barwne szczegóły, znów jest tamtą piętnastoletnią panią, tak bardzo zakochaną w praskim zabi-jace.

— Ścięło go — powtarza Danka. — Dosłownie go ścięło. Padł jak kłoda.

Globus w milczeniu demonstruje skręt korpusu, pochylenie głowy i jej nagły podrzut do góry. Demonstruje piorunujący cios głową.

Tak wyglądała detronizacja dotychczasowego króla. Jego miejsce zajął Globus. Pił zwycięzca na koszt wszystkich. Chłopaki z Brzeskiej, Sunia, Mordochłap, Waldek, stanowili jego poczet koronacyjny. Dumni ze swego koleżki. Dla niego był to wielki dzień. Przecież mimo swych 18 lat zapracował solidnie na tytuł pierwszego kozaka wśród kozaków. Jeszcze oczy jego dziewczyny, smukłej, popielatowłosej Danki, oczy pełne miłości i zachwytu.

Dopowiada Danka. Zabawa toczyła się dalej. Tańczyła ze swoim chłopakiem. Piaskarza już wynieśli. Cała ta rzeczna zgraja, ciągnąc ślaniającego się i broczącego krwią olbrzyma opuściła dom Wedla.

Mówi Globus. Po sobocie przyszła niedziela i wedle zwyczaju odbywał z koleżką przezwiskiem Sunia tradycyjny spacer po Targowej. To było tamtejsze korso. Szło się od cerkwi do wiaduktu i z powrotem. Spoglądali na dziewczyny, zarciki i śmiechy, jesienna pora, przyjemnie. Ten spacer dla Globusa był szczególnie przyjemny; kroczył w świeżej, wczorajszej glorii. Drugi raz dochodzili do wiaduktu. Dokładnie przy knajpie „Pod Żółciem”. Rozpoznali ich od razu. Trzech. Szli naprzeciw. Bezpieczniacy z Cyryla, podpici. Oni byli wtedy królami życia. Byle jaki donos wystarczał i człek dostawał się w ich obroty. Nad Wisłą przy ZOO sam był świadkiem groźnej zwady, jaką mieli z ubowcami handlarze z bazaru, dziewczyny chcieli im odebrać, spluwy wyciągnęli, tam pili w pobliżu ruscy oficerowie — *nietzja* — powiedzieli sprawiedliwie i stanęli w obronie handlarzy.

— Bracia Słowianie! — śmieje się Danka.

Wśród bezpieczniaków i milicjantów zdarzali się znajomi. Ci trzej napotkani na Targowej nie byli tutejsi. Jeden w mundurze, dwaj po cywilnemu. Żle im z oczu patrzyło. Całą szerokość chodnika zajmowali, ani myśleli ustąpić drogi. Sunia chciał zejść na jezdnię, ale jeden z tamtych napał na niego ramieniem. Sunia zatoczył się i wpadł na drugiego.

— Co ty sobie myślisz, łobuzie! — ten drugi zawarczał, i od razu Sunię w szczękę raz, drugi, poprawił hakiem w żołądek, Sunia w kolanach się ugina. Padł. Tego bezprawia Globus nie ścierpiał. Ręce mu poszły w ruch, akcję zakończył głową. Przeciwnik zwał się na bruk.

— Wtedy niewielu było takich, co by od Romana główki nie padli — wtrąca z satysfakcją Danka.

Napatrzeć się ona musiała na te lube jej sercu widoki. Globus rzeczowo, ze ścisłością fotografa relacjonuje tę bardzo dawną, uliczną przygodę. Więc kiedy ten pierwszy padał, to drugi, facet w wojskowym mundurze odskoczył i prawą ręką sięgnął za pasek, w dłoni niebezpiecznie zabłysnął mu metal, nagan. Globus był szybszy. Drugi także osunął się na chodnik. Trzecim zajął się Sunia. Akurat oprzytomniał i od tyłu za nogi go ułapił. I uciekli. Zamojskiego do Grochowskiej. W bramy. Podwórzami na kamionkowskie jezioro. Bezpieczniacy pozbierali się z ziemi i ruszyli do akcji. Na Targowej nastał sądny dzień. Ten w mundurze zaczął strzelać. Na oślep walił z nagana. Biegł i strzelał. Do inwalidy w budce z papierosami dwa naboje wpakował. Trup na miejscu. Przechodnie kryli się po bramach. Już we trójkę ci ubowcy wygarniali ze spluw. Do wszystkiego co się ruszało. Dwóch ludzi poranili. Jednego z ciężkim postrzałem biodra odwieziono do szpitala Przemienienia Pańskiego.

— Roman wtedy uczęszczał do szkoły wieczorowej — informuje Danka. — Następnego dnia na dużej pauzie przyszli po niego i zabrali na Cyryla. Ja poszłam z nim jako narzeczona. Zostałam w wartowni. Dalej już nie puścili. Obywatelka tu sobie poczeka, narzeczony udzieli pewnych wyjaśnień i wróci. Później wypędzili mnie na ulicę. Zimno, wiatr...

Siedział Globus w piwnicy na Cyryla. Brali go na przesłuchania. Nocą i w dzień, tak przez tydzień. Oskarżony był o napad na funkcjonariuszy, rozbrojenie jednego z nich, zastrzelenie kioskarza, inwalidy wojennego i ciężkie poranienie dwóch przechodniów. Czuł już powróż na swojej szyi. Oprócz funkcjonariuszy świadkiem oskarżenia był pewien stróż z kamienicy przy Targowej. Wszystko widział. Tak mówił ten drań.

Odbyła się konfrontacja i cieć powtarzał uparcie: — To ten strzelał!

— Gdybym mógł, to gardło bym przegryzł takiemu! — powiada Globus.

Zaczęły się przesłuchania z biciem. Zakładali mu kajdanki i prali po pysku, obtłukiwali nerki, kopali jak psa.

— Zapamiętam was! — charczał bezsilny Globus. — Zaklinam się na rany Jezusa, będę was pamiętał! Przydała mi się ta pamięć... — uśmiecha się błogo. — Jednego spotkałem po latach. Ciemno, w sam raz.

Danka marszczy czoło, usilnie dokopuje się obrazu tego porachunku.

— Czy ja byłam przy tym? — zastanawia się głośno.

Z piwnicy urzędu przewieźli Globusa do więzienia na 11 Listopada. Romantyczna pieśń opiewała to stare, carskie więzienie. „Wspomnij ten domek w Toledo, kryty w kraty, automaty, rzędem stoją wartownicy, naczelnika sroga twarz...”

Pierwsze wrażenie przygnębiające. Ponura, ciemna cela i czterej zarośnięci, brudni mężczyźni o wyglądzie zbirów. Wbrew pozorom nie byli wcale zbirami.

Adwokat, piekarz, inżynier i czwartego nie pamięta, wszyscy polityczni. Opowiedział im swoją sprawę. Przyznaj się, uznali zgodnie, nie ma co się opierać.

— Jak to? — zdumiał się Globus. — Przecież ja tego nie zrobiłem!

— Nieważne — orzekł adwokat. — Prędzej czy później musisz się przyznać. Tylko szkoda twego młodego zdrowia.

— Spać nie mogłem — powiada Globus.

Nie spał przez kilka nocy i rozmyślał o tym, co mu radzili ci starsi, doświadczeni więźniowie. Oni sami już przyznali się do wszystkiego. Zrobili, nie zrobili. To było nieważne.

— Trzeba się przyznać — powtarzali z jakimś przerażającym fatalizmem.

— Szkoda ciebie, drogi chłopcze — adwokat truł go codziennie. — Musisz zrozumieć. Z nimi nie dasz rady.

Akowiec, całą wojnę w konspiracji, Krzyż Walecznych i Virtuti, pięknie mówił o Piłsudskim.

Globus postanowił nie przyznać się do niczego. Adwokat tylko stuknął się w czoło.

— Oni byli obrobieni — stwierdza Globus.

Po trzech miesiącach nastąpiła nieoczekiwana odmiana jego losu. Zbyt wielu ludzi widziało tę krwawą jatkę na Targowej. Mówiło o tym całe prawobrzeżne miasto. Byli świadkowie. Aresztowano rzeczywistych sprawców.

— Swój musiał pożreć swego — śmieje się Globus.

— Ja tę odmianę wyczułam wcześniej — mówi Danką. — Pozwolili paczki do niego przynosić. Grzeczni tacy.

Zmieniono Globusowi zarzuty. Dostał wyrok za uliczną bójkę. Rok, radosny rok wobec tego, co nad nim wisało. Po prostu długie wakacje.

— No, a jakbym się przyznał do wszystkiego, to kim bym został dla siebie? — zadaje Globus retoryczne pytanie. — Szmatą!

Odwagę ceni sobie najwyżej. Był u nich w celi kipisz i znaleźli igłę. Czyja to igła? Wpadli całą watahą i bili ich po kolei. Jego dotknąć nawet nie zdążyli. Walczył dzielnie. Obeszładnili go wreszcie i powlekli do karceru.

— Co będziemy się z nim paprać — powiedział jeden z nich i zostawili go w spokoju na betonie.

— Nie tak było — poprawia Danka. — Inaczej wtedy mówiłeś.

Globus przymyka oczy i mówi: — Racja. Jeden z tych nigusów tak powiedział: — Niezle sobie dawałeś radę, łobuzie! Trochę był zgięty i trzymał się za brzuch. Musiałem go trafić...

Pięknie wyczarowali tę przeszłość daleką, klimat, koloryt, szczegóły. Też ogarnął mnie czad tych wspomnień. Zobaczyłem tamten czas zaklęty w starych murach. Jako wyrostek włączyłem się po Pradze i pijałem wódkę w praskich szynkach.

Ta przeszłość właściwie okropna, ale owiana minioną młodością, przygodą.

— Takie tam bajdy — ocknął się Globus, wyglądał na zawstydzonego. — To ten Michnik tak mi we łbie zakotłował.

Dalsze jego losy są mi znane dosyć dobrze. Wierny pozostał wskazaniom praskiego dekalogu. Te lata po wyzwoleniu układały mu się nadal w okupacyjną ciągłość. Poruszał się jak w dżungli pełnej niebezpieczeństw, ale zarazem kuszących szans. Umiał z rozważnym namysłem czekać na okazję tłustego żeru, żeby w odpowiednim momencie rzucić się znienacka, schwycić łup i ukryć się w swoich komyszach. Bywały wloty i upadki, chwile klęski i triumfu, toczyło się to życie i toczy. Teraz Globus jest typowym przedstawicielem warstwy, która żyje w socjalizmie ze swoistym rozmachem, licząc na własną pomysłowość, inwencję i refleks. Ludzie ci korzystają ze szczelin, uskoków i zakłóceń tego najlepszego z ustrojów. Nie jest ich wielu, ale są prężni i żywotni jak plaga, ponoszą wiele ryzyka, ale znacznie więcej muszą mieć w tej grze cynicznego sprytu i niewiary w czystość rąk budowniczych i strażników systemu. Obce im są wszelkie złudzenia, ideały. Prowadzą niebezpieczną i brudną grę. Takie pojęcia jak sprawiedliwość, uczciwość, prawda czy wierność brzmią dla nich jak anachronizm, odpowiedni tylko na teatralnej scenie i budzą uśmiech politowania, nieledwie obrzydzenia. Dla Globusa nie ma nic bardziej obcego niż te mrzonki. Zbiorowość to dla niego mierzwa i każdego ocenia według swej miary wartości. Dla naiwnych i nieudanych nie ma ani krzty współczucia.

— Frajera i stróża — z upodobaniem cytuje to drańskie porzekadło — pierdol na środku podwórza! Toteż zdumiewająca była w jego przypadku wysoka ocena działań Adasia Michnika, toczącego słowem mówionym i pisanym nierówną walkę z władzą, opłacaną latami więziennych odsiadek. Jako oczywistość narzucała się raczej dezaprobatą. Wszak ta walka mogła być dla Globusa jedynie walką z wiatrakami. Sam siedział nieraz i znane mu

były przypadki męźnych zmagañ jego kamratów, wspólników, którzy znaleźli się w opałach. Narzucał się tu przykład Żarowy, tytana trzyletniego, kamiennego milczenia w śledztwie. Nie splamił się ani jednym słowem do przesłuchujących go oficerów. Innych jeszcze można przywołać. Wszyscy oni jednak walczyli o swoje interesy, ratowali swoją skórę.

Dumałem nad tym przy kominku. Danka dorzuciła polan do ognia. Wesoło zatrzęszczało płonące drzewo.

Globus znów powrócił do świdrującego go jak ból zęba tematu: — On w samych trzewiach. Łeb ma na pieńku i wcale się nie boi tej siekiery, co nad nim została podniesiona...

Zrywa się z fotela. Biega po salonie. Powstańcy z obrazu Kossaka patrzą na niego wyczekująco. Zawsze tak biegał w chwilach podniecenia. Duży interes, przygotowanie ryzykownej akcji, chwila przed podziałem łupów. I jakby zaraz miał strzelić tym swoim niezawodnym łbem. Co raz poprawia okulary, gładzi oprawkę; niespokojna dłoń ciągle w pogotowiu.

— Daj spokój, Globus! — próbuję go przywołać do porządku. — Co znaczą takie listy? To groch o ścianę. Dali nam tę łaskę gadania, sam wiesz.

— Co ty!!! — obruszył się gwałtownie. — Taki list jak granat! Wybuch, mózg obrotów dostaje.

Danka zajęta bardziej szydełkowaniem niż naszą rozmową. Druty śmigają w jej zręcznych palcach. Wełna w jaskrawych kolorach. Co to będzie? Sweter, skarpety.

— A jaki jest ten Adaś? — przystanął raptownie.

— Średniego wzrostu. Szczupły, oczy niebieskie, włosy blond...

— Nie o to się pytam! — przerwał niecierpliwie. — No, jak on żyje?

— Dziewczyny lubi. I wychlać lubi...

— Prawidłowo! — ucieszył się. — Chłop z krwi i kości.

— Ale bić się nie lubi i nie umie — dorzucam. — Ani do interesów nie ma głowy.

— Nieważne! — uciął tę kwestię. — Czy każdy musi to umieć? Dalej!

— Zimny. Nie ulega pośpiesznym emocjom. Choć równocześnie entuzjasta. I na wszystko przygotowany. Tak myślę. Charakter musi mieć twardy, wytrzymały. Trochę drański nawet.

— Drański charakter to dopiero ma Roman — wtrąca Danka.

Odłożyła druty. Patrzy w okno. Już szarówka.

— Tamtej zimy mieliśmy wypadek samochodowy — mówi powolnie. — Z winy Romana. Za ostro jeździ...

— Gdzie tam! — przerywa jej Globus. — Zza zakrętu Star wyskoczył. Mgła, co miałem robić? Skrepiłem.

Wpadli w poślizg. Stoczyli się do rowu. Przekoziołkowali parę razy. Wylądowali na dachu. Danka potłuczona. Syn broczy krwią. Obawa wybuchu silnika. Pierwszy wydostał się Globus. Od razu zaczął wydobywać z samochodu cenną dla siebie zawartość. Syna jedynaka w pierwszym rzucie. Teczkę z pieniędzmi w drugim rzucie. A na końcu Dankę, swą ślubną żonę.

— Taki on jest — stwierdza Danka nie bez dumy.

— Prawidłowa kolejność — Globus rozstawia trzy palce. — Syn to ciągłość czyli przedłużenie rodu. Bo komu przecież to wszystko zostawię? Pieniądze, dużo było zielonych. Pieniądze to podstawa. A kobieta... — nie kończy i uśmiecha się do Danki.

— Inną by sobie znalazł ten stary drań — kończy za niego Danka. — Młodą dziewczuchę.

Dyplomatycznie zmieniam temat. Chwałę okazały dom. Pałac naprawdę. Komnaty, boazeria, w piwnicy będzie bar i dyskoteka. Jeszcze niewykończony, ale już pod dachem. Spadzisty dach z mansardami. Ganek jak we dworze. Przed domem sadzawka. Będzie także fontanna.

Globus macha ręką.

— Same kłopoty. Ciężko zbudować taką budę. — Na jego twarzy maluje się niechęć, znużenie.

— Aby do wiosny — powiada dziarsko Danka. — Wiosną skończymy budowę. Króliki zaczną się kocić.

Chwilę jeszcze rozmawiamy o kłopotach związanych z budową. Materiały, robotnicy, wszystko idzie jak po grudzie.

— Pokaż koledze hodowlę — proponuje Danka.

Wstaje pierwsza. Globus zapala latarkę. Wychodzimy na podwórze. Oprawdają po swojej domenie. W tym długim, przestronnym baraku setki klatek z królikami. Króle śmiesznie poruszają nosami. Przechodzimy do stajni. Krowy, koń.

— Ziemską posiadłość — powiada Globus — koń musi być.

W kącie przegroda. Tam jego ulubieniec, czupurny baran w towarzystwie dwóch owieczek.

— Po prostu utrapienie — mówi Danka. — Po co nam baran!

— Cicho, głupia! — karci ją mąż. — Baran też musi być. Baran cofa się, bierze rozbieg, nisko pochyla łeb.

— Zaraz będzie szarżował! — cieszy się Globus.

Dosyć łatwo odkrywam przyczynę jego sympatii do barana.

Oczywiście przez ten cios łbem, baranią specjalność. Wracamy do domu. Siadamy na fotelach przy kominku. W oknie czarna noc. Cisza. Tylko słycać szum wiatru.

— Ten Adaś.. — odzywa się Globus. — ... Chciałbym mieć takiego współnika.

— Co byś z niego miał? — zapytałem.

— Sam nie wiem — odparł po długiej chwili, dłonią uderzał o oparcie fotela. Pobrzękiwała złota bransoletka na przegubie jego dłoni. Ten dźwięk wznosił się ponad senne potrzaskiwanie zamierającego ognia w kominku.

SPIS TREŚCI

<i>Amazonka</i>	7
<i>Wizerunek</i>	44
<i>„Grisza, ja тебе skazu...”</i>	82
<i>Zakon kawalerów mazowieckich</i>	119
<i>Rozmowa</i>	144
<i>Globus</i>	158

KATALOG KSIĄZEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

LIPIEC 1986

	Stron	F.
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Szkice i opowiadania</i>	272	20,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (eseje literackie)	272	75,00
Bugajski, Ryszard: <i>Przestuchanie</i> (Scenariusz filmowy)	112	45,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia (Kultura 1958-1973), Zeszyty Historyczne (1962-1973), Działalność wydawnicza (1959-1973)</i>	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura (1973-1980), Zeszyty Historyczne (1973-1980), Działalność Wydawni- cza (1973-1980)</i>	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Giełżyński, W.: <i>Budowanie Niepodległej</i>	336	100,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. I, <i>Ferdynand</i>	296	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik (1953-1956)</i>	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik (1957-1961)</i>	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik (1961-1966)</i>	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. II, <i>Trans-Atlantyk</i> ..	130	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia pol- skie. — Wędrowki po Argentynie</i>	256	65,00

	Stron	F.
Głós („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Heller, M.: <i>Polska w oczach Moskwy</i>	208	75,00
Herbert, Z.: <i>Raport z obleżonego miasta (Wiersze)</i>	88	40,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą (1980-1983)</i> ..	346	95,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i>	256	65,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas (Poezje)</i>	80	8,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść? (Seria „Dokumenty”)</i>	80	25,00
Januszkiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i>	200	55,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i>	192	65,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i>	160	55,00
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Kraśniewska, W.: <i>Po wyzwoleniu... (1944-1956)</i>	272	95,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie roślinie (Wiersze).</i> (Seria „Bez Cen- zury”)	104	25,00
Kuśmierk, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Dwie książki</i>	108	45,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> ..	104	25,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Michnik, A.: <i>Z dziejów honoru w Polsce (wypisy więzienne)</i>	286	95,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)</i>	196	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Nieobjęta ziemia</i>	148	55,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)</i>	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje, t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)</i>	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje, t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)</i>	240	70,00

	Stron	F.
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11) ..	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6) ..	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9) ..	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zaczynając od moich ulic</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 12) ..	364	120,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3) ..	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mrożek, Sł.: <i>Alfa</i> (sztuka sceniczna)	84	40,00
Mur, J.: <i>Dziennik internowanego</i>	200	85,00
Nowakowski, M.: <i>Dwa dni z Aniołem</i>	154	55,00
Nowakowski, M.: „ <i>Grisza, ja тебе скажу...</i> ”	176	70,00
Nowakowski, M.: <i>Notatki z codzienności</i>	160	50,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zabezpieczanie śladów</i>	128	45,00
Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Prawa człowieka i obywatela w PRL (13.12.1981-31.12.1982). Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie</i> (Seria „Dokumenty” Nr 49)	224	75,00
<i>Protokoły tzw. Komisji Grabskiego. Tajne dokumenty PZPR.</i> (Seria „Dokumenty” Nr 50)	430	180,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) ..	288	18,50
Rekulski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Na Wyspie</i>	168	65,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrutki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Rymkiewicz, J. M.: <i>Rozmowy polskie latem 1983</i>	160	60,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i>	144	55,00

	Stron	F.
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	65,00
Szczypiorski, A.: <i>Początek</i>	160	65,00
Ślaska, E.: <i>Dochodzenie</i>	128	50,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
<i>Teksty cywilne przez Leopolię</i>	176	55,00
Unger, L.: <i>Orzeł i reszta</i>	388	150,00
Wandycz P.: <i>Polska a zagranica</i>	294	100,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Israel w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. II/III	968	66,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszylski, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Zagajewski, A.: <i>List — Oda do wielości</i>	96	35,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939</i> , t. I i II, str. 238 i 342	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57, 68 są wyczerpane. (Te <i>Zeszyty Historyczne</i> mamy w wydaniu miniaturowym po F. 10,00 za <i>Zeszyt</i> + koszty przesyłki). Ukazał się <i>Zeszyt</i> 76 (maj 1986). Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i>		
		70,00

Prosimy Czyelników, by przy zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki. Koszt przesyłki we Francji minimum F. 12,00.

Prenumerata *KULTURY* na rok 1986:
rocznie — F. 440,00, półrocznie — F. 230,00.

Dopłata za przesyłkę lotniczą rocznie:

Prenumerata *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1986:
rocznie — F. 280,00 (pojedynczy *Zeszyt* — F. 70,00)
(dla prenumeratorów *KULTURY* rocznie — F. 250,00).

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 22 JUILLET 1986
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 3^e trim. 1986.

N° d'imprimeur 7678.



